Zmiana większa niż Trump ▪ Stanowski namiesza w wyborach ▪ Moda na dysleksję
Ksiądz, który przyjął judaizm ▪ Jak myśli AI ▪ Żulczyk, nowy Reymont ▪ Komiks 18+

Kraków 29 stycznia – 4 lutego 2025 nr 5 (3943) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Trzaskowski: jak się spodobać wszystkim

CZY KANDYDAT PLATFORMY ZMIENIŁ POGLĄDY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

ORKIESTRA ADAMA SZTABY

KONCERTY JUBILEUSZOWE

20 LAT

2025

21.10 ICE KRAKÓW
27.10 HALA STULECIA, WROCŁAW
20.11 COS TORWAR, WARSZAWA
01.12 NOSPR, KATOWICE
15.12 SALA ZIEMI, POZNAŃ

GOŚCIE

NATALIA KUKULSKA
ANNA KARWAN
KUBA BADACH
PIOTR CUGOWSKI

BILETY: BILETSERWIS.PL

Prestige MJM

BILET SERWIS

KS. ADAM

Boniecki: *Żyd od Jezusa*

Wywiad Karoliny Przewrockiej-Aderet w tym numerze jest nie tylko niespodzianką, ale i darem. Darem rozmówcy – Romualda Wekslera-Waszkinela. Powstały o nim książki, ale on sam od dawna milczy, my zresztą dawno nie prosiliśmy go o tekst. Romuald Weksler-Waszkinel, który już jako ksiądz odkrył swoje żydowskie pochodzenie, niedawno przeszedł na judaizm. W naszym wywiadzie wspomina, że napisał książkę, którą wyda Znak. Jest w tej rozmowie oszczędny. Nie rozwodzi się zbytnio, ale mówi właśnie o tym przejściu. Mówi o Jezusie: „Często mówiłem, nie bardzo rozumiejąc głębię tego, co mówię, że jestem »Żydem od Jezusa«. Tak, jestem Żydem. Tak jak Jezus. Ale nie Jezus Mesjasz, nie druga osoba Trójcy, ale po prostu: Jezus z Nazaretu, wielki Żyd, charyzmatyczny nauczyciel. Nie odkrywam tego jako pierwszy. Martin Buber pisał o Jezusie: mój wielki Brat...”.

Wiem, że nie zawsze rozumiałem Romualda. Musiałem się uczyć tej osobliwej inności. On np. cierpiał z powodu milczenia kolegów na pięćdziesięciolecie jego kapłaństwa, dla mnie to nie było żadnym problemem. Zresztą tych sfer wrażliwości było znacznie więcej. Zwłaszcza w sferze stosunku do Żydów. Spostrzegał rzeczy, których ja po prostu nie widziałem. Spostrzegał słusznie, był tym poruszony, ja przechodziłem nad tym do porządku dziennego. Wiele się od niego nauczyłem. Nie o tym zresztą chciałem pisać, ale o tym, że życie Romualda Waszkinela było całe jakby postawione na głowie. Dość wcześnie przeczuwał, że jest inny niż rodzina, która go przyjęła i ocaliła. Ale że jest uratowanym z zagłady Żydem dowiedział się od przybranej matki późno. Świadomość, kim jest, wciąż w nim rosła, a towarzyszyły jej niedostatki życia księżowskiego.

Boję się, że pisanie w ten sposób o czyimś życiu jest bezczelnością. Nie chcę być bezczelny. Powiem jednak, że jego życie było postawione na głowie, ale to wcale nie znaczy, że było bez sensu – przeciwnie. Po prostu etapy, przez które przechodził w życiu, przebiegały zwykle w nieoczekiwanej tu dla nas kolejności. Do tego dodajcie niezwykłą wrażliwość człowieka. Zwykły mężczyzna nie płacze ze wzruszenia tak często jak Romek. Sam zresztą z tego delikatnie żartuje w „Tygodnikowej” rozmowie.

Cieszy mnie wywiad Karoliny, cieszy mnie tym bardziej, że, na ile znam Romualda, to jeszcze nie jest kres jego drogi, lecz etap. Nie wiem, jaki będzie etap następny, ale wiem, że na tym się nie skończy. Nawet jeśli następny etap będzie już na tamtym świecie.

Wiemy przecież, że drogi wiary są różne, by nie powiedzieć – przedziwne. Przedziwny jest także Romuald. Nie byłoby celowe wyławianie ewentualnych sprzeczności w tekście, pytanie o wizję pracy w Izraelu w przypadku zatrudnienia w jakimś kościele czy wiercenie mu dziury w brzuchu co do osoby Jezusa, charyzmatycznego nauczyciela. Mamy prawdę etapu życia wolnego człowieka. Nie wiem, czy da się wykazać, że zawarte w Ewangeliach informacje są łatwiejsze do przyjęcia niż opowieść o Jezusie – mędrcu. Wiemy, że przyjęcie prawd o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu jest kwestią wiary.

PS. Zdaję sobie sprawę, że robię to nieprzyzwoicie późno, ale jednak muszę podziękować za listy i za wszystkie życzenia świąteczne, które otrzymałem. Miałem tym razem ambitny, zbyt ambitny plan, że odpowiem na wszystkie. Niestety, nie jestem w stanie i dopiero teraz się na tym łapię. Wiem, że Wasze, nawet proste życzenia, to trud i wysiłek, a nade wszystko znak łączności. Dziękuję Wam za nie i życzę błogosławieństwa z Niebios. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

ANNA GOLUS:
11-latka hołubiona za dociskanie Kaczyńskiego i jej rówieśnik domagający się tamy dla lewactwa. Jak politycy wykorzystują dzieci.

ARTUR SPORNIAK:
Skąd się biorą popularność i olbrzymie zasięgi w internecie ojca Adama Szustaka, dominikanina i ewangelizatora?

JOANNA BRAUN:
Artykuł o karnawale w Rio de Janeiro miał nagłówek: „Szesnastu samobójców ze szczęścia”. To wtedy zaczęłam myśleć o maskach.

Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie sami" – to jeden z najpopularniejszych w USA cytatów. Co drugi Amerykanin wierzy, że pochodzi z Biblii, część uważa, że to jedno z przykazań. Tyle że te sprzeczne z Ewangelią słowa nigdzie się w Biblii nie pojawiają. Ale może to przekonanie jakoś tłumaczy fakt, że **NOWA ADMINISTRACJA USA** mogła lekką ręką wstrzymać niemal całą pomoc zagraniczną, żeby zrewidować, czy realizuje ona cele nowego prezydenta. Mowa tu o kwotach rzędu 68 mld dolarów – tyle w 2023 r. Stany przeznaczyły na pomoc rozwojową, programy zdrowotne, bezpieczeństwo, środowisko czy wspieranie praw człowieka w 204 krajach.

Bóg pomógł Donaldowi Trumpowi, wyrywając go z ręki wrogów jego i wynosząc go do chwały – w to akurat nie wątpią tacy amerykańscy liderzy religijni jak **PASTOR FRANKLIN GRAHAM**, który głosił to podczas religijnej ceremonii zdobiącej inaugurację 47. prezydenta USA. Jak pisze na tych łamach historyk Kościoła i publicysta **MASSIMO FAGGIOLI**, ten **POLITYCZNO-RELIGIJNY RYTUAŁ** pokazał, że „idea »boskiego przeznaczenia« i amerykańskiej wyjątkowości święci swój triumfalny powrót (...). Problem w tym, że na ideę Boga wkraczającego w historię Stanów Zjednoczonych nakłada się dziś powracający nacjonalizm. Hasło »Bóg z nami« wciąż brzmi w naszej pamięci złowrogo" (czy Państwo, czytając te słowa, też pomyśleli o ostatnich **GESTACH ELONA MUSKA**, o których wspomina w felietonie Stanisław Mancewicz?).

Podczas tej ceremonii zabrakło tylko korony i świętych olejów – była religijna celebra, był hołd lenny złożony przez big-techowych magnatów, były zapowiedzi zdobyczy terytorialnych, były ułaskawienia, było nawet, o czym w podsumowaniu pierwszych dni Trumpa pisze **MARTA ZDZIEBORSKA**, rozdawanie ludowi podarków: markerów, którymi prezydent podpisywał dziesiątki rozporządzeń anulujących decyzje administracji Bidena. Wszystko to w największej demokracji świata.

Co się więc dzieje z demokracją? W Temacie Tygodnika **DARIUSZ ROSIAK** wyjaśnia mechanizm zmiany demokracji liberalnej w medialno-emocjonalną. Ta zmiana dzieje się na naszych oczach i jest większa niż Trump. Jak bronić świata, w którym punktem odniesienia słów byłaby prawda, a nie regulowane algorytmicznie odczucia? Zapraszamy do czytania. ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Zastępca redaktora naczelnego, twórca podkastu „TP", współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło", autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni".

24 Ten trzeci
PAWEŁ MUSIAŁEK
Tak jak Andrzej Duda nie zostałby prezydentem bez Pawła Kukiza, tak Donald Tusk nie zostałby premierem bez Szymona Hołowni. Czy wejście do gry Krzysztofa Stanowskiego może wpłynąć na to, kto zostanie nową głową polskiego państwa?

46 Obiecuję ci, córeczko, że to ostatnia taka wojna
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
„Wszystko dzieje się za późno – mówi Danielle Aloni, była zakładniczka Hamasu. – To porozumienie mogło zostać podpisane znacznie wcześniej". Nasza reporterka towarzyszyła rodzinom uprowadzonych, gdy ruszyła pierwsza faza ich uwalniania.

78 Sztuka kochania
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI
Milo Manara, duchowy spadkobierca markiza de Sade'a, swoje komiksy traktuje jako apoteozę kobiecego ciała. Ma sprecyzowany ideał urody i uparcie się go trzyma. Złośliwi twierdzą, że od lat rysuje po prostu tę samą postać.

GRAŻYNA MAKARA // WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER // HAMAS MEDIA OFFICE / AFP / EAST NEWS // MILO MANARA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA SCREAM COMICS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wahadło po prawej
MAREK KĘSKRAWIEC
Elektorat przesunął polityczne centrum

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 TEMAT Z OKŁADKI
W poszukiwaniu siebie
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
Czy Rafałowi Trzaskowskiemu uda się wygrać wybory, wyciszając własne poglądy?

24 Ten trzeci
PAWEŁ MUSIAŁEK

27 Zeszyty pełne hieroglifów
MAŁGORZATA NOCUŃ:
Prawda o epidemii dysgrafii i dysleksji w polskiej szkole

■ ■ WIARA

30 Powrót
ROZMOWA Z ROMUALDEM JAKUBEM WEKSLEREM-WASZKINELEM:
Pomyślałem, że skoro Kościół mnie nie chce, to trudno. Trzeba, bym wrócił do swego „żydowskiego domu”

34 Skowronki z Saint-Denis
ANNA GARYCKA:
W paryskiej dzielnicy prostytutek Kościół prowadzi ewangelizację

37 Lek na lęk
PIOTR SIKORA:
Umysł ma skłonność do wyobrażania sobie przyszłości jako zagrażającej. Jezus uczył, jak sobie z tym radzić

■ ■ ŚWIAT

40 Tydzień Trumpa
MARTA ZDZIEBORSKA:
Nowy prezydent chce przemeblować Amerykę. Testuje przy tym demokrację

44 Prezydent z woli Boga
MASSIMO FAGGIOLI:
Herezje i pochlebstwa. Polityczno-religijny rytuał dla Trumpa

TEMAT TYGODNIKA

12
Fala większa od Trumpa
DARIUSZ ROSIAK
Czy demokracja liberalna nie ma szans w starciu z demokracją medialno-emocjonalną? Czy musi przegrać ze spektaklem, w którym rzeczywistość zmienia się wraz z każdym odświeżeniem treści?

AL DRAGO / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

■ FELIETONY ■
16 TOMASZ STAWISZYŃSKI
39 ZUZANNA RADZIK
51 ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
RAFAŁ TRZASKOWSKI
FOT. ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

46 Obiecuję ci, córeczko, że to ostatnia taka wojna
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

49 Paryż we mgle
SZYMON ŁUCYK:
Apele o dymisję Macrona: Francja tkwi w problemach

■ ■ PORTRET

52 Nie wolno nie pytać
WOJCIECH BONOWICZ:
Martin Pollack twierdził, że badanie historii bez uprzedzeń jest najważniejszym warunkiem zrozumienia samego siebie

■ ■ HISTORIA

56 Scena z przeszłością
ALEKSANDRA WIŚNIEWSKA:
Alternatywna muzyka w dawnym nazistowskim obozie pracy

■ ■ NAUKA

60 Komunikacja nadludzka
ROZMOWA Z PROF. MICHAŁEM KOSIŃSKIM, PSYCHOLOGIEM I BADACZEM SZTUCZNEJ INTELIGENCJI, *o tym, czy AI myśli*

■ ■ KULTURA

64 Jak w filmie
MONIKA OCHĘDOWSKA:
Jakuba Żulczyka krytyka literacka najczęściej zbywa, podobnie kapituły nagród literackich. Niesłusznie

68 Afro z fikuśnym grzybkiem
JAN BŁASZCZAK *o wybitnym kronikarzu hip-hopu*

71 Proszę państwa, oto miś
DOROTA MALINA:
W Paryżu miśki trafiły do muzeum

74 Film spełniony
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „The Brutalist” Brady’ego Corbeta*

75 Dni w Wenecji
LEKTOR *o książce „Kochanek bez stałego adresu” Carla Fruttero i Franca Lucentiniego*

■ ■ ZMYSŁY

78 Sztuka kochania
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ...
... PROSTO DO SWOJEJ SKRZYNKI
STR. 83

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

WAHADŁO PO PRAWEJ

Partie głównego europejskiego nurtu przechodzą na konserwatywne pozycje nie dlatego, że ich przywódcy zmienili poglądy. To elektorat wyraźnie przesunął swe polityczne centrum.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Donald Tusk przed przemówieniem w Parlamencie Europejskim. Strasburg, 22 stycznia 2025 r.

Donald Tusk nigdy nie miał opinii polityka realizującego dalekosiężne wizje cywilizacyjne, starał się raczej przewidywać, czego pragną tzw. normalsi, i do nich kierował swą ofertę. Nie zawsze mu to wychodziło, o czym świadczy nie tylko pamiętna klęska PO w 2015 r., którą obserwował już z gabinetu w Brukseli, ale też ubiegłoroczna utrata poparcia społecznego dla jego własnego rządu – w tempie nieznanym w historii III RP.

Dziś jednak obserwujemy innego Tuska – podejmującego ryzyko i aspirującego do przewodzenia całej Unii, zarazem dla wielu ludzi niewiarygodnego, bo mówiącego głosem swoich dotychczasowych przeciwników. Tymczasem nie tylko Tusk, ale cały europejski mainstream, nad Wisłą reprezentowany głównie przez Koalicję Obywatelską, zalicza wyraźny skręt ideowy, próbując ratować, co się da, ze swych wpływów, a także przejmując niektóre postulaty populistów. Wszystko po to, by zdążyć odbudować więź z oddalającym się elektoratem i nie pozwolić, by dla milionów Brytyjczyków czy Niemców to Elon Musk stał się głównym wyrazicielem zarówno ich lęków, jak i pragnień.

IDEE LEWICOWE I LIBERALNE są na Zachodzie w odwrocie. Polityczne wahadło wychyliło się w prawą stronę, i to w tempie zaskakującym dla polityków, tradycyjnych mediów, elit finansowych i celebrytów. Im głośniej mówili, co mają myśleć współobywatele, tym mocniej ci ostatni się buntowali. Donald Tusk nie przyznał tego wprost podczas przemówienia inaugurującego polską prezydencję w Unii, ale narysowane grubą kreską priorytety mówiły za siebie. Umeblują nam one życie na długie lata.

Większość mieszkańców Europy nie akceptuje już wyrzeczeń związanych z Zielonym Ładem; nie podobają im się szlachetne idee, za które trzeba zbyt słono płacić – ze świadomością, że reszta świata lekceważy walkę z globalnym ociepleniem i niemal

wszystko produkuje taniej niż Europa. Ujawnione przez „Politico” plany nowej unijnej strategii zwanej kompasem konkurencyjności są w zasadzie końcem Zielonego Ładu.

DRUGA ZMORA normalsów to gwałtownie topniejące poczucie bezpieczeństwa, związane nie tylko z prymitywnym, wydawałoby się już zapomnianym sposobem prowadzenia konfliktów, jaki stosuje dziś Rosja w Ukrainie – ale też z niekontrolowaną imigracją, zmieniającą w szybkim tempie stosunki społeczne, etniczne i religijne, a zarazem mocno wpływającą na wzrost przestępczości. I to w krajach, które włożyły masę wysiłku w integrację przybyszów, jak Wielka Brytania, Niemcy czy Szwecja.

Eksperyment ten niezupełnie się powiódł, co piszę ze smutkiem. Przekonanie, że wystarczy wyrwać kogoś ze złego świata i otoczyć opieką, a stanie się w pełni świadomym obywatelem, który jeszcze mocniej będzie dbał o nabyte w nowych warunkach prawa i wolności – okazało się naiwnością. Widzieliśmy to także w Polsce, gdy szlachetne osoby domagały się otwarcia naszych granic przed wpychanymi do Polski przez Łukaszenkę i Putina tysiącami migrantów. Ludzie bardzo wrażliwi na prawa człowieka, cierpienia mniejszości seksualnych i etnicznych równocześnie zapominali, że przy okazji sprowadzają na Zachód miliony osób hołdujących skrajnie odmiennym wartościom, często z krajów, w których podstawowe wolności kobiet są kwestionowane, a o prawach gejów, lesbijek i osób niebinarnych nikt nie ma odwagi nawet wspominać.

SYSTEM często integrował tych ludzi jedynie deklaratywnie; stawał się coraz bardziej przeciążony, a ostatnio wręcz się załamał, czego Europa doświadcza dziś w postaci brutalnych ataków w miejscach publicznych – ich ofiarami bywają nawet małe dzieci, sprawcy zaś niekiedy dokonują zbrodni pomimo orzeczonych już dawno temu, ale nigdy nie zrealizowanych nakazów deportacji. W coraz bardziej napiętej atmosferze informacja, że Muhammad stał się najpopularniejszym imieniem nadawanym chłopcom w Wielkiej Brytanii, wzmaga jeszcze społeczne lęki, których tradycyjne partie nie potrafią zredukować – uznawane są raczej za współodpowiedzialne za kryzysową sytuację.

Tusk przemawiał w Parlamencie Europejskim jako żywy dowód na to, iż partia ze środka sceny politycznej może skutecznie odebrać w dużym kraju władzę prawicowym populistom. Pamiętajmy jednak, że stało się tak nie dlatego, iż wyborcy w Polsce poszli w lewo – to polityczny środek jest już gdzie indziej, nie tylko zresztą u nas. Dostosowywanie się przez polityków do obserwowanych tendencji można uznać za hipokryzję, ale pójście tą drogą jest chyba jedyną nadzieją, by w przyszłości Europą nie rządziły na spółkę Alice Weidel z Marine Le Pen.

PEWNOŚCI NIE MAM, czy na tę operację nie jest już za późno. Nadzieją napawa fakt, że Europie udało się podnieść i stworzyć nowy, lepszy świat nawet po największym dramacie w historii świata. Z drugiej strony, oburzenie w stolicach europejskich po tym, jak Donald Trump oświadczył, iż leżące za oceanem USA nie będą już bezwarunkowo bronić naszego bezpieczeństwa – świadczy raczej o tym, że politycy na naszym kontynencie bujają w obłokach. I to nawet mając zbrodniczą armię Putina u swych bram. Być może powinniśmy podziękować Trumpowi, że w tak drastyczny sposób budzi nas z letargu.

Zrozumiał to już premier Polski. Nie wiem co prawda, na ile jego ponoszący wewnętrzne porażki rząd jest w stanie pociągnąć za sobą Europę, ale po raz pierwszy od wielu lat widziałem Tuska, który próbuje przewodzić, a nie płynąć z prądem. Jeśli mu się nie uda, prezydenckie wybory w 2030 r. mogą być już definitywnym końcem „PO-PiS-u” oraz wiktorią np. Krzysztofa Bosaka. I być może nie będzie on wówczas największym radykałem w Europie. ©℗

Gra na 800 plus

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ZGADZA SIĘ TU OD BIEDY JEDNO: RACHUNEK POLITYCZNYCH zysków i strat w nabierającej tempa kampanii. Ale i to niepewne: czy Rafał Trzaskowski, proponując odebranie 800 plus niepracującym Ukraińcom, zyska więcej niż straci? Czy antyukraiński – albo jak chcą inni: patrzący na interes i bezpieczeństwo Polski – elektorat rzuci się do poparcia kandydata KO, mając grających sprawniej na tej strunie kandydatów?

Zostawmy jednak twardą politykę. Program 500 plus miał od początku dwa cele. Pierwszy, który zdążyliśmy włożyć między bajki, sprowadzał się do wzrostu dzietności. Drugi miał charakter socjalny: obniżenie skali ubóstwa. W tym świetle propozycja Trzaskowskiego jest doskonałym zaprzeczeniem idei 500/800 plus: kandydat KO chce przecież odcinać od świadczenia tych, którzy radzą sobie gorzej. „Czy zasada »Nie pracujesz, to nie jesz« jest nową filozofią kandydata na prezydenta oraz polskiego rządu?” – pytał retorycznie na tygodnikpowszechny.pl prof. Paweł Kubicki, ekspert ds. polityki społecznej, zauważając przy okazji, że nowa propozycja może podsycić antyukraińskie nastroje.

Rząd Donalda Tuska, który zdążył już podchwycić propozycję Trzaskowskiego, powiązał wcześniej wypłacanie 800 plus dla Ukraińców z twardym obowiązkiem szkolnym. I bardzo dobrze: stało się tak po latach udawania przez PiS-owską władzę, że tysiące dzieci poza systemem oświaty to nie nasz problem. Teraz państwo dało sygnał: bierzemy za nie wszystkie odpowiedzialność, a w zamian zapewniamy najważniejsze rodzinne świadczenie. To logiczne: trudno sobie wyobrazić większy dowód na związek ukraińskiej rodziny z Polską niż dziecko integrujące się przez kilka godzin dziennie z tutejszymi rówieśnikami i uczące się języka. To zwiększa szanse pozostania rodziny w naszym kraju – tym samym zwiększając sensowność inwestowania w tę rodzinę i jej kapitał ludzki. Co ma do tego bieżąca sytuacja zawodowa matki? – trudno pojąć.

Trudno uwierzyć, że nową propozycję przeanalizowało grono wykraczające poza grupkę wpatrzonych w sondażowe słupki spin doktorów.

I że w sposób przemyślany wpisze się ona – jak by marzyli eksperci – w polską politykę rodzinną i strategię migracyjną (czy Polska wie, kogo i jak chce zatrzymać w swoich granicach, i jak się do tego ma nowa koncepcja 800 plus?). O ile w ogóle wejdzie w życie. Merytorycznie niedopracowana, wewnętrznie niespójna, politycznie ryzykowna – może skończyć jak wiele podobnych „wrzutek” w szufladzie. Ale wcześniej narobi szkód. ©℗

PASCAL BASTIEN / AP / EAST NEWS

Gry marszałka

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Sejm uchwalił tzw. ustawę incydentalną, zmieniającą obecnie obowiązujące przepisy, wedle których o ważności wyborów prezydenckich decyduje składająca się z tzw. neosędziów Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Jej legalność kwestionuje koalicja rządząca, powołując się m.in. na orzeczenia TSUE. Teraz o legalności wyborów będzie więc decydować 15 najstarszych stażem sędziów SN.

Projekt zgłosił marszałek Sejmu Szymon Hołownia, argumentując, że nie chce, by z uznaniem ważności wyborów prezydenckich były jakieś problemy. W swojej wersji proponował, by orzekały o tym pozostałe izby Sądu Najwyższego, a więc zarówno neosędziowie, jak i sędziowie starsi stażem.

Hołownia zapewne wyszedł ze swą propozycją z kilku powodów. Po pierwsze, by pokazać polityczną sprawczość. W tej sprawie odniósł porażkę, bo o ile jeszcze można było się zastanawiać, czy Andrzej Duda podpisze ustawę w wersji marszałka, to pod ostatecznie uchwaloną wersją na pewno podpisu nie złoży. Używając zapewne takich argumentów jak PiS – że o ważności wyborów nie powinni decydować sędziowie o PRL-owskiej proweniencji.

Marszałek Hołownia zapewne wiedział, że jego inicjatywa w pierwotnej wersji się nie utrzyma. Zgłaszając ją, chciał jednak zrealizować inny polityczny cel.

Pragnął zdjąć z siebie odium kogoś, kto w przypadku uznania przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej nieważności wyboru np. Rafała Trzaskowskiego będzie musiał to orzeczenie uznać i nie przyjąć przysięgi od zwycięskiego kandydata KO. Decyzja taka byłaby podwójnie ryzykowna, bo po pierwsze stanowiłaby usankcjonowanie nieuznawanej przez obóz rządzący izby, a po drugie powodowałaby, że to sam Hołownia objąłby czasowo urząd prezydenta. Tak się bowiem stanie, jeśli po 6 sierpnia, kiedy definitywnie kończy się kadencja Andrzeja Dudy, nie będzie legalnie wybranej głowy państwa.

Gdyby do takiej sytuacji doszło, na marszałka byłyby zapewne wywierane naciski, żeby mimo werdyktu Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN zaprzysiągł Trzaskowskiego. On jednak będzie mógł powiedzieć: chciałem tę sprawę uregulować ustawą, ale w obecnej sytuacji, żeby nie potęgować chaosu, muszę uznać orzeczenie wątpliwej izby i rozpisać nowe wybory.

Trzeba przyznać, że to zagranie zręczne i porządkujące sytuację. Póki nie ma możliwości trwałej zmiany prawa, powinno się uznawać werdykty Izby Kontroli Nadzwyczajnej, o ile nie są kuriozalne. Najwyraźniej marszałek uważa podobnie. ©

Rosja patrzy na Trumpa

ANNA ŁABUSZEWSKA

Między Kremlem a Białym Domem trwa wymiana zdań w przestrzeni publicznej. Nie wygląda na to, aby strony zmierzały do porozumienia, choć takie składają deklaracje.

Początek pierwszej kadencji Trumpa osiem lat temu był dla Putina czasem wielkich nadziei na dogadanie się w sprawie nowych zasad rządzenia światem. Rosyjscy propagandyści zwali wtedy prezydenta USA familiarnie „nasz Trumpuszka". Nadzieje te okazały się płonne, Putin niewiele ugrał. Dziś Kreml jest powściągliwy: czeka na propozycje Trumpa, na rozmowy. I wysyła sygnały.

Na kilka godzin przed zaprzysiężeniem 47. prezydenta Putin skrzyknął więc swoją Radę Bezpieczeństwa i oświadczył, że jest gotów prowadzić z nową administracją USA „równoprawny dialog na zasadach wzajemnego poszanowania". Mówił też o gotowości, by przedyskutować uregulowanie „ukraińskiego konfliktu" (jak się wyraził), gdzie celem byłby nie krótki rozejm, lecz „długotrwały pokój na bazie poszanowania uprawnionych interesów wszystkich ludzi, wszystkich narodów żyjących w tym regionie". W tłumaczeniu z putinowskiego na nasze: chodzi o „poszanowanie" roszczeń Rosji do zarządzania Ukrainą.

Tego dnia słowa Putina zawisły w próżni, w inauguracyjnej mowie Trump nie wspomniał o Ukrainie ani Rosji. Dopiero na spotkaniu z mediami w Białym Domu mówił: „Sądzę, że Rosja będzie miała duże problemy. Większość ludzi przypuszczała, że ta wojna zakończy się po tygodniu. Myślę, że w interesie Putina jest jak najszybsze jej zakończenie". Dwa dni później Trump napisał w sieci: „Zamierzam pomóc Rosji, której gospodarka znajduje się w stadium krachu, i Putinowi. Wzywam do zakończenia tej bezsensownej wojny, do porozumienia". W razie odmowy Putina zagroził nowymi sankcjami oraz wprowadzeniem wysokich ceł i podatków wobec wszystkich rosyjskich towarów. „Możemy osiągnąć ten cel (koniec wojny) w sposób łatwy albo trudny. Droga łatwa zawsze jest lepsza".

Sekretarz Putina, Dmitrij Pieskow, oznajmił na to, że Kreml nie widzi nic nowego w tym, co mówił Trump, i powtórzył, że Moskwa czeka na podjęcie „równoprawnego dialogu".

Wygląda więc na to, że na razie każda ze stron licytuje. Putin wysoko: jego cel maksimum to zakończenie wojny na jego warunkach i uznanie hegemonii Rosji na obszarze postsowieckim, z widokiem na odbudowę wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. A w konsekwencji zdemolowanie architektury bezpieczeństwa w Europie i wypchnięcie USA z kontynentu. ©

CHRISTOPHER FURLONG / GETTY IMAGES

Donald Trump rzuca pisakami, którymi podpisywał dekrety wykonawcze. Capital One Arena, Waszyngton, 20 stycznia 2025 r.

NA PUNKTY

APARTAMENT
Kampania Karola Nawrockiego weszła w fazę turbulencji po doniesieniach na temat wykorzystywania przezeń apartamentu Deluxe w Muzeum II Wojny Światowej, choć jego mieszkanie znajdowało się kilka kilometrów dalej. Wśród sprzecznych informacji – mieszkał, nie mieszkał – najzabawniejsza była deklaracja o prowadzeniu z tego miejsca „bardzo dynamicznej polityki międzynarodowej".

TOALETA
W fazie turbulencji kampania Rafała Trzaskowskiego znajduje się w zasadzie od początku. Ostatnio prezydentowi Warszawy kłopot sprawia miejska toaleta, do której nie da się wejść z powodu otaczającego ją błota – po nagłośnieniu sprawy prowizorycznie zasypanego trocinami.

KANDYDAT
Z toalety chciał skorzystać Krzysztof Stanowski, który również zapowiedział start w wyborach. „Stoję przed państwem nie po to, aby zostać prezydentem, bo nie mam ku temu kompetencji. Nie jestem w stanie piastować tego urzędu z godnością. To zupełnie jak moi konkurenci, ale oni o tym nie wiedzą" – zadeklarował twórca Kanału Zero. ©℗

Białoruski spektakl

PIOTR POGORZELSKI

Rozpisano je na sześć dni. Białoruskie „wybory" zaczęły się już we wtorek 21 stycznia, a według reżimu obywatele tylko czekali, by popędzić do lokali wyborczych i oddać swoje głosy na Alaksandra Łukaszenkę (na zdj.). Przed niedzielą zagłosować miała już niemal połowa wyborców.

Cytowani przez reżimowe media zapewniali, że poparli stabilność. Rzeczywiście, człowiek, który po raz siódmy startuje w *de facto* bezalternatywnych wyborach, zapewnia już nawet nie stabilność, co stagnację, polityczną martwotę.

Spektakl miał tradycyjną oprawę. W lokalach wyborczych ustawiono lady z jedzeniem, występowały zespoły estradowe i ludowe. Byli też „międzynarodowi obserwatorzy": Warszawę „reprezentował" zbiegły na Białoruś sędzia Tomasz Szmydt, w Polsce podejrzany o szpiegostwo. „Dzień wyborów jest doskonale zorganizowany" – mówili.

Wcześniej Łukaszenka okazał gest wobec Zachodu: w ciągu roku poprzedzającego „wybory" zwolnił niemal 300 więźniów politycznych. Jednocześnie jednak trwały nowe represje. Opozycja jest spacyfikowana – szef MSW Iwan Kubrakou mógł powiedzieć, że to były najspokojniejsze wybory w historii Białorusi.

W telewizji pokazano też, że wciąż żyją najbardziej znani więźniowie, w tym dziennikarze Radia Swaboda. Reżim uwolnił nawet Amerykankę, która odbywała wyrok w białoruskim więzieniu. Dyktator był tak dobry, że odsunął też od granicy z Polską i Litwą nielegalnych migrantów. Pozwolił też zagranicznym dziennikarzom obserwować „łże-wybory", z czego propaganda zrobiła dowód na „wolność słowa" i przejrzystość reżimu.

Uwolnienie trzystu z ogólnej liczby tysiąca kilkuset więźniów czy wyhamowanie wojny hybrydowej na granicy mogą sugerować, że dyktator może teraz podjąć próbę choćby częściowej normalizacji stosunków z Zachodem. W istocie jednak na Białorusi nic się nie zmieniło. Także gdy idzie o zależność Mińska od Moskwy. Zachód musi o tym pamiętać. ©

Autor jest jest wicedyrektorem Polskiego Radia dla Zagranicy i autorem audycji „Po prostu Wschód" w radiowej Trójce.

PAVEL BEDNYAKOV / AP / EAST NEWS

Dwaj biskupi z refleksem

ARTUR SPORNIAK

Reguła, że o skandalach wewnątrz Kościoła powinno się mówić jak najmniej, wciąż obowiązuje w polskim episkopacie. Ale są biskupi, którzy wydają się z niej wyłamywać. W ostatnim tygodniu pojawiły się trzy komunikaty.

Kuria sosnowiecka poinformowała pięć dni po otrzymaniu decyzji Watykanu, że Dykasteria ds. Duchowieństwa karnie wydaliła ze stanu duchownego Tomasza Z. Kara kościelna dla tego byłego już księdza, zajmującego wcześniej ważne stanowiska (m.in. redaktora naczelnego diecezjalnej edycji tygodnika „Niedziela"), jest konsekwencją wyroku sądowego (1,5 roku więzienia) za odurzanie narkotykami, wykorzystanie seksualne osoby bezradnej oraz nieudzielenie pomocy osobie zagrożonej. Chodzi o *sex party* w Dąbrowie Górniczej we wrześniu 2023 r., podczas którego straciła przytomność jedna z obecnych osób, a ks. Tomasz próbował blokować dostęp ratowników.

Drugi komunikat kurii sosnowieckiej informuje o upomnieniu kanonicznym i naganie oraz groźbie suspensy dla ks. Dariusza L., który mimo zakazu chodził w Jaworznie po kolędzie. Ciążą na nim zarzuty wykorzystania seksualnego dziewięciorga dzieci. Proboszcz, który zaprosił go na kolędę, podał się do dymisji. Komunikat ukazał się dwa dni po nałożeniu kar.

Trzeci komunikat wydała archidiecezja warszawska, informując, że nie ma nic wspólnego z organizowanym 1 lutego Kongresem dla społecznego panowania Chrystusa Króla, w którym mają uczestniczyć m.in. abp Andrzej Dzięga, ukarany przez Watykan wcześniejszą emeryturą za tuszowanie pedofilii w Kościele, czy znani z antysemickich wystąpień ks. prof. Tadeusz Guz i poseł Grzegorz Braun.

Komunikaty te, a zwłaszcza szybkość ich wydania, mogą świadczyć o początkach polityki jawności w obu diecezjach. Czy za przykładem bp. Artura Ważnego i abp. Adriana Galbasa pójdą inni? ©℗

KAROL PACIOREK / / ARCHIWUM PRYWATNE

DR HALSZKA WITKOWSKA, SUICYDOLOG:

Po raz pierwszy od kilkunastu lat liczba samobójstw spadła poniżej 5 tysięcy

ANNA GOC: Z danych Komendy Głównej Policji wynika, że między 2014 a 2024 rokiem liczba samobójstw spadła o ponad 21 proc. Sytuacja poprawiła się we wszystkich grupach wiekowych?

HALSZKA WITKOWSKA: Tak, ale największy spadek jest wśród dzieci i młodzieży do 19. roku życia. To ważna informacja, bo w tej grupie mieliśmy między 2020 a 2022 r. istotne wzrosty. W 2020 było 107 samobójstw, a w 2022 – już 156. Pierwszy spadek, o 7 proc., odnotowaliśmy w 2023 r., kolejny – o 12 proc. – w ubiegłym roku.

Wciąż wzrasta jednak liczba prób samobójczych.

W ubiegłym roku mieliśmy wzrost o niecałe 6 proc. w populacji ogólnej. Wśród dzieci i młodzieży skokowe wzrosty prób samobójczych zanotowaliśmy w 2021 i 2022 r. Pierwszy wzrost był o ponad 80 proc., a drugi o ponad 40. W latach 2023 i 2024 ta skokowa tendencja wyhamowała i zarówno w roku 2023, jak i w 2024 wzrost był na poziomie 3 proc. Warto podkreślić, że wzrost dotyczył głównie dziewcząt, które w latach 2020-2023 podjęły o 315 proc. więcej prób samobójczych. Nie wszystkie próby są też zgłaszane. Światowa Organizacja Zdrowia prognozuje, że na jedno samobójstwo przypada nawet 15 prób samobójczych, badania pokazują, że w przypadku dzieci na jedno samobójstwo może być nawet 200 prób. Wzrost ten, który stale obserwujemy, może być jednak efektem większej świadomości społecznej i tego, że próby są coraz częściej zgłaszane.

W ramach zapobiegania samobójstwom promujemy tzw. pierwszą pomoc emocjonalną, która – podobnie jak przedmedyczna – może uratować życie. Obowiązuje tu zasada „4Z" – zauważ, zapytaj, zaakceptuj, zareaguj. Nie trzeba być ekspertem od zdrowia psychicznego, żeby tej pomocy udzielić.

Co to znaczy: zauważyć czyjś kryzys?

Usłyszeć, co mówi bliska nam osoba. Nie bagatelizować zmian w zachowaniu. Wzrost agresji u dzieci bywa mylony z buntem nastoletnim. Należy zwrócić uwagę, jeśli ktoś płacze częściej niż zwykle, nie chce robić ulubionych wcześniej rzeczy. Ma problemy z koncentracją. Bardzo schudł albo przytył. Skarży się na bezsenność albo bóle, które nie mają wytłumaczeń chorobowych.

Jak o to pytać?

Nie przesłuchujmy: „Dlaczego masz myśli samobójcze?", raczej pytajmy, oferując naszą gotowość do słuchania: „Zauważyłem, że jesteś smutny. Możesz mi powiedzieć, co się wydarzyło?". Osoba, która próbuje pomóc, powinna mówić jak najmniej, nie komentować. Trzeci, najważniejszy krok, to zaakceptować. Czyli nie podważamy problemów drugiej osoby, nie mówimy, że na pewno sobie z nimi poradzi. Staramy się nie mówić, że rozumiemy, raczej, że próbujemy zrozumieć.

Dopiero w czwartym kroku reagujemy. Nasze działania nie muszą być wielkie. Czasami wystarczy, że pomożemy znaleźć psychologa. Dla kogoś innego wsparciem będzie odstawienie samochodu do mechanika albo wspólne posprzątanie mieszkania. Z ogromnego kryzysu wychodzi się małymi krokami i tam potrzebne jest wsparcie drugiego człowieka. ©℗

DR HALSZKA WITKOWSKA – *suicydolog, konsultant kryzysowy, ekspert Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego.*

Całą rozmowę czytaj na **TygodnikPowszechny.pl**

Wielka Orkiestra zawsze będzie potrzebna

33. FINAŁ WOŚP, karnawał w środku zimy. I choć zima przypominała przedwiośnie, reszta trzymała się tradycji. Tysiące wolontariuszy, ocean serduszek przyklejonych do kurtek, czapek, psich ubranek. Kwestujące przedszkolaki i seniorzy. Pomysłowe aukcje. Rekord na zakończenie niedzieli (ponad 178 mln zł, o kilka „baniek" więcej niż ostatnio) i, jak co roku, nadzieja oparta na doświadczeniu, że ostateczny wynik znów pokaże, jaką mamy moc.

Tradycyjne były też ataki. „Co to jest 200 mln zł – mówi prominentny polityk, były minister – gdy NFZ wydaje na ochronę zdrowia 200 mld zł. Promil. Tyle co nic". *Fact check:* rok temu WOŚP zebrała ponad 280 mln zł. Po drugie, pieniędzy zbieranych podczas finałów nie można porównywać z wydatkami na leczenie Polaków. Orkiestra kwestuje przede wszystkim na sprzęt medyczny i od 33 lat doposaża szpitale. Gdyby już szukać porównań, to raczej do finansowanych przez rząd programów zwanych narodowymi, przeznaczonych dla kluczowych obszarów medycyny. Przykład: w ubiegłym roku rząd wydał na inwestycje w transplantologię 100 mln zł.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

33. Finał WOŚP, Warszawa, 26 stycznia 2025 r.

Czasem od osób, które trudno posądzić o niechęć do WOŚP, np. lekarzy, można usłyszeć, że Orkiestra miała rację bytu, „gdy byliśmy biednym krajem". *Fact check:* organizacje charytatywne działają na rzecz szpitali również w krajach bardzo bogatych, jak USA. Działają inaczej niż nasze styczniowe granie, ale cel jest podobny: inwestowanie w rozwój placówek.

W tym roku Orkiestra pomaga oddziałom onkologii i hematologii dziecięcej. Rocznie diagnozę nowotworową słyszy ok. 1,2 tys. niepełnoletnich pacjentów. Większość, na szczęście, wyzdrowieje – wyleczalność nowotworów dziecięcych przekracza 80 proc., a polskie ośrodki leczą na europejskim poziomie. 26 stycznia mogliśmy się do tego przyczynić.

© MAŁGORZATA SOLECKA

Pragnienia krytyków

DEBATA ▪ Obok corocznych rankingów najlepszych książek, „Wyborcza” zaproponowała plebiscyt ćwierćwiecza. Zaproszenie do zabawy w typowanie ulubieńców podpaliło dyskusję tlącą się w środowisku osób piszących o literaturze. Wbrew pozorom nie dotyczy ona próby kwestionowania listy „Książek 25-lecia”, a raczej aktualnego statusu krytyków literackich oraz braku satysfakcji z wykonywanej pracy. Czytając poszczególne głosy, próbuję zrozumieć, jak ich autorzy definiują wzorzec gatunku. Otóż, jak się okazuje, za dobrą krytykę uznajemy nie próbę wychwycenia zjawisk literackich, a następnie pogłębioną ich analizę, lecz popisową chłostę popularnych, dobrze sprzedających się autorów. Drugie eksplikowane w mediach pragnienie osób piszących o literaturze dotyczy unieważnienia potencjalnych miejsc pracy, a więc popularnych, zarabiających na siebie dzięki reklamom, magazynów literackich. Zarzut? Prasa (zamiast chłostać) zajmuje się polecaniem lektur.

Dlaczego tak się dzieje? W Polsce każdego dnia wydaje się około 80-100 nowych tytułów, rocznie daje to sumę ok. 35-37 tys. książek. W przypadku tak ogromnej nadprodukcji, a także przy nieustannym braku wolnego czasu, którego wszyscy doświadczamy (książki konkurują nie tylko między sobą, ale także z serwisami streamingowymi, kinami i teatrem), od wysokonakładowej prasy oczekujemy wskazania wartościowych treści, zamiast punktowania złych. Dzienniki i tygodniki opinii stały się – na dobre i na złe – przewodnikami w czasach nadmiaru. Punktowaniu powinny służyć tytuły specjalistyczne, dotowane i promowane przez państwo.

Trzeci zarzut wobec recenzentów dotyczy personalnych zależności: w świecie, w którym wszyscy znają wszystkich, prawdziwa krytyka nie jest możliwa. Czy rzeczywiście? Narodziny nowoczesnej krytyki nastąpiły 9 marca 1665 r. Tego dnia francuska filozofka Madame de Sablé opublikowała recenzję książki swojego przyjaciela François de La Rochefoucaulda. Zanim tekst dotyczący „Maksym” ukazał się w prasie, autorka wysłała go do akceptacji autorowi książki. Efekt? La Rochefoucauld, zawstydzony pochwałą, wyciął z recenzji najbardziej znaczące, celne linijki. Morał płynący z tej opowieści pozostawiam krytykom.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

MARCIN WICHA / ARCHIWUM „TP”

POŻEGNANIE

Marcin Wicha

1972-2025

„Człowiek, który rysował bez przerwy” – tak się nazywał tekst, który napisał do „Tygodnika” 16 lat temu, i był to tekst o Feliksie Topolskim. Nad grafikami Topolskiego się zresztą poznaliśmy, jakieś ćwierć wieku temu, w warszawskiej siedzibie Studia Q przy Mokotowskiej. Jeszcze pod okiem Tomasza Kuczborskiego i Marka Zalejskiego – bo potem poszedł na swoje, do biura projektowego Frycz i Wicha – pracował wtedy nad projektem zmiany formatu i szaty graficznej „TP”, ukazującego się na płachtach formatu A2. Nie pamiętam już, jaki esej chciał ilustrować Topolskim, ale pamiętam, jak świetnie wyglądało to na kolumnach, zgodnie zresztą z tym, co mówił pracownikom Muzeum Narodowego, do których chodził po reprodukcje – zdumionym nagłym zainteresowaniem rysownikiem, o którym wszyscy zapomnieli.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Do opisywania postaci i spraw, o których wszyscy zapomnieli – albo o których mówić nie potrafili – miał talent. „Był troszku takim Themersonem: pisanie dla dzieci, projektowanie, płynne przejścia między obrazem a słowem” – napisała po jego śmierci Eliza Kącka. Inni przypominali typowe dlań lapidarne frazy – zwłaszcza z wyróżnionych w 2018 r. Nagrodą Nike „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” – portretu zmarłej matki, powstałego w trakcie porządkowania tego, co po sobie zostawiła. „Kiedyś sądziłem, że ludzi pamiętamy, dopóki możemy ich opisać. Teraz sądzę, że jest odwrotnie: są z nami, dopóki nie umiemy tego zrobić” – brzmiała jedna. „Powinien istnieć specjalny znak interpunkcyjny. Graficzny odpowiednik skurczu krtani” – głosiła kolejna. Był w tej książce żydowski los, było przemijanie ludzi i rzeczy, były powściągliwość i dystans – a może obawa przed gadulstwem, która Marcina charakteryzowała także jako grafika.

Nie umiem go opisać: jego poczucia humoru, życzliwości, ciepła – i nieugiętości zarazem. W „Tygodniku” – obok tekstów o designie i ulubionych artystach oraz artykułów na wyjątkowe okazje, jak zmiana formatu czy jubileusz pisma, zlecanych przez redakcję w przekonaniu, że każdy inny autor nie ustrzeże się sztampy – był gospodarzem „Wichajstra”, rubryki z rysunkowym komentarzem niby do wydarzeń bieżących, a przecież zachowującym świeżość do dziś.

Oprócz „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” wydał dedykowany ojcu architektowi esej „Jak przestałem kochać design” – opis przemian polskiego zmysłu estetycznego ostatnich kilku dekad, poświęcony Kazimierzowi Malewiczowi „Kierunek zwiedzania”, „Gościnne występy. Kawałki o projektowaniu” i zbiór felietonów (pisał je dla „Polityki” i „Pisma”) „Nic drobniej nie będzie”. Jednak jego pierwszą książką była „Klara. Proszę tego nie czytać” z 2011 r., za którą poszedł „Łysol i Strusia” – i żegnając go dziś mam poczucie, że choć dziękować mógłbym za rzeczy, które dał i polskiej kulturze, i naszej redakcji, to najbardziej chciałbym podziękować za godziny, które minęły mi na czytaniu Wichy dzieciom – i za kaskady śmiechu w czasach, które były bardzo trudne.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TEMAT TYGODNIKA

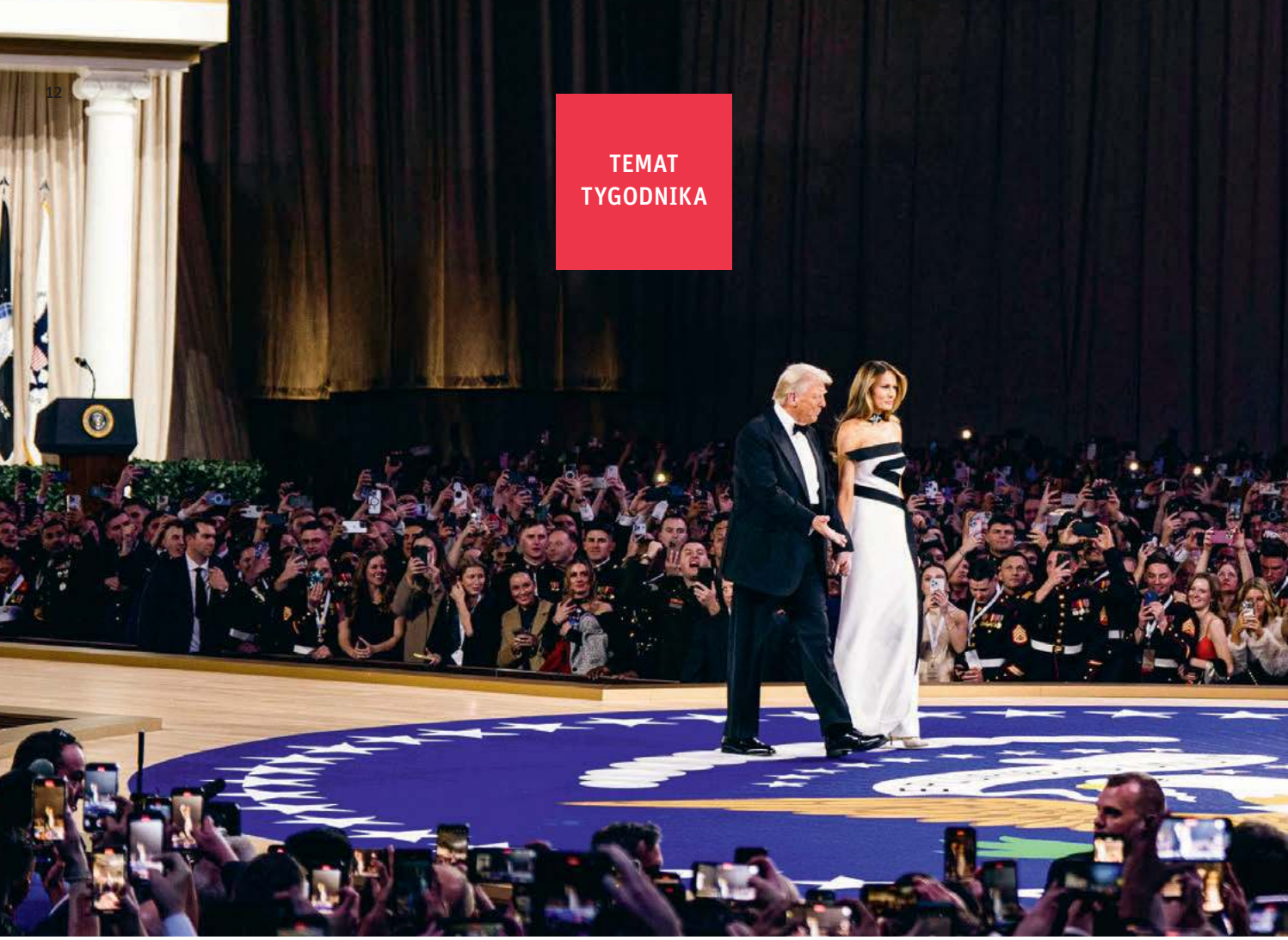

FALA WIĘKSZA OD TRUMPA

Czy demokracja liberalna nie ma szans w starciu z demokracją medialno-emocjonalną? Czy musi przegrać ze spektaklem, w którym rzeczywistość zmienia się wraz z każdym odświeżeniem treści?

DARIUSZ ROSIAK

Co się dzieje ze światem? Prezydent największej demokracji globu zapowiada aneksję Grenlandii i Kanady, AfD w Niemczech, prorosyjscy pogrobowcy Hitlera w Austrii, sojusznicy Putina w Słowacji i na Węgrzech. Odchodzi do lamusa pokolenie polityków przewidywalnych: Macron i Scholz nazywani są „chorymi ludźmi Europy", gwiazda Trudeau zgasła i nikt za nim nie płacze. Tworzy się nowa „oś dobra": Trump w Ameryce Północnej, Javier Milei w Południowej i Giorgia Meloni w Europie. Na horyzoncie przegrana Ukrainy w wojnie z Rosją, niekończący się chaos na Bliskim Wschodzie, krwawa wojna w Sudanie.

Władcami umysłów są Musk, Zuckerberg i Bezos, AI za chwilę będzie wszystkim rządzić, a przyczynią się do tego polscy geniusze matematyczni na służbie u amerykańskich oligarchów technologicznych. Słowem, jak pisał poeta, „wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; / Czysta anarchia szaleje nad światem".

Rzecz w tym, że permanentny kryzys nie jest kryzysem. Jest memem, który obnaża naszą bezradność w rozumieniu i opisie zmian, których tempo i skala nas przygniatają. Moralna panika towarzysząca wydarzeniom politycznym czy społecznym jest reakcją organizmu wyczerpanego nieustannym bezrefleksyjnym wchłanianiem informacji. Wszystko nam się miesza, nie potra-

Prezydent USA Donald Trump i pierwsza dama Melania Trump przybywają na tradycyjny Bal Naczelnego Dowódcy podczas 60. inauguracji prezydenckiej w Waszyngtonie. Stany Zjednoczone, 20 stycznia 2025 r.

AL DRAGO / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

fimy odróżnić rzeczy ważnych od mniej ważnych, nie umiemy skupić uwagi na jednej myśli, ale też tracimy zdolność łączenia rzeczy w całość. Jak pisał inny poeta, „patrząc – widzą wszystko oddzielnie: Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...".

Chciałbym wierzyć, że skoro Tuwim sto lat temu potrafił w miarę precyzyjnie opisać umysł współczesnego użytkownika telefonu komórkowego, to może nie tak znowu wiele się zmieniło. Może w ogóle nie powinniśmy panikować? Zawsze istnieli głupcy, hipokryci, szubrawcy i złodzieje, zwłaszcza w polityce i innych sferach życia publicznego. Jednak świat Tuwima różnił się od naszego w jednym, podstawowym wymiarze: był autentycznym i bezpośrednim polem doświadczenia ludzkiego. Jeszcze nie tak dawno obserwacja kondycji ludzkiej nie odbywała się za pośrednictwem ekranu telefonu komórkowego albo komputera. Dzięki nowym technologiom świat, którego doświadczamy dziś, jest światem zapośredniczonym przez media. I to zmienia wszystko.

Poza słowami

Słowa tracą sens: wolność może oznaczać poddanie się władzy algorytmów, a wymaganie szacunku dla godności drugiej osoby może być cenzurą. Kiedy realnie pojawia się zagrożenie dla wolności słowa, nie umiemy tego zauważyć, bo odrywamy słowa od ich pierwotnego znaczenia.

Słowa są dziś poddane najwyższemu prawu medialnego świata internetowego, czyli „optymalizacji". Jej punktem odniesienia nie jest rzeczywistość, tylko odczucia odbiorców. Zostają oni pogrupowani w „bańki" – partyjne, estetyczne, rasowe, genderowe – i sprzedawani są w pakiecie jako produkty polityczne albo biznesowe, co zresztą na jedno wychodzi. Dla handlarzy naszą uwagą ideałem jest świat, w którym kłócimy się ze sobą do upadłego na dowolny temat – nie po to, by dojść do prawdy, bo prawdy przecież nie ma, tylko po to, by kontynuować wojny, które generują konkretny zarobek.

Słowa i obrazy nie służą zatem do opisywania rzeczywistości, tylko do mnożenia klików, a dzisiejsi dziennikarze, socjolodzy i badacze trendów wyborczych abdykują z pozycji obserwatorów i analityków, stając się przekazicielami emocji mających trafić do odbiorcy. Algorytmy zadbają już o to, by trafiły.

Skutkiem wycofywania się dziennikarzy i innych obserwatorów rzeczywistości z próby jej bezstronnego i bezinteresownego opisu jest pogłębianie chaosu w głowach ludzi. Każda opinia ma jednakową wartość, bo nie ma stałych punktów odniesienia, według których tę wartość można by weryfikować. Naczelnym weryfikatorem staje się popularność w sieci, liczba odsłon, polubień, podań dalej.

Jaki związek ma likwidacja sensu słów we współczesnej komunikacji medialnej z kryzysem demokracji? Bezpośredni, i to na kilku poziomach. Obrońcy analogowego świata będą przekonywać, ↦

↦ że demokracji zagrażają „populiści", czyli ludzie o poglądach i zachowaniu, które wydają nam się oburzające i którzy w niezrozumiały dla nas sposób zdobywają większą popularność niż my.

Jest też inna definicja: populiści to rewolucjoniści, którym się nie udało. Populista przestaje nim być, stając się rewolucjonistą, jeśli jego bunt kończy się sukcesem i obaleniem starego porządku. Tak było w czasach Robespierre'a, Lenina i Wałęsy.

Zawsze teraz

Każda zasadnicza zmiana społeczna polega na reakcji wobec zastanego systemu, odrzuceniu norm, ataku na podstawy porządku prawnego, politycznego, estetycznego. Populiści Trump, Milei, Meloni, Orban przekształcają się na naszych oczach w rewolucjonistów, a raczej w narzędzia rewolucji, której zasady przyswoili i potrafią je wykorzystać w politycznej praktyce. Współczesna rewolucja to coraz bardziej samodzielny, niezależny twór technologiczno-społeczny, który posługuje się politykami. Jednym z jej owoców będzie, a może już jest, nowa wersja demokracji: demokracja medialno-emocjonalna.

Jeśli rewolucja się powiedzie – a wiele na to wskazuje – to liberalna demokracja w formie znanej nam obecnie i bronionej w coraz bardziej chaotyczny sposób przez mainstreamowe media i polityków przestanie istnieć. Nie da się bowiem połączyć świata mediów internetowych ze światem tradycyjnej polityki, której podstawę stanowiły wierność deklarowanym wartościom, realizacja programów społecznych i obietnic wyborczych.

Nieważne, że od zawsze politycy kłamali i sprzeniewierzali się głoszonym przez siebie ideałom. Istotne, że stanowiły one punkt odniesienia dla nich i ich wyborców. W świecie zdominowanym przez media internetowe kwestia wierności wartościom czy realizacji obietnic wyborczych nie ma zastosowania, liczy się wyłącznie schlebianie emocjom poszczególnych segmentów odbiorców i dopasowywanie świata do ich oczekiwań. Nie szkodzi, że te segmenty są zamknięte w sobie i nieprzepuszczalne. To na tym polega przecież polityka tożsamościowa, a to ona stanowi podstawę medialnej demokracji medialno-emocjonalnej, która wyprze analogową demokrację liberalną.

Życie publiczne, a zatem także polityka, będzie rozgrywanym w czasie rzeczywistym spektaklem, z którego usunięty zostanie kontekst historyczny. Rzeczywistość zmienia się wraz z odświeżeniem treści, nieważne, co kto mówił wczoraj, ważne jest wyłącznie to, co dzieje się teraz. Każda deklaracja ma charakter definitywny i wykluczający inne i każda kolejna skazuje na zapomnienie deklaracje poprzednie. W demokracji medialno-emocjonalnej sukces odnoszą ci, którzy najlepiej dostosują swój przekaz do wygody odbiorcy i jego emocjonalnych oczekiwań.

W świecie zdominowanym przez media internetowe kwestia wierności wartościom czy realizacji obietnic wyborczych nie ma zastosowania, liczy się wyłącznie schlebianie emocjom odbiorców.

Nie do pomyślenia?

Jeśli kogoś taka wizja przeraża, to zwracam tylko uwagę, że w zasadzie już żyjemy w takim świecie, a unikanie zrozumienia tego, co jest jego istotą, nie polepsza, tylko pogarsza naszą sytuację. Nie polepszają jej też chaotyczne ruchy obrońców starego analogowego porządku, które przesiąknięte są łatwo wyczuwalnym strachem i hipokryzją.

Oto kilka przykładów. Sąd konstytucyjny w Rumunii unieważnia wybory pod pozorem ochrony państwa przed obcymi wpływami i manipulacjami algorytmów. Prezydent Francji od kilku miesięcy heroicznie chwyta się konstytucyjnych uprawnień, po to, by krajem nie rządziły ugrupowania, które wygrały wybory. W Polsce rząd, który przejął instytucje państwowe niszczone przez lata rządami PiS-u, kontynuuje destrukcję niektórych z nich, powołując się na potrzebę sprawiedliwości i – a jakże – umocnienia demokracji.

Ten proces odbywa się nie tylko na poziomie poszczególnych państw, ale również w systemie międzynarodowym. Włochy, Francja, a ostatnio Polska zapowiadają jawne złamanie zobowiązań, gwarantując ochronę premiera Izraela przed nakazem aresztowania wydanym przez Międzynarodowy Trybunał Karny (to, czy wydanie nakazu było słuszne czy nie, nie ma tutaj znaczenia). Premier Węgier udziela azylu politycznego osobie podejrzanej w Polsce o zdefraudowanie publicznych środków i otwarcie podważa przepisy prawa Unii Europejskiej, do przestrzegania których zobowiązał się, wstępując do Wspólnoty.

Poprzez ignorowanie prawa międzynarodowego i zawartych przez państwa zobowiązań podważane są podstawy systemu budowanego na Zachodzie od czasu II wojny, systemu, który od 80 lat gwarantował milionom ludzi życie w kokonie historii: świecie dostatku i pokoju nieznanych wcześniej w tak długim okresie historii cywilizacji. Perspektywa rozpadu Unii Europejskiej w znanej nam formie nie jest dziś niemożliwa. Od czasu wojny starcie wojenne między dwoma państwami demokratycznymi było nie do pomyślenia. Jak długo tak będzie?

Na odlew

Tych napięć nie da się rozwiązać przy użyciu najpopularniejszych obecnie narzędzi debaty publicznej: oburzenia albo ironii. Musk i Zuckerberg już walą na odlew. Nie muszą udawać: chodzi o jeszcze więcej pieniędzy i jeszcze więcej władzy. W imię wolności, walki z cenzurą i szaleństwami woke'izmu socjalmedialna agora zmienia się w ściek, w którym znikają wszelkie tamy dla nienawiści, przemocy i trucizny. Ale przy okazji oburzenia na ekscesy technologicznych oligarchów polski rząd próbuje przepchnąć przepisy, w ramach których bez orzeczenia sądu można będzie kneblować niewygodnych autorów.

Zarzuty o hipokryzję wysuwane wobec Elona Muska czy Marka Zuckerberga albo obawa przed wpływami niewybieranych i nieweryfikowanych przez nikogo miliarderów na sposób, w jaki komunikuje się większość globu, są zasadne. Kolejni technologiczni oligarchowie amerykańscy (Jeff Bezos, Sundar Pichai, Sam Altman, Tim Cook, Satya Nadella) w ostatnich tygodniach przed inauguracją podarowali Trumpowi fortunę (sam Microsoft Nadelli ofiarował milion na fundusz inau-

JULIA DEMAREE NIKHINSON / AP / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Mark Zuckerberg, Lauren Sanchez, Jeff Bezos, Sundar Pichai i Elon Musk, podczas 60. inauguracji prezydenckiej w Waszyngtonie. 20 stycznia 2025 r.

guracyjny nowego prezydenta). Warto pytać, co dostaną w zamian.

Równie zasadne jest jednak pytanie o to, czym właściwie różni się podjęta przez Elona Muska próba wpłynięcia na politykę niemiecką przed wyborami od lustrzanej próby deprecjonowania Trumpa ze strony mediów niemieckich – zarówno w ubiegłym roku, jak i przed poprzednimi wyborami. Nawet ci, którzy dziś krytykują polaryzację polityczną, woke'izm i inne trucizny, które sączą się gęstą strugą w sieci, kwitną na tym bagnie. Przekonanie, że każda, nawet najmniejsza grupa ludzi dzieli się na opresorów i prześladowanych, nie jest wcale ograniczone do wyznawców woke'izmu. Wojna wszystkich ze wszystkimi jest dziś naturalnym środowiskiem medialnym – również mediów zwanych „tradycyjnymi" – i staje się naturalnym stanem demokracji medialno-emocjonalnej.

Możemy się zżymać na wezwanie Muska, by Ameryka wyzwoliła brytyjski lud spod władzy „tyranicznego reżimu", albo na jego wywiad z liderką niemieckiej partii o korzeniach rewizjonistycznych i rasistowskich. Możemy wyśmiewać ideę „powrotu do korzeni" Marka Zuckerberga, która w praktyce stanowi zezwolenie na sączenie trucizny na Facebooku i Instagramie bez jakichkolwiek ograniczeń. Ale warto się zastanowić, co tak naprawdę w obu tych postaciach nas oburza.

Przypadek Zuckerberga i innych oligarchów technologicznych jest prosty. Chodzi im o brutalną walkę o władzę, której wynikiem ma być powiększenie ich bogactwa i sfery wpływów. Kwestia krytyki Muska za mieszanie się w politykę nie jest już tak oczywista. Ma on prawo do najbardziej skrajnych poglądów i zapraszania do swoich wywiadów, kogo zechce, nawet najbardziej podejrzanych typów. Wolę żyć w systemie, który gwarantuje mu taką możliwość, niż w świecie, gdzie prawem do dyskusji dysponuje urzędnik. Nie wolno nam nie dostrzegać, że obecny moment przesilenia i kryzysu kulturowego wykorzystywany jest przez polityków i ideologów broniących starego świata wyłącznie w obawie przed utratą władzy i przywilejów. A przy tym często stosują metody podobne do tych, których przez lata krytykowali. Przykład Polski i rządu, który pod pozorem wprowadzania unijnej dyrektywy DSA zostawia miejsce na cenzurowanie treści przez urzędnika (prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej, który mógłby bez decyzji sądu i w trybie ekspresowym wskazywać platformom internetowym treści do zablokowania), jest tutaj bardzo znaczący.

Świat bez murów

Czy demokracja liberalna ma jeszcze szansę w starciu ze swoją medialno-emocjonalną odmianą? W idealnym świecie prawdopodobnie dawałby ją system globalnych regulacji wprowadzanych z poszanowaniem podstawowego prawa użytkowników nowych technologii, czyli prawa do wolności słowa. Jednak takiego procesu nie da się dziś przeprowadzić.

Po pierwsze, okres beztroskiej globalizacji mamy już za sobą. Dziś coraz częściej koncentrujemy się na jej negatywnych skutkach, zapominając, swoją drogą, o tym, jak wiele dobra uczyniła miliardom ludzi na całym świecie. Po drugie, przy obecnym postępie technologicznym regulacje nie są w stanie nadążyć za zmianami w obrębie dziedzin, które mają regulować. Co nie znaczy, że nie należy podejmować prób ograniczania wpływów niewybieranych oligarchów technologicznych. Czy Unia Europejska i jej instytucje są w stanie zakończyć takie próby sukcesem? Dotychczasowe doświadczenie daje pewne nadzieje, co nie zmieni jednak faktu, że pod naporem nowych technologii demokracja liberalna kurczy się i zmienia w odmianę, której wpływu na ludzkość nie jesteśmy w stanie w pełni przewidzieć.

Nie wolno też godzić się na naprawianie demokracji przez łamanie jej zasad, bo to prowadzi do jeszcze większego chaosu i zapętlenia, odsuwając tylko na chwilę rozwiązania, których domaga się elektorat i które i tak nastąpią – chyba że demokratyczne rządy wyprowadzą wojsko na ulice. Wpływy polityczne partii antysystemowych rosną w całym zachodnim świecie (obecnie Polska jest jednym z nielicznych wyjątków) i działania prawne albo polityczne nie powstrzymają tego wpływu. Co najwyżej będą potęgowały kryzys i brak zaufania ludzi do wymiaru sprawiedliwości i psuły życie publiczne. A AfD i BSW w Niemczech, Zjednoczenie we Francji, Partia Wolności w Holandii i tak będą rosły w siłę.

W dawnych czasach, gdy barbarzyńcy z północy zagrażali cywilizacji, Rzymianie, Chińczycy, Persowie budowali mury i chowali się za nimi, oddając się wygodnemu życiu i samorealizacji. To już nieaktualne – nie ma takiego muru, który odgrodzi nas skutecznie od sieci. Jednak zamiast panikować, powinniśmy się przyglądać postępom nowej demokracji i oceniać zarówno jej dobre, jak i złe strony, stawiając czoła obu. Bo, jak śpiewał jeszcze inny poeta w zupełnie innych okolicznościach: „czasy nadchodzą nowe".

© DARIUSZ ROSIAK

O początku prezydentury Donalda Trumpa czytaj też w dziale Świat.

TOMASZ

Stawiszyński: *Uczniowie czarnoksiężnika*

Wygrana Donalda Trumpa to przede wszystkim efekt kryzysu lewicowo-liberalnej opcji politycznej w Stanach Zjednoczonych. Jej niezdolności do stawienia czoła realnym problemom, takim jak przestępczość, plaga uzależnień, bezdomność, bieda, rozwarstwienie społeczne, nielegalna imigracja, rosnący procent osób cierpiących na depresję czy inne zaburzenia psychiczne, pogrążonych w rozpaczy, pozbawionych nadziei. Modele teoretyczne, w myśl których źródłem wszelkiego zła w świecie są w pierwszej kolejności dyskryminacja, rasizm, patriarchat i kolonializm, okazały się wobec tych wyzwań, delikatnie mówiąc, niewystarczające.

Głosując na Trumpa, ogromna rzesza ludzi (do której, jak pokazują dane, nie należeli wcale wyłącznie biali heteroseksualni mężczyźni w średnim wieku, lecz także kobiety, Latynosi oraz Afroamerykanie) symbolicznie pokazała tej doktrynie czerwoną kartkę. Czy jednak Trump spełni pokładane w nim nadzieje? Niewiele na to wskazuje.

Owszem, 47. prezydent USA doskonale rozumie – co znalazło potwierdzenie w jego mowie inauguracyjnej – że ludzie potrzebują dziś nowej, aktywizującej, przywracającej motywację i poczucie sensu opowieści. Praca, która owocuje dobrobytem; kraj, który dzięki uczciwemu wysiłkowi będzie się bogacił; kolejne pokolenia, dla których przygotujemy lepszą przyszłość; powrót do prostych wartości i „zdrowego rozsądku"; Bóg, który nad nami czuwa – to wszystko tam było, przemyślane i skomponowane. Do tego wizja dawnej, wspaniałej Ameryki, tej z pocztówek, filmów czy książek, która znowu jest tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki, wszak złota era właśnie się zaczyna. Ani słowa o biciu się w piersi za niechlubną przeszłość, ani słowa o katastrofie klimatycznej, ani słowa o opresji większości wobec mniejszości. Za to odwołanie do Martina Luthera Kinga, a potem natchniony afroamerykański pastor Lorenzo Sewell, który zdawał się w trakcie swojej spektakularnej modlitwy doświadczać nawiedzenia Ducha Świętego. Naiwne i efekciarskie? Oczywiście, ale działa.

Ci jednak – a wielu jest takich wśród jego zwolenników – którzy spodziewają się, że Trump i jego ekipa prowadzić będą przemyślaną politykę w kierunku jakiegoś nowego, konserwatywnego ładu, mogą się srodze zawieść. Postmodernistyczny, nabuzowany, ofensywny kryptotradycjonalizm Trumpa, podpięty pod technologiczne latyfundia Jeffa Bezosa, Marka Zuckerberga oraz Elona Muska, w dniu inauguracji zasiadających dumnie w pierwszym rzędzie – nie zwiastuje bynajmniej, wbrew deklaracjom, powrotu do „zdrowego rozsądku", lecz raczej mniej lub bardziej niekontrolowane odreagowanie. Nie dajmy się, z drugiej strony, zwieść panicznym reakcjom i najczarniejszym fantazjom. Zbyt wielkie pieniądze, zbyt rozległe interesy są tutaj na stole, żeby ktokolwiek pozwolił na chaos czy anarchię. Obecność trzech technomiliarderów na inaugracji, ich potężne kontrakty z państwowymi instytucjami, w tym z sektorem obronności, wreszcie Musk na jakimś dziwnym, dla niego specjalnie stworzonym stanowisku „szefa departamentu wydajności" – wszystko to zwiastuje nową odmianę mariażu pomiędzy biznesem, wojskiem a państwem. Biznesem wirtualnym, dodajmy, czyli takim, który dziś obsługuje i reguluje najważniejsze obszary naszego życia. I to jest chyba najbardziej niepokojący aspekt sprawy.

Chaosu nikt nie planuje, ale czy to oznacza, że on nie nadejdzie? Nigdy nie ma takiej gwarancji, zwłaszcza jeśli pracuje się na potężnych zbiorowych siłach: na ludzkich lękach i nadziejach, na agresji, żądzy władzy, pieniądza i potęgi. Klasyczna opowieść o uczniu czarnoksiężnika dobrze ilustruje, z jakimi mechanizmami mamy tu do czynienia. Cóż, biorąc choćby pod uwagę specyficzną osobowość Elona Muska, jego dziwaczne zachowanie, impetyczne gesty przywodzące na myśl salut rzymski, należy się spodziewać nieoczekiwanych zwrotów akcji. Nie wspominając o tym, że Musk od wielu miesięcy propaguje na platformie X najdziwaczniejsze teorie spiskowe. Niedawno udostępnił np. tweet niejakiego Petera Swedena, szwedzkiego dziennikarza i producenta telewizyjnego, niezwykle zasłużonego na niwie rozsiewania dezinformacji i kłamstw, w tym także negowania Holokaustu. Pokazuje to albo zupełną utratę kontaktu z tzw. realem, albo niezdolność do bazowego rozróżnienia między informacją rzetelną a brutalną propagandą, albo też bezgraniczny cynizm. Niezależnie od tego, który wariant jest prawdziwy, okoliczność, że człowiek będący twarzą nowej amerykańskiej administracji robi takie rzeczy, oznacza poważne ryzyko chaosu. Podobne ryzyko pociąga nominacja Roberta F. Kennedy'ego Jr. na sekretarza ds. zdrowia i opieki społecznej (o czym niedawno pisałem).

No dobrze, ale jak to może wyglądać w praktyce? Tak samo, jak zawsze, tyle że dotąd nie działo się to nigdy na tak wysokim szczeblu władzy, w samym sercu zachodniej cywilizacji. Każdy, kto myśli spiskowo – czyli bez możliwości weryfikacji swoich przekonań, oddalając się od faktów, a pogrążając w fantazjach i iluzjach – zmierza do kolizji z rzeczywistością. W przypadku Trumpa i jego ludzi jej impet będzie wprost proporcjonalny do wysokości stawek, o które toczy się gra, oraz pozycji, którą zajmują w niej poszczególni gracze. Pozostaje tylko nadzieja, że nie znajdziemy się wszyscy w strefie zgniotu... ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

POŻEGNANIE

18 stycznia 2025 roku zmarł w wieku 93 lat

Stefan Turnau

nasz kochany ojciec, mąż, brat, stryj, wuj, dziadek i pradziadek

profesor matematyki, dydaktyk, wychowawca i nauczyciel

wieloletni wykładowca krakowskiego Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej (dawniej WSP) oraz Uniwersytetu Rzeszowskiego

nestor naszego rodu

Żegnamy go ze smutkiem i wdzięcznością.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się 3 lutego 2025 r. o 12.20 na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Zamiast kwiatów i kondolencji rodzina prosi o wsparcie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy lub Hospicjum św. Łazarza.

OGŁOSZENIE

REZERWUJ CZAS!

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Błogosławienie dzieci

W piątkowy wieczór, nim żydowska rodzina zasiądzie do wieczerzy szabatowej, tradycyjnie rodzice błogosławią swoje pociechy. Nie jest to zwyczaj uniwersalny, acz bardzo rozpowszechniony. „Oby Bóg uczynił cię podobną Sarze, Rebece, Racheli i Lei" – słyszy córka. Do tego zazwyczaj dodaje się błogosławieństwo, znane części z Państwa z uroczystego zakończenia mszy świętej: „Oby Pan cię błogosławił i strzegł. Oby Pan rozjaśnił dla ciebie swoje oblicze i okazał ci łaskę. Oby Pan zwrócił ku tobie swoje oblicze i zesłał ci pokój" (Lb 6, 24-26; przekład własny). Słowa te, zwane w Kościele błogosławieństwem Aaronowym, Żydzi nazywają kapłańskim. Najwyższy poprzez Mojżesza przykazuje Aaronowi i jego potomkom – czyli właśnie kapłanom (w judaizmie kapłanem człowiek się rodzi, a nie nim zostaje), by używali tej formuły. „I tak niechaj złożą imię Moje na synów Israela, a Ja ich błogosławić będę!" (wers 27; Cylkow). Skoro wyrażamy życzenie, by nasze córki poszły w ślady Pramatek, należałoby się spodziewać, że chcielibyśmy dla naszych synów, by wzorowali się na Praojcach. Tymczasem synowie przed błogosławieństwem kapłańskim słyszą: „Oby Bóg uczynił cię podobnym Efraimowi i Manassesowi". Efraim i Manasses? A cóż to za jedni?

Niektórzy uśmiechają się pod wąsem, bo wiedzą, kto zacz: to dzieci Józefa, syna trzeciego z Praojców. Co wyróżnia tych chłopców spośród wszystkich Jakubowych wnucząt? Oni jako jedyni przyszli na świat poza Ziemią Obiecaną, konkretnie – w Egipcie. „A Josefowi urodzili się dwaj synowie, zanim nastał rok głodu, których urodziła mu Osnath, córka Poti-fery, kapłana Onu" (Rdz 41, 50). Wybór imion nie był przypadkowy. „I nazwał Josef imię pierworodnego: Menasze, »gdyż – dał mi zapomnieć [hebr. *naszani*] Bóg wszystkie nieszczęścia moje, i cały dom ojca mojego«" (wers 51). „A imię drugiego nazwał: Efraim, »gdyż – rozmnożył mnie [hebr. *hifrani*] Bóg w ziemi niedoli mojej«" (wers 52). Manasses i Efraim przeżyli całe życie w Diasporze, a jednak zdołali oprzeć się dominującej kulturze. Czyż nie tego pragniemy dla naszych dzieci? A przy okazji – wypełniamy życzenie, wypowiedziane przez dziadka Jakuba tym dwóm jego wyjątkowym wnukom: „I błogosławił im w on dzień, mówiąc: »Tobą błogosławić będzie Israel w słowach: 'Oby uczynił cię Bóg jako Efraima i jako Menaszę!'«" (Rdz 48, 20). ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Światło wiedzy i wiary

Wydawało się przed laty, że skoro na uniwersytety wraca teologia, to tym samym uniwersytecka społeczność odzyska sobie właściwy sposób działania. Niestety, niewiele z tego wyszło. Teologowie, być może dlatego, że w przeważającej części są duchownymi, pierwsze, co zrobili, to obrazili się na „ten niewdzięczny i zeświecczały świat" i skryli się tym razem w przez siebie zbudowanym limbusie. A przecież do nich należy szukanie odpowiedzi na podstawowe pytanie, czy rzeczywiście dni jak „fregaty śmierć nam niosą", śmierć i nic więcej. A przecież teologowie, a na swój sposób filozofowie i artyści, a ostatnio uprawiający nauki matematyczno-przyrodnicze, mówiąc za Pawłem, usiłują: „uwolnić tych, którzy bojąc się śmierci, całe życie podlegali niewoli".

Na kolędowym spotkaniu z warszawskim KIK-iem abp Adrian Galbas powiedział: „Kościół bardzo dziś potrzebuje inteligentnych ludzi; ludzi, którzy potrafią we właściwy sposób wykorzystać otrzymaną od Boga w darze inteligencję ku pokazaniu Kościoła światu w taki sposób, jaki chciałby sam Chrystus, aby Kościół był widziany. (...) Bardzo na to liczę, że będziecie inteligentnymi członkami Kościoła, czyli takimi, którzy umieją zadać pytanie, także trudne i wrażliwe, i nie bojąc się ich stawiać także hierarchii kościelnej, księżom czy biskupom; którzy mają odwagę napomnieć lub podkreślić coś, co być może zostało przeoczone, a jest ważne, którzy mają odwagę rozmawiać". Mieć odwagę rozmawiać to dla niejednego duchownego wysiłek ponad miarę, skoro ksiądz, chodzący po kolędzie, zagadującemu go przez płot psu odpowiada „z buta".

W roku 1848 dzisiaj błogosławiony, wówczas ekskomunikowany ks. Antonio Rosmini pisał, że „ubóstwo i nędza myśli i uczuć, które charakteryzują metody i treści współczesnej edukacji katolickiej, wydają księży nieświadomych, kim są wierni świeccy, czym jest kapłaństwo i jak mocno wierni z duchownymi są połączeni świętym węzłem". Mówił też, że „w pierwszych wiekach chrześcijaństwa to dom biskupa był seminarium dla przyszłych księży i diakonów, a podział na duchowieństwo wyższe i niższe był wówczas zupełnie nieznany". Ponoć historia się nie powtarza... A przecież dzisiaj, patrząc choćby tylko na Ukrainę, widać jak na dłoni, że serce bez rozumu to zbrodniarz, zaś rozum bez serca to fałszerz. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Jezus samotnik?

„Jezus oddalił się ze swymi uczniami w stronę jeziora. A przyszło za Nim wielkie mnóstwo ludzi z Galilei. Także z Judei, z Jerozolimy, z Idumei i Zajordania oraz z okolic Tyru i Sydonu…" (zob. Mk 3, 7-12). Sytuacja wydaje się paradoksalna: Jezus odsuwa się na ubocze; w efekcie jednak znajduje… „wielkie mnóstwo" poszukujących Go ludzi.

Rozwiązania tego paradoksu można najpierw poszukać w użytym tu przez Ewangelistę słowie. Marek posługuje się greckim terminem *anachoreo*, to znaczy odejść, odstąpić miejsce. Od tego słowa pochodzi bardzo ważne już w pierwotnym Kościele określenie „anachoreta". To nie jest ktoś, kto z definicji ucieka od ludzi; anachoreta to ktoś, kto szuka samotności, by znaleźć radykalną bliskość z Bogiem.

Nie jest to jednak wybór odcinający od ludzi. Przeciwnie! Może być dla nich wiarygodnym świadectwem. Anachoreta przyciąga do siebie jako ten, kto ze środka swej relacji z Bogiem może udzielić odpowiedzi na najważniejsze pytania. Paradoksalnie – znów – nie znając się na tzw. „życiu", może je trafnie diagnozować. Takimi byli i Antoni egipski, i Szymon Słupnik, i św. Benedykt. Takim jest też Jezus w naszej perykopie – On nie ucieka od ludzi, On „odchodzi ku" Ojcu. Czy to dziwne, że ludzie właśnie takim Go szukają? A może właśnie dlatego nie szukają nas, że nie widzą w nas ludzi modlitwy? Jeden z naszych biskupów, zapytany kiedyś przez młodego człowieka o argumenty za prawdziwością wiary, odpowiedział: mogę ci pokazać stan mojego konta bankowego (puste) i moich kolan (zrogowaciałe od klęczenia).

Samotność z Bogiem nie zamyka, lecz otwiera na ludzi. Nasz fragment pokazuje to w całej rozciągłości. Otwartość Jezusa na przychodzących ludzi jest bezgraniczna. „Wielkie mnóstwo" przychodzi ze wszystkich stron świata: z zachodu (Galilea) i wschodu (Zajordanie), z południa (Judea, Idumea) i północy (Tyr i Sydon). Wierzący i poganie (Tyr, Sydon). Wszyscy!

Każdy wie, że może podejść i… dotknąć (w. 10). To nie miara naturalnej otwartości Jezusa. To miara intensywności i jakości Jego modlitwy. Zanim przyszli do Niego – wszystkich tych ludzi już odnalazł w spotkaniu z Ojcem. Nie potrafi o nich myśleć inaczej, jak o gronie swoich sióstr i braci. Samotność Jezusa to nie ucieczka od bliskości z ludźmi – to najważniejszy klucz do jej przeżywania. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

Wszelki ludzki ból jest ostatecznie bólem oddzielenia, objawem tęsknoty części za całością.

WILLIGIS JÄGER

Uważne oddychanie i uświadamianie sobie własnych reakcji na ludzi i wydarzenia – to głęboka praktyka. Zamiast reagować lub rozmyślać, pozwalasz sobie po prostu być.

THICH NHAT HANH

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 II)

4. niedziela zwykła – święto Ofiarowania Pańskiego: Ml 3, 1-4; Ps 24; Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40;
Poniedziałek: Hbr 11, 32-40; Ps 31; Mk 5, 1-20;
Wtorek: Hbr 12, 1-4; Ps 22; Mk 5, 21-43;
Środa: Hbr 12, 4-7. 11-15; Ps 103; Mk 6, 1-6;
Czwartek: Hbr 12, 18-19. 21-24; Ps 48; Mk 6, 7-13;
Piątek: Hbr 13, 1-8; Ps 27; Mk 6, 14-29;
Sobota: Hbr 13, 15-17. 20-21; Ps 23; Mk 6, 30-34;
5. niedziela zwykła: Iz 6, 1-2a, 3-8; Ps 138; 1 Kor 15, 1-11; Łk 5, 1-11.

W POSZUKIWANIU SIEBIE

Biografia Trzaskowskiego to klucz do jego sukcesów, a zarazem źródło ograniczeń. Potrafi „gryźć trawę", ale nie jest politycznym drapieżnikiem, woli słuchać jazzu i czytać książki. Czy uda mu się wygrać wybory, wyciszając własne poglądy?

PIOTR ŚMIŁOWICZ

12 lipca 2020 r. Rafał Trzaskowski minimalnie przegrywa z Andrzejem Dudą drugą turę wyborów prezydenckich. Otrzymuje jednak ponad 10 milionów głosów. To jego pierwsza i dotąd jedyna porażka w niemal podręcznikowym politycznym życiorysie.

Urodził się w 1972 r. w Warszawie, a jego ojcem był słynny pianista jazzowy i kompozytor Andrzej Trzaskowski. Jako ośmiolatek wystąpił w serialu telewizyjnym dla dzieci „Nasze podwórko"; z tamtych czasów pochodzi też jego znajomość z aktorem Michałem Żebrowskim. – Poznałem pana prezydenta Rafała Trzaskowskiego w wieku siedmiu lat, usadzono nas razem w jednej ławce. Pięć lat później powiedziałem do jego mamy: „Pani Tereso, Rafał zostanie kiedyś prezydentem", i to nie jest naciągana historia. Rafał nie tylko mnie od dziecka wydawał się osobą niesłychanie zdolną, koleżeńską, lubiącą się uczyć i zaangażowaną we wszelkie struktury uczniowskich i studenckich samorządów. Latami motywował nas, zachęcał do rozwoju, sam z pasją uczył się kolejnych języków. Dzięki niemu czytaliśmy konkretne książki, słuchaliśmy konkretnej muzyki, był dla nas punktem odniesienia. To człowiek, który autentycznie lubi ludzi, nie imponują mu też pieniądze – opowiada Żebrowski, dla którego prezydent Warszawy to najciekawszy człowiek, jakiego spotkał.

Prymusa chwalił nawet PiS

Z polityką Trzaskowski zetknął się już w liceum im. Mikołaja Reja – przed wyborami 4 czerwca 1989 r. pomagał w Komitecie Obywatelskim, roznosił ulotki; wtedy też zauważył go wizytujący Polskę współpracownik gubernatora amerykańskiego stanu Michigan. Dobrze władający angielskim 17-latek został skierowany do obsługi zagranicznych gości.

W 1991 r. wyjechał na stypendium do USA i zrobił maturę w Cranbrook-Kingswood High School. Po powrocie do Polski studiował najpierw anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim, a potem stosunki międzynarodowe. Na UW zrobił również w 2004 r. doktorat (temat pracy: „Dynamika reform systemu podejmowania decyzji w Unii Europejskiej"), w międzyczasie pracując jako nauczyciel akademicki, m.in. w Krajowej Szkole Administracji Publicznej i w Collegium Civitas. Był też doradcą sekretarza Komitetu Integracji Europejskiej w rządzie Jerzego Buzka, Jacka Saryusz-Wolskiego – a po wejściu Polski do UE doradzał już całej delegacji PO w Parlamencie Europejskim. Europosłów wręcz szokował znajomością języków. Porozumiewa się biegle po angielsku, francusku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku.

Praca w PE utorowała Trzaskowskiemu drogę do poważnej polityki. W 2009 r. uzyskał mandat europosła, choć startował z okręgu warszawskiego dopiero z czwartego miejsca. W kampanii wykorzystał kontakty w świecie artystycznym. W filmach promujących Trzaskowskiego na YouTubie aktorzy rozdawali ulotki – Żebrowski w stroju Wiedźmina, a Tomasz Karolak ucharakteryzowany na kobietę.

W Brukseli był chwalony nawet przez kolegów z PiS. Ówczesny europoseł Tadeusz Cymański przyznaje, że polityczny konkurent odnajdywał się w komisjach PE, choć już wtedy można było dostrzec u niego cechy, za które dziś jest krytykowany. – To człowiek, który nie ma w sobie twardości. Jeden z dziennikarzy powiedział o Karolu Nawrockim, że nie jest pięknoduchem z wielkiego miasta. *À rebours* opisał Trzaskowskiego – opowiada Cymański.

Dobre oceny działalności w PE zaowocowały w 2013 r. propozycją, by Trzaskowski wszedł do rządu Donalda Tuska, zastępując na stanowisku ministra administracji i cyfryzacji Michała Boniego. Zasłynął m.in. odmową wpisania do rejestru związków wyznaniowych Kościoła Latającego Potwora Spaghetti.

„Referowałem credo Morina"

Jesienią 2014 r. premierem została Ewa Kopacz, która „zredukowała" go do roli wiceministra, ale ważnego. W kierowanym przez Grzegorza Schetynę MSZ został sekretarzem stanu nadzorującym politykę europejską i pełnomocnikiem rządu ds. europejskich – wydał m.in. zgodę na relokację migrantów do Polski, co było ostro krytykowane przez PiS w kampanii 2015 r., podczas której skutecznie kandydował jako „jedynka" listy PO w Krakowie. Z tego miasta pochodził jego ojciec, zaś brat przyrodni Piotr Ferster był dyrektorem kabaretu „Piwnica pod Baranami". Nieprzypadkowo w materiale wyborczym Trzaskowskiego wystąpił wtedy Grzegorz Turnau, który uczył go gwary krakowskiej. „A w łazience co pan ma?" – pytał Turnau. „Kafelki" – odpowiedział Trzaskowski. „Jakie kafelki? Flizy się mówi!" – poprawiał go artysta.

Gdy na początku 2016 r. szefem PO został Grzegorz Schetyna, Trzaskowskiego wybrano do zarządu partii – w jej „gabinecie cieni" został szefem MSZ. A kiedy okazało się, że Hanna Gronkiewicz-Waltz nie zawalczy o kolejną kadencję w fotelu prezydenta Warszawy, w 2018 r. stanął do walki i zdeklasował Patryka Jakiego, uzyskując w pierwszej turze pół miliona głosów (57 proc), choć kandydat PiS prowadził bardzo aktywną kampanię. To wtedy, w dziesiątą rocznicę śmierci Bronisława Geremka, pozwolił sobie na komentarz o zajęciach z byłym szefem MSZ w Kolegium Europejskim w Natolinie, który stał się memem świadczącym – zdaniem krytyków Trzaskowskiego – o jego wybujałym ego: „Pamiętam, że referowałem *credo* Edgara Morina z »Penser l'Europe«. Czułem się, jakbym zdawał egzamin życia u biblijnego patriarchy z obrazów Rembrandta" – napisał na Facebooku.

Jako pierwszy prezydent Warszawy udzielił patronatu Paradzie Równości. Podpisał też kartę LGBT+ wprowadzającą w magistracie standardy przeciwdziałania dyskryminacji. Zwierzał się, że bardzo chciałby stać się też pierwszym włodarzem stolicy, który udzieli ślubu osobom tej samej płci. Prawica nazwała go wówczas „tęczowym Rafałem", z czym mierzy się do dziś, nie nagłaśniając już – jak widać po obecnej kampanii wyborczej na prezydenta RP – swych progresywnych poglądów. Zwłaszcza po tym, jak kosztowne okazało się wydane już w drugiej kadencji, niepotrzebnie dzielące społeczeństwo zarządzenie o zakazie wieszania krzyży w warszawskich urzędach.

Najpoważniejszym problemem Trzaskowskiego była afera w oczyszczalni „Czajka", czyli dwukrotna awaria kolektorów odprowadzających ścieki. W czasie jego kadencji rozpoczęto też ogromną liczbę inwestycji, związanych ↦

Rafał Trzaskowski na Warszawskiej Paradzie Równości. Warszawa, 17 czerwca 2023 r.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

głównie z budową linii tramwajowych, co na kilka lat skutecznie zakorkowało Warszawę. To jednak nie przeszkodziło mu ponownie wygrać w pierwszej turze w kwietniu 2024 r. Otrzymał znów 57 proc. głosów, dystansując kandydata PiS Tobiasza Bocheńskiego.

Posłanka KO Dorota Łoboda, dawniej radna stolicy, nie dziwi się takiemu wynikowi. – To prezydent na miarę nowoczesnej stolicy w centrum Europy. Jego pierwsza kadencja to czas covidu, a potem wojny w Ukrainie, gdy Warszawa była wyjątkowo obciążona wielką liczbą uchodźców. Mieliśmy noce, kiedy na dworzec przybywało 10 tys. osób. Trzaskowski wyszedł z tego kryzysu obronną ręką – mówi. – Najbardziej cenię go za to, co zrobił w warszawskiej edukacji. Powstało 15 nowych szkół, 26 przedszkoli, żłobki są powszechnie dostępne.

Okropne partyjne życie

Trzaskowski był co prawda już od lutego 2020 r. wiceprzewodniczącym PO, ale nigdy nie garnął się do życia partyjnego. Zresztą, gdy po przegranych wyborach parlamentarnych w 2019 r. los przewodniczącego partii Grzegorza Schetyny był już przesądzony, prezydentowi Warszawy zaproponowano, by zajął jego miejsce. Nie chciał, mimo że jako inteligentny i elokwentny działacz młodszego pokolenia wydawał się idealnym kandydatem, by sięgnąć politycznych szczytów.

Odmówił też udziału w prawyborach mających wyłonić kandydata PO w wyścigu o fotel prezydenta Polski. „Jeżeli nawet zdecydowałbym się wziąć udział w tych wyborach i je wygrać, to niestety moje ukochane miasto trafiłoby w ręce komisarza z PiS, a na to nie można pozwolić" – wyjaśniał.

W prawyborach Małgorzata Kidawa-Błońska pokonała prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka. Jednak kampania wyborcza w 2020 r. zbiegła się z pandemią Covid-19 i Kidawa-Błońska zaapelowała o przełożenie wyborów, mimo że lockdown i początkowy chaos w państwie grały na jej korzyść. To wpłynęło na ogromny spadek jej notowań, więc gdy ostatecznie 10 maja tzw. wybory kopertowe się nie odbyły, Koalicja Obywatelska (powstała po połączeniu PO z Nowoczesną) zdecydowała się wymienić kandydatkę. Tym razem Trzaskowski się zgodził – musiał ratować partię przed klęską. Wtedy też opinia publiczna poznała rodzinę kandydata. Żonę Małgorzatę, która zawiesiła wówczas pracę w stołecznym ratuszu, oraz dzieci: Olę i Stasia. A także psa Bąbla, buldoga francuskiego.

> Niektórzy wciąż nie mogą darować Trzaskowskiemu zmarnowania potencjału, jakim emanował latem 2020 r. Wielu ludzi chciało wówczas iść za ciosem, **a z niego jakby ktoś wtyczkę wyciągnął.**

Doświadczenie władania stolicą, ciężkiej pracy i gaszenia kryzysów przydało się w kampanii. Była niezwykle intensywna, więc Trzaskowski bez problemu wszedł do drugiej tury. Łatwo nawiązywał kontakt z tłumem, a przewodnie hasło kampanii – „Mamy dość" – trafiało do ludzi zmęczonych pandemią i rządami PiS. Nie popełnił też żadnych większych błędów, poza jednym – nie zdecydował się na udział w debacie z Andrzejem Dudą w Końskich, obawiając się, że organizowana przez pisowską ekipę TVP, znaną z uprawiania nieustannego hejtu – nie będzie rzetelna. Ostatecznie do zwycięstwa zabrakło mu 400 tys. głosów.

Ze Sławkiem i Czarkiem

Wydawało się, że po minimalnej porażce Trzaskowski ma wszystko, by stać się nowym liderem opozycji. A jednak rok między lipcem 2020 i lipcem 2021, gdy na czele Platformy Obywatelskiej stanął ponownie Donald Tusk, to okres zmarnowanej szansy, najbardziej zagadkowy w jego politycznej biografii.

Wcześniej Trzaskowski zapowiedział co prawda budowę nowego ruchu społecznego, ale przez pierwsze tygodnie nic się nie działo. Dopiero jesienią 2020 r. w studiu telewizyjnym zaprezentował swój nowy Ruch Wspólna Polska, który okazał się jednak bytem wirtualnym. – Nie mogę darować mu zmarnowania tego potencjału. Wielu ludzi chciało działać, a z niego jakby ktoś wtyczkę wyciągnął – mówi jedna z młodych osób zaangażowanych w działalność Koalicji Obywatelskiej.

Dziś politycy KO przyznają, że powodem fiaska ruchu była niechęć Trzaskowskiego do pracy politycznej, obłaskawiania frakcji w Platformie, a także brak poparcia w samej partii. Jego zaplecze sprowadzało się bowiem do kilku najbliższych współpracowników (Sławomir Nitras, Cezary Tomczyk, Agnieszka Pomaska, Michał Marcinkiewicz). – Tak naprawdę to Sławek i Czarek podkręcają Rafała do aktywności. On sam najchętniej słuchałby jazzu i czytał książki – tłumaczy poseł KO.

Zdaniem innego polityka koalicji Trzaskowski, choć sam pracowity, liczył, że niemiłą robotę organizacyjną w Ruchu Wolna Polska „ktoś odwali za niego". W politycznych kuluarach krąży też anegdota, jak kiedyś Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz przyszli do Trzaskowskiego i zaproponowali mu wspólne utworzenie nowego ugrupowania. „A z kim ja do niego wejdę? Ze Sławkiem i Czarkiem? Nikt z PO za mną nie pójdzie" – odparł rzekomo prezydent stolicy.

Tym niemniej na początku 2021 r. sytuacja nieco się zmieniła, bo PO pod kierownictwem Borysa Budki miała coraz gorsze notowania. Według części polityków obecnego obozu władzy Trzaskowski wraz z osobami stojącymi wtedy na czele Platformy miał pomysł na ucieczkę do przodu. Ruch Wspólna Polska miał stać się czymś w rodzaju holdingu opozycji, na którego czele miał stać Trzaskowski, Platforma zaś miała być tylko jednym z jego środowisk.

Większość polityków PO ze starszego pokolenia poczuła się jednak zagrożona i przystąpiła do kontrofensywy, namawiając Donalda Tuska, by ponownie stanął na czele partii. Były premier nie mówił „nie", ale początkowo chciał wrócić dopiero jesienią 2021 r. – Powiedzieliśmy mu, że w październiku nie będzie już co zbierać, bo na lato ludzie Trzaskowskiego szykują Campus Polska Przyszłości, który ma być istotnym elementem całego procesu – mówi polityk PO.

W maju 2021 r. grupa ta napisała list otwarty, podpisany przez 54 czołowych działaczy, który w istocie był atakiem nie

tylko na Budkę, ale i na Trzaskowskiego. O sukcesie tej skomplikowanej operacji przesądziła rzekomo „zdrada grupy Trzaska" przez Budkę i Marcina Kierwińskiego – ten pierwszy miał zostać szefem klubu w miejsce Tomczyka, a drugi pozostać na stanowisku sekretarza generalnego.

Tomczyk i Nitras próbowali walczyć, postulowali, by przeprowadzić powszechne wybory przewodniczącego PO, do których staną Tusk i Trzaskowski – zostali jednak przegłosowani. Gotowość do rywalizacji z Tuskiem zgłaszał też sam prezydent Warszawy, ale jego głos zignorowano. Podczas posiedzenia Rady Krajowej PO na początku lipca, podczas której Tusk został ponownie „intronizowany", Trzaskowski nie zabrał głosu i szybko opuścił obrady – tylnym wyjściem.

Campus (nie)groźny dla partii

Zorganizowany po raz pierwszy przez grupę Trzaskowskiego (weszli też do niej Barbara Nowacka, Katarzyna Lubnauer i Adam Szłapka – wszyscy spoza PO) w sierpniu 2021 r. Campus Polska Przyszłości stał się w tej sytuacji jedynie okazją do spotkania w Olsztynie z młodzieżą z całego kraju. Zresztą Trzaskowski od początku uspokajał kolegów z partii, że jego inicjatywa nie oznacza postawienia krzyżyka na PO, a jedynie sposób na ściągnięcie do szerokiej opozycji nowych ludzi, dla których marka Platformy jest już nieatrakcyjna.

Zapewne organizacja Campusu (który na stałe wszedł do kalendarza politycznego, budząc kontrowersje z uwagi na finansowanie rzekomo pozapartyjnej imprezy ze środków przekazanych przez zaprzyjaźnione z PO samorządy) spowodowała, iż Trzaskowski ma do dziś silne oparcie w najmłodszym pokoleniu działaczy. – Tak naprawdę nie mówi na Campusie do młodych ludzi, on ich z pokorą słucha. Dlatego dziś jako kandydat na prezydenta bardzo dobrze wie, czego oczekują – mówi poseł KO Adrian Witczak, zaangażowany w organizację Campusu.

Impreza stała się największym sukcesem mobilizacyjnym całego środowiska, więc Trzaskowski jakby mimochodem odbudował swą pozycję w KO. A że stanie się kandydatem na prezydenta w 2025 r., było oczywiste od powrotu Tuska, choć co jakiś czas nagłaśniano też wątpliwości, mające zapewne dopingować włodarza stolicy do większej aktywności politycznej.

MATERIAŁY PRASOWE UW

Dr hab. Bartłomiej Biskup, politolog:

W JĘZYKU marketingu politycznego głoszenie poglądów odmiennych od dotychczasowych, by zdobywać nowych wyborców, nazywa się repozycjonowaniem. W politycznych kampaniach jest to zwykle motywowane próbą pozyskania nowych zwolenników dla kandydata przy założeniu, że dotychczasowi i tak na niego zagłosują. Jednak przy nieumiejętnym zastosowaniu może okazać się grubym błędem i zaowocować utratą wiarygodności w naturalnym elektoracie kandydata.

GDZIEŚ LEŻY jednak trudno uchwytna granica, za którą traci się wiarygodność, w wyniku czego nowych zwolenników pojawia się niewielu, a starzy zaczynają odchodzić. Zwykle takie nieudane repozycjonowanie następuje wtedy, gdy kandydat prezentuje zbyt wiele nowych poglądów lub zmienia je za często. PO miała już w przeszłości tendencje do zbyt gwałtownej zmiany poglądów na pewne sprawy, co nie było wiarygodne dla wyborców.

PRZYKŁADEM JEST Bronisław Komorowski, który po przegranej pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2015 r. ogłosił nagle referendum w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych, by pozyskać wyborców Pawła Kukiza.

NIE CHCĘ krytykować sztabowców Rafała Trzaskowskiego, bo oni mają na pewno swoje badania i wszystko, co kandydat robi, jest na nich oparte. Może oni wiedzą, gdzie jest granica, po przekroczeniu której zostaje się kimś niewiarygodnym. Jednak autentyczność, nawet prezentowanie poglądów niepopularnych, jest najważniejsza przy zdobywaniu głosów. Zmiany poglądów nie powinny następować zbyt szybko. Łatwiej się repozycjonować na trzy lata przed wyborami, argumentując, że okoliczności się zmieniły itd. Ale pół roku to za mało czasu na gwałtowną zmianę. ©

Po wielkim zwycięstwie wyborczym jesienią 2023 r. i przejęciu rządów z rąk PiS, wyrósł mu jednak rywal – nowy, ambitny szef MSZ Radosław Sikorski. Zmusiło to władze PO do zorganizowania w listopadzie 2024 r. prawyborów. Wygrał je zdecydowanie Trzaskowski (75 proc. do 25 proc.), ale związana z nimi rozgrywka znów ożywiła podziały z czasów „Listu 54".

Zwolennicy Sikorskiego, forsując jego nominację, przekonywali, że Trzaskowski jako „wieczny kandydat" jest za bardzo opatrzony i nie zaskoczy niczym wyborców. – Oczywiście jest świetnie przygotowany do prezydentury, zna języki. Jednak Sikorski też jest w tym dobry, a w obecnych trudnych czasach nawet lepszy. Potrafiłby wzbudzić emocje, czego Rafał nie umie i co obecna kampania tylko potwierdza – mówi anonimowo polityk PO, zwolennik Sikorskiego.

– Nastały czasy, gdy jedno celne zdanie napisane na X może mieć milionowe zasięgi i kogoś wynieść lub pogrążyć, a to jest żywioł Radka. Rafał zaś jeździ, mówi rzeczy ogólnie słuszne, ale niewiele z tego się przebija – dodaje inny polityk PO.

Co to za tonacja?

Prezydent Warszawy od połowy stycznia intensywnie ruszył w Polskę, ale zdecydował się prowadzić kampanię w tonacji, która niejednego wyborcę zaskakuje. Miał m.in. kilka wypowiedzi, których nie powstydziłby się kandydat PiS. „Zapomniał" o liberalizacji prawa do aborcji i związkach partnerskich, opowiedział się za nieobowiązkowymi lekcjami edukacji zdrowotnej, skrytykował Zielony Ład, a na Podlasiu spotkał z gwiazdą disco polo Zenkiem Martyniukiem. Zamiast własnych poglądów wygłasza coraz częściej opinie jakby cytowane z badań społecznych ukazujących przesunięcie centralnego elektoratu w prawo, a o niego przecież najbardziej dziś walczy. Pewnie dlatego wypowiedział się za tym, by 800 plus przysługiwało tylko tym Ukraińcom, którzy w Polsce pracują.

W KO można usłyszeć głosy, że ta strategia może być ryzykowna, bo ↦

↦ przyniesie niewielki zysk po prawej stronie, a może doprowadzić do zdemobilizowania własnego elektoratu. W sieci już pojawiły się memy, zestawiające sprzeczne wypowiedzi kandydata KO sprzed lat i z obecnej kampanii.

– Jednego dnia słyszałem, że Rafał Trzaskowski jest za bardzo proukraiński, a drugiego, że odwrotnie. To oznacza, że jest dokładnie tam, gdzie powinien. Pośrodku sceny, odwołując się do zdrowego rozsądku i do interesu narodowego, który kładzie na pierwszym miejscu – tłumaczy kandydata jego bliski współpracownik, wiceszef MON Cezary Tomczyk. Podkreśla przy tym, że Trzaskowski nie zmienił poglądów, także w sprawie aborcji. – Nie podzielam opinii, że w kampanii nasz kandydat coś lub kogoś udaje. Może nie akcentuje mocno niektórych swoich poglądów, ale startuje na stanowisko prezydenta. I musi być prezydentem także tych Polaków, którzy mają odmienne poglądy – dodaje Dorota Łoboda.

Trzeba przyznać, że Trzaskowski, nie mając natury politycznego drapieżcy, na pewno jest kandydatem stworzonym do prezydentury charakterystycznej dla obecnej Polski, w której głowa państwa nie pretenduje do roli politycznego lidera we własnym środowisku. Ma zarazem świadomość, że musi wygrać, bo stawka jest ogromna. Majowe wybory oznaczają być albo nie być nie tylko dla niego, ale też dla całego rządzącego obozu. Jego porażka nie domknie bowiem walki o odwrócenie zmian narzuconych w epoce PiS. Dlatego na pewno – co nie raz udowodnił w kryzysowych momentach – do samego końca będzie „gryzł trawę".

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi **Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Szymon Hołownia i Sławomir Mentzen z Konfederacji podczas posiedzenia Sejmu. Warszawa, 11 grudnia 2023 r.

Ten trzeci

PAWEŁ MUSIAŁEK

Tak jak Andrzej Duda nie zostałby prezydentem bez Pawła Kukiza, tak Donald Tusk nie zostałby premierem bez Szymona Hołowni. Czy wejście do gry Krzysztofa Stanowskiego może wpłynąć na to, kto zostanie nową głową polskiego państwa?

W przeciwieństwie do wyborów parlamentarnych, te prezydenckie zdają się być klarowne – jest wielu przegranych i jeden zwycięzca, zgarniający całą pulę. Jednak w wyścigu tym, wbrew deklaracjom samych kandydatów, nie każdemu chodzi o to, by wygrać. W realnej grze o Pałac startuje bardzo wąska grupa polityków, najczęściej z największych partii – reszta walczy o inne cele.

Szczególnym przypadkiem są kandydaci, którzy zdobywają trzecie miejsce w pierwszej turze, bo choć nie wchodzą

do finału, to ich rezultat realnie wpływa na polską scenę polityczną. Potocznie uważa się, że „ten trzeci" największe znaczenie ma w okresie dwóch tygodni przed drugą turą, kiedy może zasygnalizować, którego kandydata poprze i w ten sposób „przetransferować" na niego głosy swych sympatyków. W 2005 r. publiczne wsparcie Andrzeja Leppera istotnie pomogło wygrać Lechowi Kaczyńskiemu z Donaldem Tuskiem, który przecież był zwycięzcą pierwszej tury.

Nie zawsze jednak zdobywcy najniższego stopnia podium decydują się na oficjalne poparcie innego polityka. I trudno się im dziwić – często nic nie zyskują na tym, że firmują jednego z rywali, który niekoniecznie będzie miał możliwość odpłacenia za okazaną pomoc. Nie zawsze też wyborcy karnie słuchają swych liderów, więc tym bardziej oficjalne poparcie może nie mieć sensu. Jednak już samo zabarwienie ideowe „tego trzeciego" powoduje, że nie musi on nikogo wskazywać, byśmy mogli przewidzieć, jak zachowają się jego sympatycy w drugiej turze.

Złamać status quo

Cechą naszych wyborów prezydenckich jest prawidłowość, wedle której trzeci na mecie to zazwyczaj kandydat zagospodarowujący emocje antyestablishmentowe – czyli reprezentant tzw. Tymczasowego Ugrupowania Protestu (TUP), by użyć terminu stworzonego przez prof. Jarosława Flisa. Chodzi tu o liczną grupę wyborców, którzy nie mają stałych, zdefiniowanych poglądów. Wielu z nich szuka politycznych „nowości" i zmienia swe preferencje, by sprzeciwić się partyjnemu *status quo* – dzięki czemu beneficjentami tej „mobilnej" grupy bywają politycy o różnych poglądach. Drugą wspólną ich cechą (bo trudno mówić o zwartym elektoracie) jest szybkie porzucanie swoich sympatii i szukanie nowego obiektu, by ulokować w nim niespełnione nadzieje. Dlatego formacje i politycy, którzy budują poparcie głównie na „zawodowych" kontestatorach, najczęściej odgrywają ważną rolę tylko w jednym politycznym sezonie. Co ważne, przedstawiciele TUP najczęściej wymykają się klasycznym regułom gry. Tak jak w pierwszych latach III RP nie wpisywali się w podział na obóz solidarnościowy vs. obóz postkomunistyczny, tak w późniejszym okresie nie pasowali (i nie pasują) do polaryzacji zrodzonej przez konflikt PO z PiS.

Prekursorem tego zjawiska był legendarny Stan Tymiński: przyszedł „znikąd", lecz nie wiadomo, w którą stronę chciał pójść. Później gniew elektoratu, niemogącego znaleźć sobie miejsca, przybrał ludową twarz Andrzeja Leppera. Kolejne lata przyniosły już bardziej cywilizowane przejawy kontestacji: w 2015 r. taką rolę odegrał Paweł Kukiz, a w 2020 r. Szymon Hołownia. Korzystając z dobrego wyniku w pierwszej turze wyborów, obaj potrafili zbudować formacje, które z sukcesem weszły do Sejmu (choć potem pojawiły się naturalne dla takich niespójnych tworów problemy, by przetrwać). Po drodze był jeszcze Janusz Palikot, ale on tworzył swą formację tuż po wyborach prezydenckich w 2010 r., więc chrzest ogniowy (udany) przeszedł szybko, w wyborach parlamentarnych rok później. Po czterech latach zdążył się już jednak zużyć, więc elektorat TUP odpłynął w znacznej mierze do Kukiza.

Mimo że wspomniani kandydaci nie definiowali się poprzez tradycyjne podziały, to wpływali na walczące ze sobą główne siły. Wynikało to ze specyfiki polskiego systemu politycznego, w którym ok. jedna trzecia wyborców ma klarowne poglądy prawicowe, jedna trzecia lewicowo-liberalne (bądź w innej formie zdystansowane wobec prawicy), a ostatnia równie liczna grupa to elektorat składający się w większości z przedstawicieli TUP, którego barwy bywają dość zmienne. Nietrudno się domyślić, że wybory, szczególnie prezydenckie, wygrywa ten kandydat, który w drugiej turze potrafi przyciągnąć do siebie jak najwięcej wyborców TUP. W tym kontekście istotny wpływ na finalny wynik ma to, jaki profil ideowy prezentuje „ten trzeci".

Lekcja Kukiza, szansa Mentzena

Dekadę temu Paweł Kukiz zdobył niespodziewanie 21 proc. głosów. Było więc jasne, że to jego elektorat będzie decydujący dla rywalizacji (prowadzącego po pierwszej turze 1 punktem proc.) Andrzeja Dudy z Bronisławem Komorowskim. Co prawda w kampanii Kukiz dystansował się od PiS, ale naturalnie bardziej krytykował rządzącą PO, miał też sporo „estetycznie" prawicowych cech. W efekcie duża część jego wyborców zagłosowała w drugiej turze na Dudę, przesądzając o zwycięstwie nominata PiS.

Pięć lat wcześniej, mimo że w pierwszej turze Jarosław Kaczyński osiągnął wynik lepszy niż Duda (36,46 proc. vs. 34,76 proc.), to ostatecznie przegrał, ponieważ funkcję Kukiza pełnił bliższy Komorowskiemu Grzegorz Napieralski (13,68 proc.). W 2015 r., w obliczu rozczarowania epoką rządów PO, Kukiz pełnił jednak rolę „kładki", po której wyborcy TUP, a także część elektoratu zawiedzionego ówczesnym obozem władzy, poszła finalnie głosować na kandydata niebędącego wcześniej faworytem.

Podobny proces miał miejsce w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Dla części wyborców głosujących od 2015 r. na PiS i Andrzeja Dudę, ale niebędących twardym elektoratem tego środowiska, głosowanie na Koalicję Obywatelską nie wchodziło w grę. Opcją „strawną" była Trzecia Droga, a w 2020 r. do pewnego stopnia późniejszy jej lider Szymon Hołownia. I tak jak Duda nie zostałby prezydentem bez Kukiza, tak Tusk nie został premierem bez Hołowni.

Taki rodzaj zależności może zdecydować również o wyniku wyborów w maju. Na giełdzie nazwisk, które są w stanie namieszać w prezydenckim wyścigu, wymieniano już gen. Rajmunda Andrzejczaka oraz szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacka Siewierę. Z pewnością ich wojskowy *background* oraz niezła rozpoznawalność dawałyby szansę na niezły wynik, jednak nic nie wskazuje, by któryś z nich planował start. Nie zmienia to jednak faktu, że w maju pojawi się wyjątkowe „okno możliwości", ponieważ już dawno PO-PiS nie był tak słaby. Badania opinii publicznej wskazują, iż wielu wyborców zdążyło się już rozczarować obecną koalicją, ale nie zatęskniło wciąż za PiS. To idealne warunki do startu nowych politycznych projektów. Wśród nich, poza jednym wyjątkiem, o którym za chwilę, dominuje jednak polityczny plankton – bez szans na dobry rezultat.

Po ostatnich sondażach widać, że najciekawsze perspektywy rysują się obecnie przed Sławomirem Mentzenem. Kandydat Konfederacji notuje poparcie na poziomie ok. 13 proc., gdyż elektorat protestu właśnie w nim widzi, jak na razie, pożądaną antysystemowość i antyestablishmentowość. Choć ani Konfederacja, ani jej współlider ↦

↦ nie są debiutantami w polskiej polityce, to dziś zgarniają premię za strategię konsekwentnego „antypopisu”.

W czasie rządów PiS krytykowali ostro tę formację, tak jak teraz czynią to wobec rządu Tuska. Sondażowa zwyżka Mentzena jest zarazem mocno skorelowana ze spadkiem poparcia dla Hołowni i Trzeciej Drogi, w percepcji dotychczasowych wyborców zbyt mocno kojarzących się i zbyt uległych wobec Koalicji Obywatelskiej. Tym samym tracących wiarygodność u osób o kontrkulturowej mentalności politycznej; część z nich albo już deklaruje, albo rozważa poparcie dla Mentzena.

Jednak osiągnięcie dobrego wyniku w majowych wyborach nie będzie dla niego łatwe. Pierwszym problemem jest współtwórca Konfederacji Grzegorz Braun, usunięty z niej tuż po własnej deklaracji startu. Pierwsze sondaże uwzględniające jego kandydaturę pokazują, że może liczyć na 2 proc. głosów, z czego zapewne tylko część odebrana zostanie Mentzenowi. Braun nie stanie się więc „czarnym koniem”.

Stanowski wchodzi do gry

I tu dochodzimy do politycznej supernowej, która może realnie namieszać w nadchodzących wyborach. To Krzysztof Stanowski, popularny dziennikarz i właściciel Kanału Zero, który bez wątpienia stanowi medialne wydarzenie ubiegłego roku. Sam Stanowski jest kandydatem budzącym skrajne odczucia, zarazem osobą z dużym potencjałem, świetnie czującą trendy, nie tylko medialne. Posiada rzeszę sympatyków, którzy cenią w nim przede wszystkim autentyczność, a więc cenną i rzadką cechę w dzisiejszej polityce, nie tylko polskiej. Do tego dysponuje doświadczeniem zawodowym i własnym kanałem medialnym (subskrybowanym przez prawie 1,5 mln osób), który w kampanii będzie fundamentalnym zasobem. Nie bez znaczenia jest również fakt, że to człowiek zamożny i mający zaufanie części środowisk biznesowych, które mogą wesprzeć go w kampanii. Posiada przy tym aurę antyestablishmentowości, ale w bezpiecznych granicach, co powoduje, że w przeciwieństwie do Brauna nie osuwa się na „szurowskie” pozycje zniechęcające „normalsów”.

Stanowski „wypłynął” z tematów *stricte* sportowych na szersze wody.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Stanowski może zmobilizować wyborców, którzy wezmą udział również w drugiej turze i w większości oddadzą głos na Nawrockiego **– jako kandydata sprzeciwu wobec aktualnie rządzącego obozu**.

W Kanale Zero prowadzi z Robertem Mazurkiem wspólny format satyrycznego komentarza, sam też je nagrywa oraz udziela głosu interesującym postaciom o bardzo różnych poglądach – w efekcie w ostatnim roku pozwoliło mu to zbudować solidne zaplecze. Stanowski ma więc idealne „papiery” na kandydata TUP, który bez problemu mógłby uzyskać kilkanaście procent głosów, a może nawet więcej. Analiza maksimum jego możliwości jest jednak bezprzedmiotowa, bo Stanowski zapowiada swój udział na zasadzie happeningu, a nie realnej rywalizacji. Trudno mu nie wierzyć, bo start „na serio” byłby ogromnym ryzykiem biznesowym dla Kanału Zero.

Happeningowa formuła nie oznacza jednak, że jego udział będzie politycznie bez znaczenia. Nawet deklarując rezygnację z ewentualnej drugiej tury, będzie mógł liczyć na niezły wynik, choćby dzięki osobom, które w ten sposób dadzą wyraz rozczarowania obecnym systemem partyjnym. A jeśli tuż przed końcem kampanii Stanowski zrezygnuje, bo uzna, że medialnie wycisnął już wszystko, co mógł, to i tak jego start może mieć znaczenie. Będzie on bowiem zmniejszał poparcie dla wszystkich pozostałych kandydatów, ale przede wszystkim dla Sławomira Mentzena. Wizerunek Stanowskiego i samego Kanału Zero w wielu elementach pasuje do elektoratu Konfederacji (choć do niego się nie sprowadza), więc start Stanowskiego może się okazać największym problemem kampanii Mentzena, gdyż może zrzucić go z podium. I nawet wycofanie się Stanowskiego na ostatniej prostej może sprawić, że Mentzen nie odzyska utraconego poparcia.

Beneficjent Nawrocki

O ile ze startu założyciela Kanału Zero na pewno nie może być zadowolony Mentzen, o tyle będzie on zapewne korzystny dla związanego z PiS Karola Nawrockiego. Stanowski może zmobilizować w pierwszej turze część elektoratu, który rzadko albo w ogóle nie chodzi na wybory. Znany youtuber jak mało kto pasuje, by jego głos posłużył za polityczny manifest i pokazanie żółtej kartki całej obecnej klasie politycznej. Z drugiej strony, prawidłowością w wyborach prezydenckich jest to, że jeśli ktoś poszedł zagłosować w pierwszej turze, zazwyczaj po dwóch tygodniach idzie „za ciosem”, bo emocjonalnie wsiąkł już mocno w prezydencką grę. Dowodem na tę prawidłowość jest fakt, że w Polsce tylko raz frekwencja w finale wyborów prezydenckich była niższa niż w pierwszym rozdaniu – i było to dawno, w 1990 roku.

Stanowski, któremu bliżej do prawicy, może więc zmobilizować wyborców, którzy w drugiej turze w większości oddadzą głos na Nawrockiego – również z tego powodu, że startuje on jako kandydat sprzeciwu wobec aktualnie rządzącego obozu. Taka sama logika będzie się odnosić oczywiście do innych kandydatów kojarzonych z prawicą, jednak nikt poza Stanowskim nie ma tu potencjału do przekroczenia marginalnego progu 1-2 proc.

Ale i bez Stanowskiego Nawrocki ma powody do optymizmu, bo elektorat Mentzena (przy założeniu jego dobrego wyniku) w dużej mierze będzie głosować w drugiej turze właśnie na niego. O ile w 2020 r. jedynie ok. połowy wyborców Krzysztofa Bosaka (reprezentującego ówcześnie Konfederację) głosowało

potem na Dudę, o tyle obecnie można założyć, że dużo większy ich odsetek poprze Nawrockiego. Elektoratowi antysystemowej Konfederacji łatwiej będzie swój wybór przekierować na innego przedstawiciela opozycji niż na nominata władzy. Duda startował przecież w 2020 r. z pozycji broniącego prezydentury, teraz zaś Nawrocki występuje jako kandydat opozycji i to jeszcze walczący o to, by KO nie „domknęła" systemu, co również jest ważną emocją w konfederackim elektoracie.

Istnieje więc silna przesłanka dla tezy, iż to Mentzen ze Stanowskim odegrają tę rolę, którą Kukiz pełnił w 2015 r. wobec Dudy – powiększenia bazy wyborców, która pójdzie głosować w pierwszej turze, i która jest w zasięgu możliwości kandydata PiS w drugiej. Podobieństwo polega również na tym, że – tak jak dekadę temu – wybory prezydenckie będą plebiscytem nad rządami Platformy i podobnie jak wówczas kandydatowi PiS sprzyjają nastroje rozczarowania rządzącą ekipą. Pomimo że w maju minie ledwie 1,5 roku od utworzenia gabinetu Donalda Tuska, to badania CBOS pokazują, iż zaufanie do rządu jest na poziomie końca epoki Mateusza Morawieckiego. Niezależnie więc od jakości (obecnie przeciętnej) kampanii Rafała Trzaskowskiego, będzie on musiał dźwigać coraz większe ciężary, które nakłada na niego rząd Tuska. Odcięcie się od premiera byłoby niewiarygodne, skoro kandydat jest wiceszefem dominującej w rządzie partii.

Podsumowując, faworyt Trzaskowski wciąż prowadzi w sondażach, ale czas nie gra na jego korzyść. Przewaga szybko topnieje, a w przeciwieństwie do wyborów parlamentarnych z 2023 r., to Mentzen, a nie Szymon Hołownia, jest bliżej „brązowego medalu". I to współlider Konfederacji – lub Krzysztof Stanowski – mogą stać się głównymi „dostarczycielami" głosów w drugiej turze. Czas pokaże, ale wiele wskazuje na to, że Nawrocki ma dziś większe szanse na zwycięstwo niż jeszcze kilka tygodni temu. Wynika to nie tyle z cech samego kandydata, ile z okoliczności, które mu wybitnie sprzyjają. © PAWEŁ MUSIAŁEK

Autor jest prezesem Klubu Jagiellońskiego.

Zeszyty pełne hieroglifów

MAŁGORZATA NOCUŃ

W klasie liczącej 24 uczniów połowa posiada opinie i orzeczenia obligujące nauczycieli do przekazywania im wiedzy z uwzględnieniem „specyficznych potrzeb". Ile prawdy jest w mówieniu o epidemii dysgrafii i dysleksji w polskiej szkole?

Na potrzeby tego tekstu rozmawiałam z nauczycielami i pedagogami z trzech województw: małopolskiego, wielkopolskiego i śląskiego. Poprosili o zachowanie anonimowości, by móc szczerze opowiedzieć o tym, jak radzą sobie z przepisami Ministerstwa Edukacji wymagającymi od nich indywidualnego traktowania uczennic i uczniów mających usprawiedliwione przez psychologa kłopoty z czytaniem, pisaniem i liczeniem.

Moi rozmówcy podkreślają, że co roku przybywa dzieci z opiniami o „specyficznych trudnościach w uczeniu się" (powodują je właśnie dysleksja, dysgrafia i dyskalkulia – patrz ramka na str. 26) oraz orzeczeniami uprawniającymi do „kształcenia specjalnego" (taki dokument otrzymują np. dzieci ze spektrum autyzmu). Pedagog z zachodniej Polski opowiada, że poradnia psychologiczno-pedagogiczna, z którą współpracuje, w jednym dniu rozpisała czterdzieści posiedzeń, na których specjaliści przesądzali o potrzebie specjalnego kształcenia.

A., nauczycielka języka polskiego w jednym z krakowskich liceów: – W klasie liczącej trzydzieści osób udaje mi się odczytać pismo może dziesięciorga. Choć wytężam wzrok, używając czasem lampki nocnej, na kartce widzę tylko nieczytelne „hieroglify".

Powrót do podstawówki

Podobne doświadczenie ma C., nauczycielka polskiego z liceum ogólnokształcącego w Pile. Od kilku lat obserwuje, jak pogarsza się charakter pisma młodych ludzi, a ich notatki stają się jak szyfr. W sumie to nic dziwnego, zdecydowana większość z nich rzadko używa pisma ręcznego, o wiele częściej korzystają z klawiatur w swoich komputerach i smartfonach.

We wrześniu ubiegłego roku C. po raz pierwszy w swojej karierze wprowadziła wśród pierwszoklasistów (czyli osób piętnastoletnich) ćwiczenia z kaligrafii, choć jej nauka przewidziana jest w szkole podstawowej, i to w klasach 1-3.

C.: – Zajmuję miejsce w ławce obok ucznia. Obserwuję, w jaki sposób notuje. Sprawdzam, czy ma problem z pisaniem pojedynczych liter, czy też z ich łączeniem. A może stawia je pod zbyt dużym kątem? Myli ich kolejność bądź zniekształca? Na koniec zadaję do domu ćwiczenia, których celem jest nauka czytelnego pisania.

Uczniowie C. – zanim nie posiądą zdolności starannego pisania – nie mogą na lekcji posługiwać się długopisem. Używają specjalnych „piórek", którymi stawia się litery wolniej, ale za to mają precyzyjniejszy kształt.

C. podkreśla, że dzieci posiadające nieczytelne pismo bądź piszące zbyt szybko i niestarannie, mogą nie radzić sobie w szkole. Przepisując z tablicy zadania matematyczne, „zapominają" np. o przeniesieniu minusa z jednej strony równania na drugą, nie są też w stanie odczytać własnych notatek z historii czy biologii, co sprawia, że gorzej się uczą. Pedagożka podkreśla więc, jak istotne jest, by dzieci otrzymały szybką pomoc. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia doświadczanie niepowodzeń edukacyjnych znacząco obniża motywację do pokonywania innych życiowych trudności. W przyszłości może powodować m.in. stany lękowe.

A. mówi, że w jednej z klas, w której uczy polskiego, co drugi uczeń nie potrafi nie tylko czytelnie pisać, ale i płynnie czytać. Powszechne jest łamanie ↦

↦ zasad ortografii, bo po co się jej uczyć, skoro w smartfonie i w komputerze jest słownik? Najbardziej młodzi ludzie nienawidzą, kiedy A. zadaje im wypracowania. – Gdy proszę ich o napisanie „wypowiedzi argumentacyjnej", składającej się z minimum trzystu słów, łapią się za głowy i pytają: „Ale jak mamy to zrobić?" – opowiada A. – Są po prostu przerażeni.

Spora część z nich zapewne już sobie radzi (albo niedługo zacznie), korzystając z pomocy narzędzi podobnych do ChatGPT, co jeszcze bardziej zamaskuje problemy uczniów i sprawi, że w przyszłości wielu z nich stanie się niesamodzielnymi ludźmi. Jest to o tyle niebezpieczne, że nakłada się na kolejny problem – w szkołach (zwłaszcza średnich) przybywa uczniów dotkniętych zaburzeniami zdrowia psychicznego.

Masowa produkcja

Wielu uczniów i uczennic lęka się relacji z rówieśnikami, a wyjście z domu uważa za „konfrontację ze światem", kontaktując się z nim poprzez portale społecznościowe – tylko z pozoru bezpieczniejsze, bo nieustannie pobudzające mózg i przepełnione hejtem. Z czasem taka młodzież stara się o zaświadczenia od psychiatry, uprawniające do „nauczania indywidualnego" (w domu ucznia lub za pośrednictwem internetu).

A. zwraca jednak uwagę, że system szkolny nie radzi sobie z dostosowaniem nauczania do rosnących, indywidualnych potrzeb uczniów. Widoczne jest bardziej to, że praca nauczycieli znacznie się wydłużyła, obrastając w biurokrację, która zresztą nie wiąże się z dodatkową gratyfikacją.

Część nauczycieli twierdzi, że opinie i orzeczenia są „masowo produkowane" przez psychologów, pedagogów i lekarzy. Najczęściej podawane w wątpliwość są opinie o dysleksji i dysgrafii. Pedagodzy wątpią, czy naprawdę co czwartego, a czasem wręcz co drugiego ucznia nie da się nauczyć zasad ortografii, czytelnego pisania i płynnego czytania.

Korzyści z posiadania zaświadczeń są dla uczniów bardzo konkretne. Dzieciom obciążonym dysfunkcjami nauczyciel musi zapewnić więcej czasu na napisanie klasówki, podczas której dyslektyk może popełnić więcej błędów ortograficznych i interpunkcyjnych, a także nie powinien być narażany na stres wywołany czytaniem na głos. Dzieci z dysleksją głęboką mogą zostać zwolnione przez dyrektora szkoły z nauki drugiego języka obcego, mają też prawo do dłuższego czasu podczas pisania egzaminu ósmoklasisty, ponieważ słabiej się koncentrują (maturzyści nie mają takiego przywileju).

Więcej ułatwień system szkolny przewiduje dla dzieci z orzeczeniami o specjalnym kształceniu, np. z uwagi na autyzm. Może przysługiwać im m.in. nauczyciel wspomagający, który czuwa podczas lekcji, by dziecko przepisywało treści z tablicy, ze zrozumieniem czytało polecenia i zanadto nie rozpraszało swojej uwagi. Tyle że nauczycieli wspomagających brakuje; kiedy któryś z nich zostawia na branżowym forum internetowym anons o poszukiwaniu pracy, pod postem natychmiast pojawiają się oferty z kilku bądź kilkunastu szkół. Niekiedy zgłaszają się placówki z sąsiednich województw.

K., pedagożka pracująca w jednym z krakowskich liceów, twierdzi, że rodzice i uczniowie często pytają ją wprost, jak „załatwić" zaświadczenie. Część uczniów szuka zaś w internecie wiedzy, co zrobić, by podczas testów wyjść na dyslektyka. Gdy już jednak otrzymają „papier", nie są chętni do uczestnictwa w zajęciach „kompensacyjnych" i nie wykonują ćwiczeń zaleconych w opinii z poradni psychologiczno-pedagogicznej.

Efekt? Dzieci naprawdę dotknięte dysfunkcjami nie są traktowane poważnie – opinii o dysleksji i dysgrafii jest tak dużo, że nauczyciele nie bardzo w nie wierzą. Z takim problemem zetknęła się pani Maria z Krakowa. Nauczycielka nauczania początkowego stwierdziła na temat jej syna: „To żaden dyslektyk, tylko leń". Matkę niepokoiło jednak, że dziecko pytane, jak prawidłowo pisze się „góra", mówiło, że „przez o z kreską", ale pisało „gura". Chłopiec mylił też „b" z „d" i miał problem z płynnym czytaniem. W poradni psychologiczno-pedagogicznej zdiagnozowano dysleksję.

Niekiedy zrozumienia dla swoich dzieci nie mają też sami rodzice, i proszą o traktowanie dyslektyków „normalnie". D., dyrektor jednej ze śląskich podstawówek, pamięta ojca, który poprosił, by jego syn nie korzystał z żadnych ulg. „Sam jestem dyslektykiem, a przy moim komputerze zawsze leży słownik ortograficzny" – argumentował.

Słownik pojęć

- **DYSGRAFIA** – słowo pochodzi od przedrostka „dys" i greckiego czasownika „*grapho*", czyli piszę. Dysgrafia objawia się trudnością w uczeniu się czytelnego pisania. Notatki ucznia obciążonego tą dysfunkcją są nieestetyczne i nieczytelne, co wynika z zaburzeń koordynacji wzrokowo-ruchowej. Chociaż w powszechnej opinii dysgrafia objawia się jedynie nieczytelnym pismem, to *de facto* dotyka wielu sfer życia. Takie dzieci uważane są za „niezgrabne" ruchowo, nie radzą sobie podczas gry w siatkówkę, futbol czy koszykówkę – wyzwaniem może być też dla nich nauka gry na instrumentach muzycznych, wymagająca dużej koordynacji.

- **DYSLEKSJA** – wiąże się z myleniem liter (np. B i D), pisaniem ich w odbiciu lustrzanym oraz robieniem błędów mimo znajomości zasad poprawnej pisowni. Dyslektyk może mieć trudność z układaniem klocków i puzzli, myli kierunki świata, trudno mu skoncentrować uwagę. Walijska badaczka Angela Fawcett uważa, że w porównaniu ze „zwykłym" uczniem, dziecko z taką dysfunkcją musi włożyć o wiele więcej wysiłku w naukę i poświęcić na nią wielokrotnie więcej czasu. Niekiedy osoba z dysleksją nie jest w stanie nauczyć się na pamięć nawet krótkiego wierszyka. Problemem jest także tzw. automatyzacja czynności, dlatego dyslektykom tak trudno jest nauczyć się płynnie czytać, a w dorosłym życiu – prowadzić samochód.

- **DYSKALKULIA** – potocznie nazywana jest dysleksją matematyczną. Polega na trudności w nauczeniu się liczenia (dziecko myli cyfry, liczby, symbole, znaki, daty), w rozwiązywaniu nawet prostych zadań matematycznych, a także na nieradzeniu sobie ze zrozumieniem abstrakcyjnych idei. Dziecko z dyskalkulią nie jest w stanie osiągnąć poziomu matematycznego stosownego do swojego wieku, do prostych działań matematycznych wykorzystuje kalkulator, liczy na palcach, ma również problemy z pojęciem czasu i odczytaniem godziny na zegarze.

YURI A / SHUTTERSTOCK

Gapa jesteś!

Dr Urszula Sajewicz-Radtke i dr Bartosz M. Radtke są gdańskimi specjalistami psychologii klinicznej, z wieloletnim doświadczeniem w diagnozowaniu oraz pracy z dziećmi z dysleksją i dysgrafią. Kiedy słyszą o „pladze dysleksji", mówią, że to przesada. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia ok. 20 proc. populacji zmaga się z dysleksją. W Polsce (według Państwowej Komisji Egzaminacyjnej) w latach 2015-2021 średnio 14 proc. uczniów piszących egzaminy zewnętrzne (ósmoklasisty, gimnazjalny, maturalny) posiadało opinie o dysleksji. Lokalnie bywało jednak gorzej. Np. w 2015 r. w Trójmieście aż 28 proc. uczniów kończących gimnazjum legitymowało się opinią o dysleksji bądź dysgrafii.

Tendencja ta wzrasta jednak w całym kraju. W roku 2023 opinię taką posiadało już 24,6 proc. polskich uczniów i uczennic przystępujących do matury.

Dr Radtke nie sądzi, by opinię o dysleksji bądź dysgrafii można było sobie „załatwić". – Jeśli tak się dzieje, są to tylko niechlubne wyjątki. Tak jak w pojedynczych przypadkach udaje się komuś „oszukać diagnostę" lub diagnozę „wyłudzić" – mówi dr Radtke. – Sporo jest też uczniów, którzy potrafią przez wiele lat kompensować dyslektyczne trudności np. wysoką sprawnością intelektualną. Dopiero w późniejszych latach, przed egzaminami zewnętrznymi, dysleksja zaczyna się mocniej ujawniać.

Dr Urszula Sajewicz-Radtke podkreśla, że dysgrafia, która w powszechnej opinii objawia się jedynie nieczytelnym pismem, *de facto* dotyka wielu sfer życia. Takie osoby sprawiają wrażenie nieporadnych i niejednokrotnie słyszą: „gapa jesteś", „o własne nogi się potykasz", „co ci dam do ręki, to zaraz zepsujesz". Bywa, że z powodu zaburzeń w koncentracji oddają niestaranne prace i wciąż słyszą, że nie przykładają do nauki odpowiedniego wysiłku.

Wiele dzieci w szkołach nie potrafi czytelnie pisać oraz płynnie czytać. Powszechne jest łamanie zasad ortografii, bo po co się jej uczyć, skoro w smartfonie i w komputerze jest słownik?

Dysleksja kojarzy się z kolei z robieniem błędów ortograficznych i interpunkcyjnych oraz nieumiejętnością płynnego czytania. Choć wciąż spotykamy się z twierdzeniami, że „kiedyś dysleksji nie było, bo dzieci były miej leniwe i się uczyły", to kłam tej teorii zadają badania. Jako jeden z pierwszych w historii przeprowadził je Albert Galaburda, urodzony w Chile neurobiolog. Odkrył on, że mózgi osób obciążonych dysleksją mają inną budowę, gdyż w życiu prenatalnym doszło w nich do zaburzonej migracji neuronów. Dr Radtke mówi, że dyslektycy potrzebują więcej czasu, by zrozumieć, co czytają. Choć ich uszy prawidłowo odbierają dźwięki, to mózg w nieodpowiedni sposób je przetwarza, dlatego „Kasia" i „kasza" brzmi dla nich tak samo.

Dr Sajewicz-Radtke uważa, że system edukacji ma problem z efektywnym planowaniem wsparcia dla dzieci i młodzieży. – Jeśli na klasę liczącą dwadzieścia pięć osób piątka posiada opinie o trudnościach w nauce, a kolejna trójka orzeczenia o potrzebie kształcenia specjalnego, dla szkoły może to być olbrzymim wyzwaniem. Dziś coraz częściej nie udzielamy więc efektywnej pomocy, bo jest to po prostu niewykonalne – mówi.

Cały stos kłopotów

Współczesna szkoła powinna nie tylko uczyć, pouczać i dyscyplinować uczniów, ale też podążać za nimi, a także mądrze reagować na świat, który w dwóch ostatnich dekadach zupełnie się zmienił, niosąc nieznane wcześniej zagrożenia. Młodzież żyje dziś w dużej mierze w rzeczywistości cyfrowej, a to sprawia, że jej wyobraźnia nie jest pobudzana w efektywny sposób, lecz raczej zastępowana przez wygenerowane na ekranach obrazy – natomiast koncentracja uwagi bywa zupełnie rozproszona nadmiarem bodźców.

Młodzi ludzie są zarazem nastawieni na szybkie wyszukiwanie treści i natychmiastową gratyfikację, także w obrębie uczuć i emocji. Na przerwach siedzą wpatrzeni w ekrany smartfonów, coraz rzadziej rozmawiają ze sobą twarzą w twarz – wolą komunikatory internetowe, nawet jeśli kolega lub koleżanka siedzi niedaleko. Zdarza się, że w wieku jedenastu, a nawet trzynastu lat nie potrafią odczytać godziny na tradycyjnym zegarku.

Prawdziwą plagą jest również niechęć do czytania. Choć – jak podkreśla C. – zdarzają się pasjonaci ambitnej literatury, to dla niejednego licealisty przeczytanie książki z kanonu lektur jest torturą. Kiedy C. poprosiła uczniów, by szczerze odpowiedzieli na pytanie, kto z nich przeczytał stosunkowo łatwo przyswajalną „Lalkę" Bolesława Prusa – dowiedziała się, że spośród dwudziestu ośmiu jedynie sześć osób oddało się lekturze. Część „podjęła próbę" jej przeczytania, kilkoro sięgnęło po audiobook, reszta wybrała streszczenia. Licealiści twierdzili, że „lektury szkolne są nudne" i „powodują martwicę mózgu". Być może dysgrafia i dyskalkulia nie są więc największym problemem, z jakim będziemy musieli się w najbliższym czasie zmierzyć. © MAŁGORZATA NOCUŃ

Imiona nauczycieli zostały zmienione

POWRÓT

ROMUALD WEKSLER-WASZKINEL, BYŁY KSIĄDZ:

Pomyślałem, że skoro Kościół mnie nie chce, to trudno. Trzeba, bym wrócił do swego „żydowskiego domu".

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Jerozolimski dom seniora, w którym mieszkasz, nazywa się „Nofim", po hebrajsku „widoki". Na co konkretnie?

ROMUALD WEKSLER-WASZKINEL: Na przykład na Jad Waszem, bo jest bliziutko. Chociaż już tam nie pracuję. Mam tu wszystko, czego potrzebuję – pielęgniarkę i lekarza, czasem koncerty, wykłady. I dużo miłych sąsiadów. Czuję się zaopiekowany.

Właściwie nie potrzebowałem tych wygód, zwłaszcza o charakterze medycznym. Ale po ostatniej operacji, ponad rok temu, jestem słabszy, gorzej chodzę. Czuję się raźniej, gdy w pobliżu jest lekarz. Zwłaszcza że rozpocząłem 82. rok życia.

Nie powiedziałeś jeszcze ostatniego słowa. Wkrótce ukaże się w Polsce Twoja autobiografia.

Przed kilkoma dniami otrzymałem z wydawnictwa ZNAK potwierdzenie, że książka ukaże się pod koniec lata lub na początku jesieni. Od czasu do czasu odwiedzam też Jad Waszem, gdzie jestem zapraszany na spotkania z młodzieżą szkolną. Bardzo to lubię. Czynią mnie młodszym i czuję się potrzebny.

Przyjechałeś do Izraela w październiku 2009 r. do pracy – jak sam piszesz – w Kościele wolnym od antysemityzmu. Znalazłeś go?

Oczywiście, choć nie mogę powiedzieć, że wszystko poszło po mojej myśli.

Jako katolicki ksiądz zawsze mocno akcentowałem moje żydowskie korzenie. Wyjeżdżałem z Polski rozczarowany antysemityzmem Kościoła w Polsce. Zna naukę posoborową, a zachowuje się tak, jakby nie obowiązywała – przynajmniej w niektórych kręgach. To tak, jakby pod wielką tablicą z napisem „zakaz palenia" wszyscy palili.

Uznałem, że najlepszy będzie dla mnie wyjazd do Izraela. Nie jechałem jednak jako Żyd, czyli *ole hadasz* (hebr. nowo przybyły). Jechałem jako katolicki ksiądz, który chciał pracować w Kościele. To się zupełnie nie udało.

JAKUB KAMIŃSKI / PAP

ROMUALD JAKUB WEKSLER-WASZKINEL (ur. 1943) – doktor filozofii, były wykładowca KUL, emerytowany pracownik Instytutu Jad Waszem w Jerozolimie. Autor książek, m.in. „Błogosławiony Bóg Izraela" (2001), „Zgłębiając tajemnicę Kościoła" (2003). Uratowany przez Polkę z getta w Święcianach, tuż przed jego likwidacją. O żydowskim pochodzeniu dowiedział się w 1978 r., gdy był już katolickim księdzem. W 2019 r. porzucił stan kapłański i przyjął judaizm.

W Kościele katolików języka hebrajskiego w Jerozolimie, gdzie trafiłeś niedługo po przyjeździe, twoim przełożonym był David Neuhaus – jezuita żydowsko-niemieckiego pochodzenia, urodzony w RPA. Wydawałoby się, że jego historia, żydowskiego księdza katolickiego, podobna jest do Twojej. A jednak nie znaleźliście wspólnego języka.

Nie wiem. Po prostu mnie nie lubił.

Kiedy dowiedziałem się, że moim przełożonym w Izraelu będzie jezuita, byłem nastawiony pozytywnie. W seminarium warmińskim w Olsztynie miałem dwóch ojców duchownych, jezuitów. Obaj o dużej kulturze osobistej, z otwartymi głowami. Natomiast w Jerozolimie, w domu katolickim, spotkałem młodego mężczyznę o zapędach dyktatorskich. Nie dało się z nim rozmawiać. Był przełożonym, którego trzeba słuchać.

Przepraszam, ale nie chcę o nim rozmawiać. Budzi we mnie złe emocje, przed którymi trzeba siebie chronić. W każdym razie, szybko dostrzegłem, że nie mam szans na pracę w Kościele. Dzięki wstawiennictwu rabina Michaela Szudricha otrzymałem pracę w Jad Waszem, którą wykonywałem przez 13 lat. W domu katolickim nie mieszkałem nawet przez rok. Gdy go opuszczałem, drzwi pokoju przełożonego były otwarte. Powiedziałem głośno: „Do widzenia". Nie usłyszałem odpowiedzi. Nigdy więcej się tam nie pojawiłem. To była moja porażka. Płakałem.

Mówisz o starciu dwóch silnych charakterów, nie o antysemityzmie.

Oczywiście, że nie o antysemityzmie. Doświadczyłem jednak, że tu, w Kościele, nie lubi się, gdy ktoś podkreśla swoje żydowskie pochodzenie. Bądź sobie, kim chcesz, ale nie podkreślaj swego żydostwa. Poniekąd to rozumiem, bo Kościół w Izraelu jest w dużej mierze arabski i niezbyt kocha swój żydowski rodowód. Więc trzeba być bardzo dyplomatycznym. Nigdy tego nie potrafiłem.

W Ziemi Świętej codziennie mierzymy się z konfliktem. Tu wszystko jest polityczne – trudno więc, by Kościół był od tego wolny. Jak wygląda sytuacja Kościoła teraz, podczas wojny?

Nie wiem. Nie chcę w to wchodzić, żeby nie bolało mnie jeszcze bardziej. Wiem i poniekąd rozumiem, że Kościół nie chce tracić swoich wiernych.

W 2016 r. miałeś świętować 50-lecie kapłaństwa. Piszesz, że nikt w Kościele o tym nie pamiętał.

W tym czasie miałem zażyłe kontakty z benedyktynami z francuskiego opactwa Abu Gosz pod Jerozolimą. Spotkałem tam bardzo mi bliskiego opata, ojca Charlesa. Kiedyś myślałem, że mógłbym wstąpić do tego opactwa, jak już przyjadę do Izraela. Gdy moja polska siostra usłyszała o tym pomyśle, szybko sprowadziła mnie na ziemię: „Ty się w ogóle nie nadajesz do żadnego zakonu, bo jesteś uparty jak sto osłów, a tam trzeba słuchać".

Miała rację?

Mam mądrą siostrę. Nie lubię poddawać się władzy przełożonych. Nade mną jest tyko Pan Bóg i to wystarczy.

A więc świętowałeś jubileusz w Abu Gosz?

Byłem tego dnia w koncelebrze z mnichami. Bardzo przeżywałem tę rocznicę. 50 lat to przecież większość mego życia. Oddałem je Kościołowi tak, jak umiałem, na ile było mnie stać. Tego dnia – i w następne – nie otrzymałem z mojej diecezji ani od kolegów księży choćby jednego słowa. Jakbym nie istniał. Bardzo bolało. Poprosiłem o spowiedź o. Charlesa. Chciałem go zapytać, na czym ma polegać moje kapłaństwo. Wydawało mi się, że z moimi żydowskimi korzeniami mam coś do powiedzenia Kościołowi. Zupełnie mnie nie zrozumiał. Powiada: „Masz gdzie mieszkać, masz pieniądze na życie". „Ale ja jestem księdzem – mówię. – Chciałbym pracować w Kościele, nie w Jad Waszem. Nie po to tu przyjechałem". By nie przedłużać, podziękowałem opatowi za poświęcony czas. To w ogóle nie była spowiedź. Nie poprosiłem o rozgrzeszenie.

Pojechałem do Jerozolimy. Mieszkałem wówczas w domu starców przy ul. Ha Nassi 14. Odprawiałem mszę przy swoim biurku. Zwykle robiłem to w środy – w wigilię Wielkiego Czwartku – oraz w soboty, na koniec szabatu, jako mszę niedzielną. Taki miałem porządek.

Do odprawienia mszy nie potrzebny jest budynek kościelny ani żadna kaplica. Wystarczy ksiądz, maca i wino. Przygotowałem wszystko, co trzeba, i na początku powiedziałem: „Pan z wami. ↦

↦ Przeprośmy Boga za nasze grzechy". I w tym momencie przeżyłem wstrząs! Dotarło do mnie, że mówię jakąś nieprawdę. Jakie „Pan z wami"? Gdzież jest wspólnota? Kapłan jest z ludu wzięty i dla ludu ustanowiony. Nikt nie jest księdzem dla siebie. Zrozumiałem, że jest coś w moim życiu głęboko nie tak, jak być powinno.

Rozpłakałem się. Zjadłem przygotowany kawałek macy, wypiłem przygotowane wino i to był koniec. Skoro Kościół mnie nie chce, trudno. Pomyślałem, że trzeba, bym wrócił do swego „żydowskiego domu".

W kolejnych dniach powiedziałem moim przyjaciołom w Jad Waszem: pomóżcie mi, chcę „powrócić" do domu mego urodzenia, do żydowskiego świata, z którego wyrwała mnie wojna.

W takich sprawach izraelska biurokracja jest wyjątkowo niewdzięczna. Dokumenty muszą być jednoznaczne.

Nie miałem żadnych dokumentów.

Z rodzinnego domu wyniosła mnie – nieobrzezane niemowlę – moja rodzona matka, Batia Weksler. Położyła na oknie, gdzie mieszkali Piotr i Emilia Waszkinel. Emilia wzięła mnie z okna i w ten sposób stałem się kochanym polskim dzieckiem w chrześcijańskiej rodzinie. Działo się to w ostatnich dniach istnienia społeczności żydowskiej w Święcianach, które po 4 kwietnia 1943 r. stało się już *Judenrein* (wolne od Żydów). Ja pozostałem, dobrze ukryty. Bez jakichkolwiek dokumentów.

Spośród licznego grona przyjaciół w Jad Waszem najbardziej mi pomagała Rachela Szapiro. Wspaniała osoba, niestety już błogosławionej pamięci. Woziła mnie samochodem, gdzie tylko było potrzeba. Najczęściej do urzędu rabinackiego. Najważniejszym i właściwie jedynym dokumentem, jakiego tam żądano, była metryka urodzenia. Ja jej nie mam. Chyba nigdy nie miałem.

„To na jakiej podstawie możemy w ogóle rozpocząć procedurę – pytali – skoro nie masz żadnego dokumentu?". Tłumaczę, że odnalazłem tutaj, w Izraelu, moją rodzinę, tak ze strony ojca, jak i matki. Pada następne pytanie: „Czy ktokolwiek z twojej rodziny widział ciebie na rękach twojej rodzonej matki?". Tak może pytać tylko ten, kto nie ma pojęcia, czym była druga wojna, czym było Szoa.

Albo urzędnik.

Z braku dokumentów zaproponowano mi oficjalną konwersję na judaizm. Odpowiedziałem w nerwach: „Przecież ja mam żydowskich rodziców w genach! Jaka konwersja?". Nie chciałem ustąpić ani na jotę. Trwało to niemal trzy lata. Pamiętam, jak ostatni raz pojechaliśmy z Rachelą do rabinackiego urzędu. I znowu ta sama konwersacja: „Proszę o metrykę urodzenia". „Nie mam". „To nie możemy ci pomóc". Rozpłakałem się. Łzy płynęły mi chyba nie tylko z oczu, ale i z głębi duszy. Bo kątem oka widzę, że rozmawiający ze mną rabin gładzi brodę, jakby się uśmiechał, i słabym głosem mówi: „Wiesz, teraz jesteś podobny do stu Żydów naraz". „Nuu – zawołałem po żydowsku – to może moja gęba będzie jakimś dowodem w sprawie?". A on na to: „Może".

I odesłał mnie do innego gabinetu, gdzie pobrano mi ślinę na badania DNA. Po trzech tygodniach dzwoni rabin, który pobierał mi ślinę, i mówi: „Jakubie, jesteś Żydem bardziej niż ja". Wyszło w badaniach, że w 97,9 procentach jestem Żydem aszkenazyjskim. Wynik testu stał się moim certyfikatem urodzenia. Nikt już nie kwestionował moich żydowskich korzeni.

6 lutego 2019 r. w synagodze w Jad Waszem odbyła się Twoja bar micwa.

Tak. Uroczyście „wracałem" do mego żydowskiego domu. Bardzo płakałem, jak zwykle, bo jak wiesz, do tego jestem szczególnie uzdolniony. Uważam zresztą, że to dar, bo nie tylko przynosi ulgę, ale też rozwiązanie różnych trudności, zarówno moich, jak i osób, które mi towarzyszą.

Ludzie wobec łez są zwykle bezbronni.

Kiedy już oficjalnie zostałem włączony w poczet żydowskiego ludu, pojechałem z moją żydowską rodziną na wycieczkę „do korzeni". Stanęliśmy w Święcianach przed pomnikiem getta, a mój kuzyn mówi: „Powiedz coś do nas, Jakubie, w tym szczególnym miejscu". Mówię mu: „Wiesz przecież, że potrafię tylko płakać". „No to płacz, ale mów" – odpowiedział. Więc płakałem z całego serca. Wtedy przyszła mi do głowy myśl, że najpiękniejsze chwile w życiu przeżyłem właśnie tu.

W święciańskim getcie? Dlaczego?

Bo byłem jedno z moją mamą. Bicie jej serca było moją pierwszą muzyką. I wiem na pewno, że moja rodzona mama bardzo mnie kochała. Skąd to wiem? Bo gdy dziecko zaczyna się poruszać pod sercem matki, a ona go nie kocha, ma wiele sposobów, żeby je stamtąd wyrzucić. Mnie moja mama nie wyrzuciła. Czekała, aż się urodzę. Nawet zaraz po urodzeniu wystarczyło przykryć mi usta poduszeczką i byłoby po mnie. Mama tego nie zrobiła, bo mnie bardzo kochała. Znalazła dla mnie drugą mamę. Dwie matki uratowały mi życie. Ja nie nazywam się Weksler. Nazywam się Weksler-Waszkinel. To nie są dwa nazwiska. To jedno nazwisko, dwuczłonowe.

Powiedziawszy to, już tylko szlochałem. I płakali wszyscy ze mną.

Kim dzisiaj, po powrocie do żydostwa, jest dla Ciebie Jezus z Nazaretu?

Posłuchaj... O moim istnieniu mama Waszkinelowa dowiedziała się przypadkiem. Była w zakładzie krawieckim, gdzie pracował mój rodzony ojciec. Powiedział jej, że w getcie jest jego synek, niedawno narodzony. Może mogłaby go uratować. Getto nie było zamknięte. Poszła. Mówiła mi potem: „Gdy tylko cię zobaczyłam, od razu pokochałam. Ale wiedziałam, że nie mogę cię wziąć. Nigdy nie byłam w ciąży. Tłumaczyłam twojej mamie, że nie mogę cię wziąć. Zbyt duże ryzyko. Zabiją i niemowlę, i nas".

I wówczas – nie wiem, czy to było od razu, czy parę wizyt później – moja rodzona mama powiedziała do mojej mamy polskiej: „Pani wierzy w Jezusa. A przecież on był Żydem. Niech pani ratuje moje żydowskie niemowlę w imię tego Żyda, w którego pani wierzy. Jak mój mały synek wyrośnie, zostanie księdzem. Zobaczy pani". Te słowa mojej rodzonej matki skłoniły moja mamę polską, by mnie ratować.

Moi polscy rodzice nigdy mi tego nie powiedzieli, bo ja się bałem być Żydem. Słyszałem, że Żydzi zamordowali Pana Jezusa, a ja Go kochałem. Jednocześnie cały czas, mimo lęku, przypuszczałem, że może jestem Żydem. Dzieci zwykle są podobne do swoich rodziców. Ja zupełnie nie byłem do nich podobny. Raz, w gniewie, powiedziałem mamie: „Bo jak jestem Żydem, to zobaczycie, co z sobą zrobię!".

W 1968 r. wpadła mi do ręki książka, której autorem był, zdaje się, Oskar Ha-

ARCHIWUM RODZINNE / PORTAL POLSCY SPRAWIEDLIWI SPRAWIEDLIWI.ORG.PL / MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH POLIN

Romuald Waszkinel z polskimi rodzicami Emilią i Piotrem Waszkinelami

lecki. O losach Polaków w czasie II wojny światowej. Wtedy po raz pierwszy trafiłem na słowo Holokaust. Czytam o Zagładzie trzech milionów polskich Żydów i przechodzi mnie dreszcz. Rodzi się we mnie przypuszczenie, że chyba jestem Żydem.

Mój ojciec nie chciał, bym poszedł do seminarium. Odwiedził mnie na samym początku pobytu. Płakał w kaplicy seminaryjnej. Powiedział mi, że moje życie będzie bardzo ciężkie. Trzy dni po wizycie w seminarium umarł na zawał serca. Ja, nie znając prawdy, nie znając słów mojej rodzonej matki, myślałem, że ojciec bał się, że będę złym księdzem. Powiedziałem sobie: „Tatuś, za twoją śmierć poświęcam moje życie. Zobaczysz, udowodnię Ci, że będę bardzo dobrym księdzem".

I co było dalej?

Śmierć ojca była niejako wyzwaniem, ale nie wiedziałem, że jego przeżycia odnosiły się do słów mojej rodzonej matki. Powiedziała mi to wszystko dopiero moja polska matka.

Tu od razu sprostowanie. Nie wyjawiła mi tego tuż przed śmiercią. Powiedziała mi o tym 23 lutego 1978 r., a zmarła – na moich rękach, z zapaloną gromnicą w dłoni – 15 kwietnia 1989 r.

Wlokłem ze sobą to wszystko aż do chwili, gdy uświadomiłem sobie, że Kościół mnie nie potrzebuje. Dopiero wtedy zrozumiałem znaczenie słów mojej rodzonej matki: on będzie księdzem. Mówię to z lękiem i drżeniem: jej słowa okazały się proroctwem. Moje kapłaństwo uratowało moje żydostwo. Jestem Żydem, jak Żydem był Jezus.

Ksiądz nie ma rodziny, żony, dzieci. Jest odpowiedzialny tylko przed własnym sumieniem. Mogę więc spokojnie wrócić do mego rodzinnego domu. To, że Kościół w Izraelu nie powierzył mi żadnej wspólnoty, okazało się błogosławieństwem. Gdybym takową otrzymał, na pewno bym jej nie porzucił. Czułbym się za nią odpowiedzialny.

Często mówiłem, nie bardzo rozumiejąc głębię tego, co mówię, że jestem „Żydem od Jezusa". Tak, jestem Żydem. Tak jak Jezus. Ale nie Jezus Mesjasz, nie druga osoba Trójcy, ale po prostu: Jezus z Nazaretu, wielki Żyd, charyzmatyczny nauczyciel.

Nie odkrywam tego jako pierwszy. Martin Buber pisał o Jezusie: mój wielki Brat. Mam wiele książek autorów żydowskich, którzy bynajmniej nie wyrzucają Jezusa. Nie jest dla nich Mesjaszem ani Synem Bożym, tego judaizm nie może przyjąć. Religijni Żydzi wierzą, że Mesjasz przyjdzie, ale nikt dokładnie nie wie, co to oznacza. Rozumiem teraz, że słowa mojej rodzonej mamy – „On będzie księdzem" – znaczyły, że „on do mnie powróci".

Tęsknisz za katolickim światem?

O świecie katolickim, który cenię, nauczyłem się najwięcej od mojej polskiej matki. Jej katolicyzm ujawniał się w codzienności. Gdy w pewnym momencie życia nabrałem wątpliwości, czy zdołam napisać doktorat, moja wspaniała matka powiedziała: „Romek, najważniejsze, żebyś był uczciwym człowiekiem. Zapamiętaj to sobie".

Dla mnie najpiękniejszy katolicyzm to moja polska mama. Nie wyznawała żadnej doktryny, nie miała nawet wiedzy katechizmowej. Była prostą kobietą, analfabetką. Gdybym miał tęsknić za Kościołem, to wyłącznie za Kościołem mojej mamy. Nie za Kościołem biskupów i różnej maści dostojników i profesorów. Za tym wszystkim w ogóle nie tęsknię. Wręcz przeciwnie. Mam wobec tego bardzo krytyczną postawę.

A co z katolickimi dogmatami? Nie zastanawiasz się nad nimi?

↦

↦ Litości. Nie potrafię w ogóle na to pytanie odpowiedzieć. Wydaje się jednak, że jest w moich myślach taka szuflada, w której przechowuję to, co cenne. Jest w niej na pewno Matka Jezusa – młoda Żydówka z Nazaretu. Ale to nie jest dziewica, niepokalanie poczęta.

Miałem wiele szczęścia, że moje kapłaństwo przypadło na lata posoborowe. Oprócz ludzi pazernych, zarozumiałych narcyzów, w gruncie rzeczy niemądrych, spotkałem wiele wspaniałych osób, jak prof. Stefan Swieżawski, ks. Tadeusz Fedorowicz czy – najbardziej – papież Jan Paweł II.

Decyzja o Twoim wyjeździe do Izraela zapadła po jego śmierci. Poczułeś wtedy, że skończyła się jakaś era?

Dokładnie tak. Nikt nie miał takiego serca do Żydów jak on. Miał swoje osobiste i bliskie przeżycia z Wadowic, właśnie z Żydami, miał pośród nich najbliższego przyjaciela, Jurka Klugera. Gdy spotkał się z nimi w Jad Waszem, to każdą cząstką czuło się, że on jest ich, a oni są jego. Po śmierci papieża nie było już nikogo z taką bliskością do świata żydowskiego. Przynajmniej ja nikogo nie znam.

Czy dzisiejsza wojenna rzeczywistość przywołuje koszmar, od którego rozpoczęło się Twoje życie?

Tutaj, w Jerozolimie, czuję się w miarę bezpiecznie. Chociaż ryk syren, gdy nadlatują rakiety, zmusza mnie czasem do zejścia do schronu. Polityczne przekonania zachowuję dla siebie. A wciąż słaba znajomość języka hebrajskiego pomaga mi, paradoksalnie, zachować dystans wobec tego, co dzieje się wokół.

Choć życzyłbym sobie, by w obliczu wojny Kościół w Izraelu – i nie tylko tu, ale tu szczególnie – odważniej przypominał, jakie jest miejsce Izraela w planie zbawienia. By usłyszeli to wszyscy, którzy nie widzą tu dla nas miejsca.

Staję przed Bogiem Izraela jako cząstka ludu przymierza i jeżeli o cokolwiek Go proszę, to o to, by miał ten lud w opiece. By kierował sercami i oczami tych, którzy rządzą Izraelem. Bo wierzę z całego serca, że Bóg nie porzucił swego ludu. Tego, który sam wybrał przed wiekami.

© Rozmawiała
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

MEHDI33300 / ADOBE STOCK

Brama św. Dionizego u wylotu ulicy Saint-Denis w Paryżu

Skowronki z Saint-Denis

ANNA GARYCKA

W starym centrum francuskiej stolicy, w dzielnicy prostytutek, Kościół prowadzi uliczną ewangelizację.

Niedawno na brzegu Sekwany ks. Étienne Grenet obserwował parę rybitw. Piękne były, eleganckie. – Ptaki łączą całą ziemię – mówi z zachwytem, a po chwili dodaje: – Z jeleniem inaczej. W czasie gdy rybitwy przemierzą cztery tysiące kilometrów, jeleń nie ruszy się dalej niż na trzy kilometry.

Grenet był w młodości myśliwym. – Kochać przyrodę nie znaczy nie dotknąć żadnego zwierzęcia – tłumaczy. – Kiedy gryzonie dewastują zbiory, nie ma możliwości, by ich nie elimi-

nować. Ale fakt, dawno przestałem polować ze strzelbą w ręku. Obecnie robię to tylko z użyciem aparatu fotograficznego – śmieje się.

Ks. Grenet lubi wszystkie zwierzęta, ale najbardziej ptaki wędrowne. Co pewnie nie jest bez związku z jego pracą. W 2018 r. arcybiskup Michel Aupetit zaproponował mu założenie Ośrodka Misyjnego diecezji paryskiej. Nie wahał się ani chwili. Program ośrodka ma trzy punkty: przyjrzeć się istniejącym inicjatywom, przetestować nowe pomysły i towarzyszyć innym parafiom w transformacji misyjnej.

Ulica prostytutek

Ewangelizacja stała się dla Kościoła we Francji pilnym wyzwaniem. – Jeszcze 60 lat temu chrześcijaństwo w naszym kraju było masowe. Każdy, nawet wśród największych antyklerykałów, miał w swoim otoczeniu praktykujących katolików, jakąś ciotkę czy wujka. Od tamtego czasu aż do końca ubiegłego wieku trwało systematyczne odchodzenie od Kościoła – analizuje ks. Grenet. – Dziś liczba praktykujących nie przekracza 2 procent.

Dlatego ci, którzy mimo wszystko chcieliby to zmienić, zbierają się w Ośrodku Misyjnym przy kościele Saint-Leu-Saint-Gilles, na ulicy Saint-Denis. – To miejsce strategiczne, zwłaszcza dla ewangelizacji ulicznych – zauważa ks. Grenet.

Jesteśmy w historycznej części Paryża, niedaleko Les Halles (Sukiennic). Dawne średniowieczne miejsce targów jest dziś ogromnym centrum handlowym – codzienne przewija się tu ponad milion osób. Ulica Saint-Denis kojarzona jest głównie z prostytucją, na sex-shop natkniemy się na każdym kroku. – Siedziba w takim miejscu ma szczególną symbolikę – mówi Grenet. – W kościele Saint-Leu-Saint-Gilles przechowywane są relikwie św. Heleny, matki cesarza Konstantyna. Odegrała ważną rolę w przyjęciu chrześcijaństwa na Zachodzie. Dzisiejsze wyzwania w związku z przepowiadaniem misterium Krzyża i nawróceniami w Europie Zachodniej są równie ogromne jak tamte.

W niedzielny wieczór drzwi kościoła są szeroko otwarte. Clothilde Vermillon z ekipy ks. Greneta zaprasza przechodniów do środka. Tym, którzy zatrzymają się choć na moment, opowiada historię własnego nawrócenia: – Miałam szczęście. Po długiej drodze, która trwała prawie dziesięć lat, doświadczyłam spotkania z Bogiem – mówi.

Z Chin do Paryża

Clothilde jest stałą bywalczynią ośrodka. Pochodzi z Chin, gdzie studiowała filologię romańską. Zawód nauczycielki francuskiego nie bardzo ją interesował, więc przyjechała do Francji na studia z marketingu i zarządzania. Miała 20 lat. O sprawach wiary nie wiedziała nic. – W Chinach moje doświadczenia były raczej antyreligijne – przyznaje.

Któregoś dnia weszła do kościoła w paryskiej dzielnicy, w której mieszka. Trwała msza. – Zajrzałam tam z ciekawości, bo nurtowało mnie, o co chodzi z tym chrześcijaństwem, które jest fundamentem francuskiego społeczeństwa.

Atmosfera w kościele i piękno architektury sakralnej sprawiły, że przez kolejne pięć lat przychodziła na mszę jako „wolny słuchacz". – Zgadzałam się z wartościami głoszonymi przez Kościół, ale nie miałam wiary.

Po kilku latach straciła pracę. – Byłam naprawdę w wielkim kryzysie. Ktoś znajomy wspomniał mi wtedy o wolontariacie w Lourdes. Pojechałam. Któregoś dnia, po godzinach pracy, wybrałam się do groty objawień. Nie wierzyłam w istnienie Maryi, ale prosiłam o wyciągnięcie mnie z kryzysu. Byłam ostrożna i nie powiedziałam, że jeśli mnie wysłucha, to w nią uwierzę, tylko że wrócę, by jej podziękować.

Prośba Clothilde została wysłuchana. – Po powrocie do Paryża znalazłam pracę w dziale marketingu w przemyśle spożywczym. Przezwyciężyłam kryzys. Ale tłumaczyłam sobie, że to był czysty przypadek, że wszystko to moja zasługa. Bardzo szybko zapomniałam o Lourdes.

Aż nadszedł covid. – W każde wakacje jeździłam do Chin, ale tamtego lata z powodu pandemii nie mogłam wyjechać. Co zrobić z urlopem? Wtedy przypomniałam sobie o obietnicy, jaką złożyłam Maryi w Lourdes. Nadszedł czas, by jej podziękować...

Wkrótce po tym Clothilde Vermillon zwróciła się do swojej paryskiej parafii z prośbą o chrzest. W zeszłym roku, po trwającym półtora roku katechumenacie, przyjęła sakrament. – Wciąż jestem neofitką – wyznaje.

Przystań dla początkujących

Z głębi nawy kościelnej dobiega muzyka. Nie są to śpiewy liturgiczne, raczej pop, jaki można usłyszeć w radiu, choć teksty inspirowane są psalmami. – Może nie jest to muzyka wysokich lotów – śmieje się ks. Grenet – ale Duchowi Świętemu to nie przeszkadza.

Po małym koncercie kapłan proponuje krótką medytację na temat: „Nasze marzenia: miraż czy napęd do działania". – Nie jest to tematyka typowo chrześcijańska – przyznaje kapłan – ale dotyczy każdego. Dopiero w trakcie medytacji wprowadzam spojrzenie biblijne.

Celem ośrodka jest stworzenie przystani dla osób, które nie miały kontaktu z Kościołem. – Ludziom poszukującym nie można powiedzieć „Chodź ze mną na mszę" – mówi ks. Grenet. – Raczej należy zapytać, czy chcą się dowiedzieć, czym jest Kościół. Powiedzieć: „Zapraszam,przyjmiemy cię takim, jaki jesteś. Przyjdź i zobacz". Może nie od razu na dziesięć spotkań, ale choćby ten jeden raz.

Niedzielne spotkanie kończy się poczęstunkiem przygotowanym przez kilkuosobową ekipę Greneta. Muzycy składają instrumenty. Goście i ekipa zaczynają ze sobą swobodnie rozmawiać. – Bóg ma różne możliwości, by dotknąć człowieka w sposób jedyny i niepowtarzalny – mówi Clothilde Vermillon.

Tłumaczy, że choć formalnie jej katechumenat trwał tylko półtora roku, to w rzeczywistości droga do chrztu i wiary zajęła jej całą dekadę. – Momentem decydującym był powrót do domu po drugiej wizycie w Lourdes. Usłyszałam ewangelię o Piotrze, który chodzi po wodzie na wezwanie Jezusa, aż nagle wątpi i zaczyna tonąć. W homilii ksiądz powiedział, że każdy z nas ma w życiu trudne momenty, które doprowadzają nas do rozpaczy. Nawet jeśli nie wierzymy w Boga, błagamy wtedy o ratunek. A gdy Bóg wysłuchuje tych próśb, o wszystkim zapominamy. Kiedy to mówił, zalałam się łzami. Opowiadał moją historię – wyznaje Clothilde.

Wnuki katoliczek

Étienne Grenet zwraca uwagę, że w społeczeństwie francuskim mamy dziś do czynienia z nowym zjawiskiem: – Mówimy o pokoleniu „wnuków babć katoliczek". Ich rodzice przestali praktykować, nie ochrzcili ich, nie przekazali im wiary, odeszli z Kościoła, trzaskając drzwiami. ↦

DIECEZJA PARYSKA / MATERIAŁ PRASOWY

Ks. Étienne Grenet

Ale w tym pokoleniu nie ma już niechęci czy wrogości do Kościoła. Co zachęca nas do przekazywania wiary z nową energią.

Ośrodek proponuje parafianom podjęcie misji, by sami mogli się przekonać, jak to jest rozmawiać z osobą niewierzącą. Stąd wzięły się regularne ewangelizacje uliczne. Wśród osób, które dziś przyszły na spotkanie, są dwie panie z jednej z paryskich parafii. Słuchają z zainteresowaniem i notują pomysły do wykorzystania w ich wspólnocie.

Towarzyszenie parafiom w transformacji misyjnej i proponowanie nowych środków ewangelizacyjnych odbywa się również poprzez szkolenia, jednorazowe czy całoroczne. Przeznaczone są dla wiernych z diecezji, ale formuła *on-line* pozwala na udział chętnym z całej Francji. Pierwszy kurs poświęcony był ekologii integralnej i encyklice papieskiej „Laudato si'". Ks. Étienne Grenet opisał go w książce „Zielony Chrystus" (2021).

Psalmy i skowronki

Tematyka ekologiczna wydaje się oczywista w przypadku kogoś, kto – jak ks. Grenet – spędza mnóstwo czasu na łonie natury. Chrześcijańska wizja będzie wiarygodna tylko wtedy, gdy sami katolicy zaczną ją praktykować i bez obaw o niej mówić. Żeby wiarygodnie głosić Ewangelię, trzeba mieć właściwy stosunek do natury. – To, co lubiłem w myślistwie i co jest również obecne przy fotografowaniu zwierząt, to uświadomienie sobie, że drzemie w nas gadzi mózg. Żeby uchwycić na zdjęciu jakieś zwierzę, trzeba najpierw je podejść, zbliżyć się, być szybszym, widzieć, nie będąc widzianym... Zdarza mi się czasem spędzić cztery godziny bez ruchu w jakiejś kryjówce. To oczyszcza umysł.

Nie bez powodu doktorat ks. Greneta, obroniony na wydziale teologicznym we Fryburgu w 2017 r., poświęcony był oczyszczającemu i uzdrawiającemu wymiarowi psalmów. – To modlitwa wysławiająca Boga. W całej Biblii podkreśla się, że nie tylko człowiek wysławia Boga, ale całe stworzenie. Taki jest głęboki sens liturgii eucharystycznej: kiedy uczestniczymy w mszy, jesteśmy w łączności z całym stworzeniem.

Na koniec rozmowy ks. Étienne Grenet opowiada o Owernii, na południu Francji, gdzie jeździ każdego lata na rekolekcje i gdzie pełno jest skowronków. – Cały dzień je słychać – mówi, a potem przez kilkanaście sekund ćwierka, świergocze, świszczy... – Śpiew ptaków ma coś wspólnego z wysławianiem Boga, z którego przecież bierze się cały misyjny zapał.

Skowronek jest emblematyczny, bo kiedy śpiewa, wzlatuje pionowo ku niebu. – Im więcej śpiewa, tym wyżej się wznosi – podkreśla mój rozmówca. – Ptaki nie tylko łączą całą ziemię. One łączą ją także z niebem. Bo misja ta trwa całe życie.

© ANNA GARYCKA

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**!

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SYLWIA PENC / AGENCJA WYBORCZA.PL

Lek na lęk

PIOTR SIKORA

Umysł ludzki ma skłonność do wyobrażania sobie przyszłości jako zagrażającej. Jezus uczył, jak radzić sobie z tą cechą naszej natury.

Czego się spodziewasz w najbliższej przyszłości – w nadchodzących dniach, miesiącach, w rozpoczętym właśnie roku 2025? Czy patrzysz z nadzieją, widzisz szanse, nowe możliwości? Czy raczej dominują u ciebie niepokój, obawy, lęk, przewidujesz osobiste i zawodowe trudności, społeczne konflikty i zdarzenia, które będą zagrażać jakości i stabilności życia twojego i twoich bliskich?

Natura i okoliczności

Powszechniejsza jest raczej ta druga postawa. Widać to w noworocznych memach, szeroko udostępnianych w różnych przestrzeniach internetu. Słychać w rozmowach toczonych w realu i w sieci, czy to w wąskim gronie znajomych, czy w publicznych komentarzach.

Zapewne wydarzenia ostatnich kilku lat – pandemia, inwazja Rosji na Ukrainę, inflacja, zachowanie ludzi posiadających władzę – mogą uzasadniać taką postawę. Co powiedzielibyśmy jednak, gdybyśmy żyli w czasach cesarza-szaleńca Kaliguli? Albo gdy upadał Rzym? Albo gdy kończyła się dżuma, wybiwszy niemal połowę populacji Europy? Albo i dziś, gdybyśmy byli mieszkańcami Sudanu Południowego, Jemenu, Tybetu?

Problem z naszym niepokojem i obawą o przyszłość leży głębiej niż w przygodnych okolicznościach naszej egzystencji. Można powiedzieć: jego źródła leżą w tak głębokiej przeszłości naszego gatunku, że jego zakres jest uniwersalny. Umysł człowieka wykształcił szczególną wrażliwość na zagrożenia, także te wyobrażone, by umożliwić mu przeżycie. A skoro jest to cecha uniwersalna, to jedynie uniwersalna mądrość może pozwolić na sformułowanie wskazówki, jak się zmierzyć z powszechnym nie tylko dzisiaj niepokojem. Posłuchajmy.

Rozproszenie

„Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się, i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się, i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje. (...) Dlatego powiadam wam: Nie troszczcie się (*me merimnate*) o swoje życie, o to, co macie jeść i pić, ani o swoje ciało, czym się macie przyodziać. Czyż życie nie znaczy więcej niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie? Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: nie sieją ani żną i nie zbierają do spichrzów, a Ojciec wasz niebieski je żywi. Czyż wy nie jesteście ważniejsi niż one? Kto z was przy całej swej trosce może choćby jedną godzinę dołożyć do wieku swego życia? A o odzienie czemu się troszczycie? Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich. Jeśli więc ziele na polu, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej was, małej wiary? Nie troszczcie się więc i nie mówcie: co będziemy jeść? co będziemy pić? czym będziemy się przyodziewać? Bo o to wszystko poganie zabiegają. Przecież Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Starajcie się ↦

najpierw o królestwo i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane. Nie troszczcie się więc o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie. Dosyć ma dzień swojej biedy" (Mt 6, 19-21. 25-34).

Czytając ten tekst, warto zwrócić uwagę na znaczenie kluczowych słów. „Nie troszczcie się" – *me merimnate. Merimnao* pochodzi od *merizō* – dzielić na części. Chodzi tu zatem o troski, niepokoje, które dzielą, rozpraszają duszę przez zaangażowania w wiele różnych chęci, przywiązań, oczekiwań. Chodzi o rozproszenie uwagi, przebywanie umysłem w wielu miejscach naraz, gdzie indziej – nie tutaj, w przyszłości – nie teraz.

Co ciekawe, w Ewangelii Łukasza te same rady Jezusa poprzedzone są opowieścią o bogaczu, któremu obrodziły plony. Zaczął martwić się i – nie mogąc zasnąć – rozmyślał, że musi powiększyć spichrze, aby to, co zgromadził, nie zmarnowało się, lecz umożliwiło mu korzystanie z zebranych zasobów. Bóg jednak zwraca się do niego: „Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował?" (Łk 12, 20). Dlaczego bogacz okazał się głupcem? Gdyż tak naprawdę nic nie przygotował. Wszystko bowiem – zarówno burzenie zbyt małych spichlerzy, jak i budowanie większych, nowych, a także cieszenie się życiem – dzieje się jedynie w jego niemogącej zasnąć głowie.

Bez złudzeń

Co równie ważne, w Ewangelii Mateusza Jezus poprzedza ostrzeżenie przed rozpraszaniem się i pogrążaniem w niespokojnych myślach o przyszłości jasnym stwierdzeniem nietrwałości dóbr tego świata, które niszczone są zarówno przez czynniki naturalne (mole i rdzę), jak i społeczne (złodziei). A zatem uwolnienie się od rozpraszających, niespokojnych myśli o przyszłości wcale nie wynika z uzasadnionego poczucia bezpieczeństwa, uzyskanego przez zapewnienie sobie stabilnej sytuacji materialnej. To niemożliwe, utrata dóbr materialnych jest nieuchronna. Dlatego wzorem, na który Mistrz kieruje uwagę swoich słuchaczy, są kwiaty, które dziś są, a jutro spłoną w piecu. Albo ptaki, których żywot – jak doskonale wiedzieli starożytni, żyjący znacznie bliżej przyrody niż my dzisiaj – często jest niepewny, a zawsze krótki.

Rada uniwersalnej mądrości: zostaw wszystkie niespokojne rozproszenia i przekieruj uwagę na **Słowo, które pokazuje ci, co możesz zrobić tu i teraz.**

Jezusowe słowa nie są zatem pocieszeniem: nie martwcie się o przyszłość, bo Bóg cudownie sprawi, iż wszystkie wasze pragnienia materialnego dobrobytu zostaną spełnione. To nie tak. Kluczowe jest znaczenie rady, by starać się najpierw o królestwo i jego sprawiedliwość – to w jego świetle ujawnia się sens zapewnienia, że wszystko inne będzie nam dodane.

Kontemplacja i działanie

Sens tego starania widać w dwóch innych historiach. Pierwsza – to spotkanie w domu Marty i Marii. Jak czytamy, Marta zajmowała się i martwiła wieloma sprawami, podczas gdy Maria była całkowicie skoncentrowana na słuchaniu Jezusa. Gdy Marta poprosiła Mistrza, by skłonił jej siostrę do pomocy, odpowiedział: „Marto, Marto, troszczysz się (*merimnas*) i niepokoisz (*thorybazē*) o wiele, a potrzeba jednego – dobrą część wybrała Maria i nie zostanie jej to zabrane" (Łk 10, 41-42).

Znamienny jest zakres znaczeniowy kluczowych słów tego fragmentu Ewangelii. Zajmowanie się Marty rozmaitymi sprawami określone zostało czasownikiem *perispao*, który znaczy nie tylko niepokój, ale także odciąganie od czegoś. Pokrewny mu rzeczownik *perispasmos* oznacza rzecz, sprawę, która nas odciąga i jest przeszkodą. W odpowiedzi Jezusa pojawia się znany już z poprzedniej wypowiedzi czasownik *merimnao* oraz drugi, *thorybazē*, który mówi nie tyle o niepokoju, ile o zaalarmowaniu umysłu hałaśliwymi bodźcami (od *thorubos* pochodzą też takie słowa jak zgiełk czy hałas).

W tej ewangelicznej historii widzimy zatem przeciwstawienie dwóch postaw umysłu. Jedna – to pójście za tym, co odciąga nas od najważniejszego, rozproszenie skutkujące niespokojnym pobudzeniem wieloma bodźcami. Druga – kontemplacyjne skupienie uwagi na jednym i najważniejszym, tym, co dzieje się właśnie tutaj i teraz.

Inną stronę „starania o królestwo i jego sprawiedliwość" ujmuje przypowieść o gospodarzu, który powierzył swój majątek trzem sługom i wyjechał daleko (por. Mt 25, 14-30). Dwoje sług puściło w obieg otrzymane talenty, trzeci „poszedł i rozkopawszy ziemię, ukrył pieniądze swego pana" (Mt 25, 18), a zrobił tak, bo się bał. Jak się historia skończyła, zapewne pamiętamy: gospodarz wrócił i od dwóch pierwszych sług dostał majątek pomnożony, zaś od trzeciego – tylko to, co mu powierzył. Dwóch pierwszych pochwalił, trzeciego wyrzucił.

I znów widzimy przeciwstawienie dwóch postaw: tej, która przewiduje możliwość straty, niepowodzenia, i jest z tego powodu sparaliżowana lękiem, oraz drugiej, która koncentruje się na tym, co może być wykonane tu i teraz, angażuje się w to w pełni, nie przejmując się, czy to przyniesie pozytywne efekty, czy może spełni się ryzyko, zawsze realne, niepowodzenia i straty (zauważmy, że słudzy, którzy zainwestowali powierzone im talenty, wcale nie mieli gwarancji, że uda się im osiągnąć to, co – jak się okazało – osiągnęli).

Pokój jest tu. I teraz

Umysł ludzki zawsze będzie miał tendencję do wybiegania w przyszłość, snucia mniej lub bardziej niepokojących scenariuszy, co złego może się zdarzyć. Nie zwalczymy tej tendencji ani przez tłumienie niespokojnych myśli, ani przez próbę uzyskania pewności, że na tym zmiennym świecie, gdzie wszystko jest nietrwałe, będzie dobrze i bezpiecznie. Rada uniwersalnej mądrości (którą możemy wyczytać z Ewangelii) jest inna: zostaw wszystkie niespokojne rozproszenia samym sobie i przekieruj uwagę na wieczne Słowo, które cicho brzmi w miejscu i czasie, w którym żyjesz, i które pokazuje ci, co wartościowego możesz zrobić właśnie tutaj i właśnie teraz. Rozpoznawszy zaś, co przed tobą, zaangażuj się w pełni w robienie właśnie tego – bez przywiązania, a zatem i bez obawy o to, co za jakiś czas twoje zaangażowanie przyniesie. Nie walcz ze swoim niespokojnym umysłem, ale po prostu staraj się o jedno, o królestwo – boskie panowanie. Ono właśnie się dzieje.

©℗ PIOTR SIKORA

ZUZANNA

Radzik:
Sposoby dyskryminacji

Tuż przed tym, jak uwagę świata skupiły kapelusz Melanii podczas prezydenckiej inauguracji, pierwsze decyzje Donalda Trumpa czy salut Elona Muska, prezydent Joe Biden w ostatnim momencie podjął małą, a ważną decyzję. Na National Mall, czyli w waszyngtońskim parku, który jest właściwie patriotyczną galerią na świeżym powietrzu, ma stanąć pomnik sufrażystek. Inna rzecz, czy się to uda, skoro nowy prezydent USA zajmuje się raczej stawianiem świata na głowie. Ale po raz pierwszy jest na to szansa.To aż dziwne, że dopiero teraz, ale z reprezentowaniem kobiet na pomnikach nigdzie nie jest zbyt dobrze. Tylko 10 proc. pomników w skali USA przedstawia historyczne kobiety i tylko dziesięć pomników w całym kraju upamiętnia sufrażystki. Kobiety są więc pomnikowo niedoreprezentowane. Jeśli ten pomnik sufrażystek kiedykolwiek na National Mall stanie, będzie pierwszym przedstawiającym kobiety lub kobiecą historię. Upamiętniono wcześniej 22 mężczyzn, weteranów, skautów, a nawet pocztowców i kanały. Mimo tego działaczki latami słyszały, że na pomnik kobiet nie ma miejsca.

Wcześniej sufrażystki upamiętniono w stołecznej przestrzeni raz: po przyznaniu Amerykankom prawa głosu poprzez 19. poprawkę do konstytucji przyjętą w 1920 r. Pomnik stanął pół roku później, w obecności przedstawicielek 70 organizacji kobiecych i na koszt Krajowej Partii Kobiet w Rotundzie Kapitolu, łączącej budynek Izby Reprezentantów z Senatem. Rzeźbiarka Adelaide Johnson przedstawiła na nim matki ruchu sufrażystek w USA: Elizabeth Cady Stanton, Lucretię Mott i Susan B. Anthony, które działały w XIX wieku i nie dożyły sukcesu swojej sprawy. „Najpierw kobiecie odmawiano duszy, potem nazywano bezrozumną, teraz powstała, ogłaszając się istotą, z którą należy się liczyć" – podpisano rzeźbę. Pomnik budził kontrowersje również wśród samych działaczek kobiecych ze względu na nieoczywistą, niekompletną formę. Oprócz trzech popiersi wykutych w białym marmurze rzeźba miała nieobrobiony fragment kamienia. Johnson uparła się przy swojej artystycznej wizji, twierdząc, że to honoruje niekończącą się walkę kobiet o ich prawa i stanowi symboliczne miejsce dla kolejnych aktywistek, które będą w nią zaangażowane. Niedokończona walka o prawa kobiet została samospełniającą się przepowiednią. Następnego dnia po odsłonięciu marmurową rzeźbę zniesiono do krypty (kiedyś przeznaczonej na prochy Waszyngtona, wtedy jednak zajętej przez szczotki), gdzie spędziła kolejne kilkadziesiąt lat.

Organizacje kobiece latami walczyły o przywrócenie pomnika w należyte miejsce, od czasu do czasu uzyskując jedynie zgodę na otwarcie krypty z pomnikiem dla zwiedzających. Kongres niezmiennie odpowiadał, że rzeźba jest brzydka i ciężka. Te same argumenty padły, gdy w 1995 r. obchodzono 75 lat równościowej poprawki do konstytucji. Nie pomogły uwagi demokratycznych kongreswomen, że i pomnik Lincolna nie jest najpiękniejszy. W końcu jednak w 1997 r. udało się wydobyć matki-sufrażystki z krypty. Zapłacić jednak musieli za to prywatni darczyńcy, bo komisja zajmująca się Kapitolem, choć dysponowała budżetem ponad 20 milionów, nie była skłonna wysupłać na ten cel 75 tysięcy dolarów. Czasem ciężko uwierzyć, jak przyziemne i proste są sposoby dyskryminacji.

Warto przy okazji przedstawić autorkę pechowego pomnika. Urodzona w 1859 r. Adelaide Johnson z farmy, na której się wychowała, trafiła do szkoły artystycznej dla dziewcząt, założonej zresztą przez zwolenniczkę równouprawnienia. Potem z koleżanką założyły w Chicago dobrze prosperującą firmę dekoratorską, ale dobrą passę Adelaide przerwał wypadek: wpadła do niezabezpieczonego szybu windowego i srogo się połamała. Wygrała jednak w sądzie duże odszkodowanie, dzięki któremu wybrała się na studia artystyczne do Europy. Związana z sufrażystkami, była wegetarianką, jej o dekadę młodszy mąż przyjął jej nazwisko, ślubu udzielała im duchowna kobieta, a za druhny posłużyły popiersia Elizabeth Cady Stanton i Susan B. Anthony. Tej ostatniej stworzyła dziewięć popiersi jeszcze za jej życia. Pod koniec swoich lat znalazła się w finansowych tarapatach, ale nie chciała sprzedawać rzeźb za cenę niższą, niż uważała, że są warte. W 1939 r. w obecności prasy zniszczyła swoje rzeźby, a w 1947 r. wzięła udział w teleturnieju telewizyjnym, próbując tak wygrać pieniądze. Kłamała, zawyżając swój wiek: obeszła setne urodziny w wieku 88 lat, a umarła w 1955 r., mając 96, choć sądzono, że ma 108 lat.

Ostatecznie, choć może była ekscentryczna, Adelaide Johnson miała rację: walka o prawa kobiet jest nieskończona. A nowy prezydent USA – zresztą nie on sam – będzie nam o tym przypominał. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

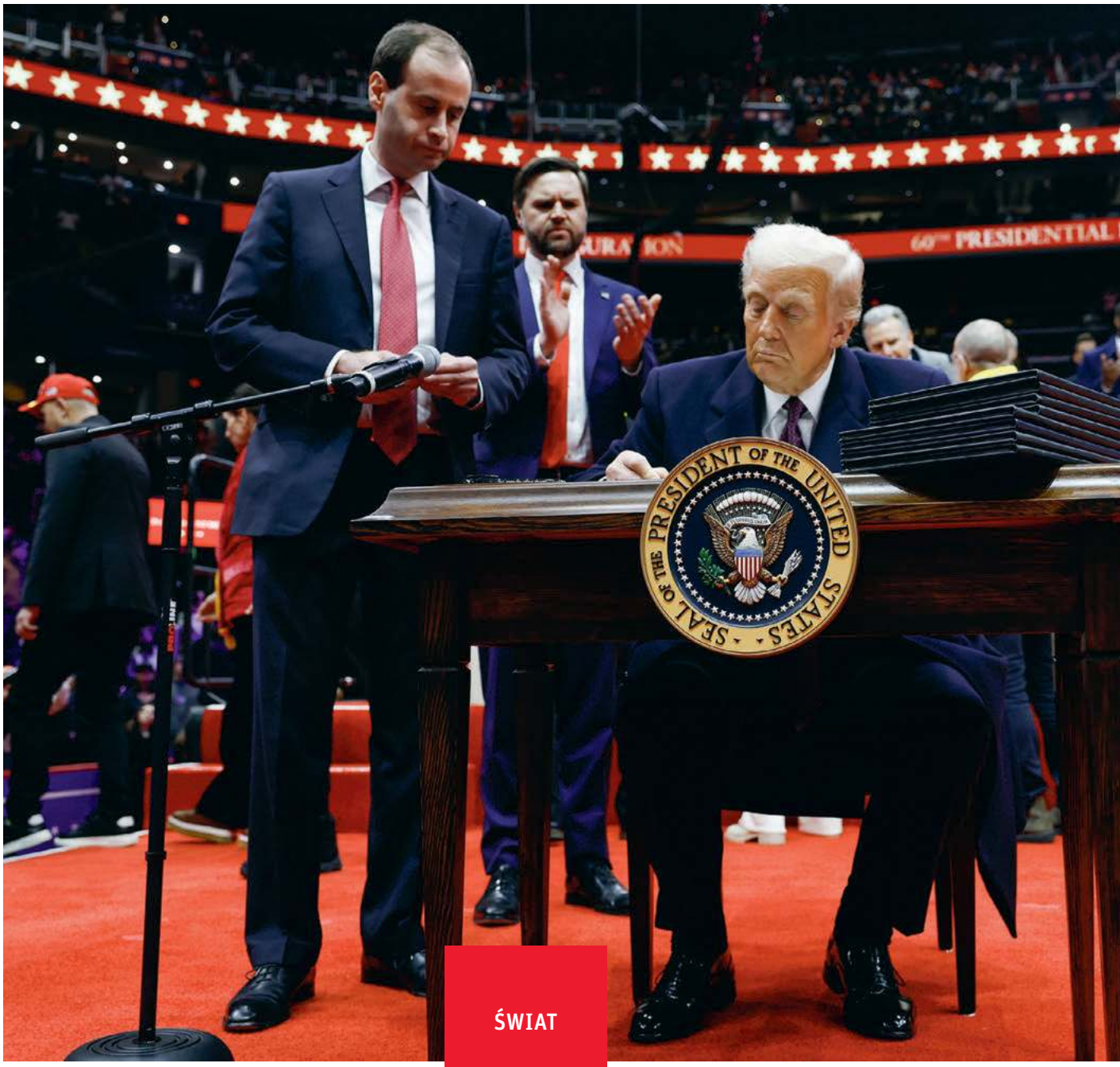

ŚWIAT

Donald Trump podpisuje rozporządzenia. Capital One Arena, Waszyngton, 20 stycznia 2025 r.

TYDZIEŃ TRUMPA

Nowy prezydent zaczął rządy od lawiny dekretów. Chce za ich pomocą szybko przemeblować Amerykę. Testuje przy tym demokrację.

MARTA ZDZIEBORSKA

ANNA MONEYMAKER / GETTY IMAGES

Poniedziałek, 20 stycznia. Donald Trump niecałe siedem godzin po przejęciu władzy siedzi przy biurku w waszyngtońskiej hali sportowej Capital One Arena. Zamaszystym ruchem podpisuje dokument anulujący 78 rozporządzeń z czasów prezydentury Joe Bidena. Gdy towarzyszący Trumpowi personel ogłasza, że zaraz dojdzie do podpisania dokumentu o wycofaniu USA z porozumienia klimatycznego, w hali robi się wyjątkowo głośno. Trump na to reaguje, twierdząc, że dzięki jego decyzji Stany Zjednoczone zaoszczędzą bilion dolarów.

Mówi to w czasie, gdy południowa Kalifornia nadal walczy z ogromnymi pożarami. Tłumu zwolenników Trumpa najwyraźniej jednak to nie interesuje. Ważne, żeby po skończonym show złapać jeden z markerów, którymi ich lider podpisywał rozporządzenia.

Lawina zmian

Donald Trump zaczął prezydenturę w efekciarskim stylu, tak jakby był na wiecu wyborczym. Nawet jego mowa inauguracyjna przypominała stylem kampanijne tyrady: znów mówił o tym, że uczyni Amerykę wielką, a pomaga mu w tym Bóg, który ocalił go w zamachu na pensylwańskim wiecu w lipcu 2024 r. Przedstawiając rządy Bidena w mrocznych barwach, Trump ogłosił, że jego powrót do Białego Domu jest „dniem wyzwolenia".

Aby tego dowieść, nowy prezydent w ciągu doby podpisał lawinę dekretów będących odzwierciedleniem jego obietnic wyborczych. Wpisując się w nurt toczonych przez amerykańską prawicę wojen kulturowych, ogłosił, że od teraz rząd federalny ma uznawać jedynie dwie płcie: żeńską i męską, oraz m.in. nakazał zakończenie programów DEI w administracji federalnej. Promują one walkę z dyskryminacją mniejszości rasowych i seksualnych. Podobne programy wygaszają także największe amerykańskie korporacje – McDonald's, Ford, Walmart czy Meta, zapewne nie chcąc się wystawiać na krytykę ze strony Republikanów i konserwatywnych klientów.

Trump w myśl swojego hasła „będziemy wiercić, kochanie" ogłosił stan wyjątkowy w sektorze energetycznym, co jest krokiem do zwiększenia wydobycia ropy i gazu. Jednym podpisem nowy prezydent otworzył furtkę do eksploatacji złóż na wodach przybrzeżnych oraz obszarach chronionych na Alasce.

Z lektury lawiny dekretów Trumpa wynika także, że wstrzymał projekty w branży energetyki wiatrowej i chce anulować wprowadzone za czasów Bidena ulgi podatkowe na zakup samochodów elektrycznych. Jeśli do tego dojdzie, okaże się, że firmy motoryzacyjne jak Ford czy General Motors na próżno próbowały wkupić się w łaski Trumpa, pompując miliony dolarów na organizację jego uroczystości inauguracyjnych.

W pierwszych godzinach rządów nowego prezydenta skorzystały za to firmy technologiczne: zgodnie z obietnicą Trump zawiesił na 75 dni zakazu działanie TikToka na terenie USA oraz powołał do życia komisję ds. efektywności rządu (DOGE). Przewodzi jej najbogatszy człowiek świata Elon Musk, wystawiając się w ten sposób na konflikt interesów. DOGE ma rekomendować cięcia wydatków i zmiany w przepisach federalnych. Dla Muska, właściciela SpaceX – firmy z branży kosmicznej – to furtka do kontrolowania tych, którzy do tej pory kontrolowali jego działania. Miliarder od tygodni brylujący w obecności Trumpa według doniesień „The New York Timesa" ma ponoć nawet dostać do swojej dyspozycji biuro w zachodnim skrzydle Białego Domu. Jeśli to prawda, choć Trump temu zaprzecza, byłby to duży przeskok. Według wcześniejszych spekulacji Musk miał dostać przydział w pobliskim Eisenhower Executive Office Building, gdzie mieści się część biur personelu Białego Domu.

Łatwiej obiecać, trudniej zrobić

Naczelne miejsce w pierwszych dniach rządów Trumpa zajęły sprawy migracyjne. Najpierw podpisał masę dekretów, a potem zaczął działać. Na mocy wprowadzonego na granicy USA-Meksyk stanu wyjątkowego wysłał tam 1,5 tys. żołnierzy przynajmniej na razie mających głównie pomagać przy budowie ogrodzenia. Pentagon w środę 22 stycznia poinformował również, że udostępni swoje samoloty do obsługi lotów deportacyjnych.

Skutki zmiany władzy w USA natychmiast odczuło około 30 tys. migrantów czekających w Meksyku na rozmowę z amerykańskimi urzędnikami imigracyjnymi. Ich spotkania w sprawie złożenia wniosku o azyl w USA odwołano, bo Trump jednym podpisem kazał zamknąć aplikację CBP One służącą do obsługi tej procedury. W innych częściach globu na pokład samolotów nie weszło z kolei ponad 10 tys. uchodźców, którzy mieli trafić do USA w ramach programu przesiedleń. Trump w pierwszych godzinach władzy go zawiesił.

Jego administracja poluzowała za to restrykcje dotyczące aresztowania nielegalnych imigrantów: według nowych wytycznych funkcjonariusze mogą teraz robić naloty nawet w kościołach ↦

↦ i szkołach. W momencie, gdy ten artykuł trafia do druku, amerykańskie miasta czekają w napięciu na start zapowiadanych przez nową administrację masowych deportacji. W pierwszej kolejności mają one objąć przestępców. Według danych służb imigracyjnych i celnych (ICE) w USA przebywa około 655 tys. osób bez amerykańskiego obywatelstwa, które zostały skazane lub mają na koncie zarzuty karne. Administracja Trumpa może też wziąć na celownik cudzoziemców, którzy pomimo wyroków deportacyjnych nadal przebywają w USA – tu mowa o około 1,4 mln ludzi. Według rządowych szacunków w Stanach jest około 11 mln nielegalnych imigrantów, choć ta liczba może być wyższa w związku z rekordowym napływem cudzoziemców na granicę z Meksykiem za rządów Bidena.

Znacznie łatwiej obiecać „największą akcję deportacyjną w historii USA", niż ją zrealizować. Gdy Trump po raz pierwszy dochodził do władzy, też zapowiadał masowe deportacje. Skończyło się na wydaleniu około 1,5 mln imigrantów w ciągu czterech lat. Według ekspertów wysiłki pierwszej administracji Trumpa spowolniły m.in. władze liberalnych miast i stanów, które nie chciały współpracować ze służbami imigracyjnymi.

Deportacje to także skomplikowane i koszmarnie drogie przedsięwzięcie. Administracja Trumpa potrzebuje zgody Kongresu, by wyasygnować miliardy dolarów na zatrudnienie dodatkowych funkcjonariuszy i budowę ośrodków deportacyjnych.

Na masowe deportacje przygotowują się już jednak nie tylko liberalne miasta, gdzie zapewne dojdzie do pokazowych aresztowań, a także Meksyk, który szykuje tymczasowe ośrodki dla swoich wyrzucanych obywateli. Na wypadek gdyby deportacje dotknęły Polaków, szef MSZ Radosław Sikorski poinformował, że resort uruchamia dodatkowe dyżury konsularne także poza budynkami konsulatów w USA. Zachęcił też rodaków do wyrabiania paszportów, jeśli ich stare straciły już ważność.

To niekonstytucyjne

W antyimigranckiej ofensywie Trump wzbudził także kontrowersje dekretem o zakończeniu przyznawania amerykańskiego obywatelstwa dzieciom, które urodziły się w USA, ale ich rodzice są nielegalnymi imigrantami. Natychmiast pozwały go za to organizacje broniące praw człowieka oraz prokuratorzy generalni z ponad 20 stanów. Kilka dni później dekret zablokował sąd federalny, uznając go za niezgodny z konstytucją, narusza bowiem 14. poprawkę.

> Trump zagroził, że jeśli Kreml nie będzie chciał usiąść do negocjacji, **to przydusi Rosję kolejnymi sankcjami.**

Trump osiągnął jednak swój cel. Może odhaczyć spełnienie obietnicy wyborczej i wpisał się w postulaty podgrzewane w Partii Republikańskiej od co najmniej 2010 r.

Donald Trump, który jedynym podpisem rozpoczął też wycofanie USA ze Światowej Organizacji Zdrowia, twierdzi, że ma szeroki mandat do przemeblowania Ameryki, bo jako pierwszy Republikanin od 20 lat wygrał wybory prezydenckie głosami bezpośrednimi. Jego niektóre działania wychodzą zresztą naprzeciw nastrojom społecznym. Według sondażu New York Times/Ipsos opublikowanego przed zaprzysiężeniem 20 stycznia, aż 71 proc. respondentów jest przeciwnych leczeniu nastolatków w celu korekty płci, co odpowiada pierwszym działaniom Trumpa wymierzonym w osoby LGBT. Z kolei ponad połowa Amerykanów popiera masowe deportacje nielegalnych imigrantów. Frustracja nie wyparowała, choć liczba nielegalnych przekroczeń na granicy z Meksykiem mocno wyhamowała, po tym jak Biden w czerwcu 2024 r. wprowadził restrykcje azylowe.

„Traktują nas bardzo źle"

Trump nie spieszy się z realizacją wszystkich obietnic. Wbrew wcześniejszym groźbom o narzuceniu 25-procentowych ceł na Meksyk i Kanadę, nie uczynił tego pierwszego dnia prezydentury, zarządzając jedynie, by agencje federalne przyjrzały się dokładnie amerykańskiej polityce handlowej. Być może nie chciał namieszać na światowych rynkach tuż po inauguracji lub zwyczajnie potrzebował zyskać na czasie, zanim kluczowi członkowie jego gabinetu zostaną zatwierdzeni przez Senat.

Gróźb jednak nie odpuścił: niedługo później oznajmił, że już 1 lutego nałoży cła na dwójkę sąsiadów, których oskarża o niewystarczające wysiłki, by powstrzymać napływ fentanylu i nielegalnych imigrantów do USA. Następnego dnia odgrażał się nałożeniem 10-procentowego cła na produkty z Chin – tu też chodzi o fentanyl. Według Trumpa Chiny robią zbyt mało, by ukrócić przemyt tego syntetycznego opioidu do Meksyku, skąd trafia on na amerykański rynek.

Podczas tego samego spotkania z reporterami prezydent pogroził również cłami na towary z Unii Europejskiej. „Traktują nas bardzo źle. Nie kupują naszych samochodów ani naszych produktów rolnych. W rzeczywistości nie biorą zbyt wiele" – perorował, rozbudzając w Europie strach przed wojną handlową. Innym razem, podczas przemówienia online na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, znów stwierdził, że UE w relacjach handlowych traktuje Stany „niesprawiedliwie". Podniósł także poprzeczkę i zasygnalizował, że chce, by państwa członkowskie NATO przeznaczały aż 5 proc. PKB na wspólną obronę. W kwestii ceł obawy rosną też w USA, bo polityka Trumpa może napędzić inflację na rodzimym rynku.

Na razie nowy prezydent wysyła wiele sprzecznych sygnałów. Z jednej strony straszy nałożeniem ceł na Kanadę, Meksyk i Chiny już od 1 lutego, a z drugiej na ocenę relacji handlowych z tymi krajami dał swoim ludziom czas do początku kwietnia.

„Zatrzymaj tę wojnę"

Z perspektywy naszej części globu ważne jest pytanie nie tylko o politykę handlową Trumpa, ale także o jego podejście do wojny w Ukrainie. Ostatnio porzucił kampanijne mydlenie oczu o zakończeniu konfliktu w 24 godziny i mówi raczej o stu dniach.

Działa przeciwko Rosji wytoczył niedługo po objęciu władzy. Najpierw stwierdził, że kontynuując wojnę na Ukrainie, Putin niszczy swój kraj. 22 stycznia na platformie Truth Social zagroził zaś, że jeśli Kreml nie będzie chciał usiąść do negocjacji, to przydusi Rosję kolejnymi sankcjami, wysokimi cłami i podatkami. „Rozstrzygnij teraz i zatrzymaj tę niedorzeczną wojnę! Będzie tylko gorzej" – groził Putinowi, jednocześnie łagodząc ton zapewnieniem, że „kocha naród rosyjski".

Jak mówi „Tygodnikowi" były ambasador USA w Ukrainie John E. Herbst, do retoryki Trumpa wobec Rosji należy podejść z ostrożnym optymizmem.

– Prezydent USA daje do zrozumienia, że nie zawaha się użyć negocjacyjnej dźwigni zarówno wobec Rosji, jak i Ukrainy, jeśli będą blokowały rozmowy pokojowe – tłumaczy. – Już po wyborach prezydenckich, jak i przed inauguracją, ludzie z otoczenia Trumpa sygnalizowali publicznie, że oczekują od obu krajów gotowości do kompromisu. Według założeń Ukraina powinna być otwarta na ustępstwa terytorialne i porzucenie wysiłków na rzecz przystąpienia do NATO przez 20 lat. Z kolei Putin powinien zaakceptować utworzenie na Ukrainie strefy zdemilitaryzowanej, którą miałyby nadzorować europejskie siły, oraz dalsze dozbrajanie Kijowa, by nie dopuścić do kolejnej agresji – mówi Herbst, zaznaczając też, że nie jest jasne, czy Trump ma tu na myśli dozbrajanie także przez Stany Zjednoczone.

Z kolei Marco Rubio – sekretarz stanu w administracji Trumpa – zapewniał w wywiadzie dla telewizji CBS, że w interesie Stanów jest nie tylko zakończenie wojny w Ukrainie, ale także utrzymanie stabilnego pokoju, by konflikt nie odrodził się za 2-4 lata. Rubio to znany z ostrego kursu wobec Chin jastrząb, który rzecz jasna stoi murem za Trumpowską polityką *America First*. Podczas senackiego przesłuchania jeszcze przed zatwierdzeniem jego nominacji twierdził, że nowa administracja nie powtórzy błędów z przeszłości, gdy „Ameryka stawiała globalny porządek ponad własne interesy". Innymi słowy, administracja Trumpa będzie angażować się tam, gdzie jej się opłaca.

Rubio jako nowy sekretarz stanu w pierwszą podróż dyplomatyczną ma pojechać do krajów Ameryki Środkowej, w tym do Panamy, której Trump wygraża przejęciem Kanału Panamskiego – strategicznego połączenia morskiego między Atlantykiem i Pacyfikiem. O odzyskaniu Kanału mówił też w mowie inauguracyjnej, nie dając odetchnąć światu po tym, jak w ostatnich tygodniach straszył także aneksją Kanady i Grenlandii. To zresztą może być strategia negocjacyjna. W przypadku Grenlandii, będącej autonomiczną częścią Królestwa Danii, może np. chodzić o zmuszenie Kopenhagi do zwiększenia inwestycji obronnych na tej arktycznej wyspie.

Seria ułaskawień

Trump testuje świat, podobnie jak amerykańską demokrację. I nie chodzi tu tylko o antyimigranckie rozporządzenia, którymi przekroczył swoje uprawnienia. Niepokój w Waszyngtonie budzi m.in. powrót do dekretu z pierwszej kadencji, ułatwiającego zwalnianie urzędników federalnych. A to może być furtką do obsadzenia wakatów lojalistami. Inny z kolei dokument, zatytułowany „Kończąc z instrumentalnym wykorzystywaniem rządu federalnego", stawia – w dużym skrócie – tezę, że administracja Bidena dopuściła się nadużyć, wszczynając śledztwa wobec swoich przeciwników politycznych. Agencje federalne, w tym Departament Sprawiedliwości, mają się teraz temu przyjrzeć i przysłać prezydentowi raport.

Wreszcie, świeżo zaprzysiężony prezydent ułaskawił ponad 1,5 tys. oskarżonych lub już skazanych za udział w ataku na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Zrobił to, choć była to *de facto* próba puczu – uniemożliwienia parlamentowi federalnemu zatwierdzenia wyborczego zwycięstwa Bidena. Trump ułaskawił także tych, którzy owego dnia dopuścili się napaści na policjantów ochraniających gmach Kongresu. To wzbudziło podwójne oburzenie, bo jeszcze przed zmianą warty w Białym Domu wiceprezydent elekt J.D. Vance zapewniał publicznie, że do tego nie dojdzie.

Trump, podobnie jak podczas poprzedniej prezydentury, będzie sprawdzał, na co może sobie pozwolić. Po drodze nie raz rozbije się o amerykańskie sądy blokujące jego najbardziej kontrowersyjne dekrety. Hamulcowymi mogą być także Republikanie w Kongresie, którzy pokazywali już, że nie będą maszynką do zatwierdzania jego wszystkich pomysłów.

Nowy prezydent zdążył jednak w pierwszych dniach pokazać siłę. A pomyśleć, że jeszcze dwa lata temu, gdy zaczynał kampanię prezydencką, postrzegany był już w szeregach partii jako polityczny balast. Trump – tym razem z wyrokiem skazującym na koncie – znów rozdaje karty. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

Tekst ukończono 24 stycznia 2025 r.

TP

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ

Tomasz Stawiszyński, Paweł Bravo i Zuzanna Radzik – to najchętniej czytani przez Państwa felietoniści „Tygodnika". W rubryce „Czytania" najchętniej sięgają Państwo do tekstów kard. Grzegorza Rysia. To wyniki ankiety z numeru 1-2/2025. Serdecznie **dziękujemy** za wszystkie głosy!

Chcemy regularnie prosić Czytelników o opinie na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania. Państwa odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik" był jeszcze lepszy.

Zapraszamy do udziału w kolejnej ankiecie. **Zeskanuj** zamieszczony obok kod lub wejdź na **powszech.net/ankieta2**

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // KAROL PACIOREK / GRAŻYNA MAKARA X2

MASSIMO FAGGIOLI (ur. 1970 r.) jest włoskim historykiem Kościoła i teologiem. Od 2008 r. mieszka w Filadelfii (USA) i wykłada na tamtejszym katolickim Uniwersytecie Villanova. Jest autorem książek o Soborze Watykańskim II, dialogu ekumenicznym i współczesnym katolicyzmie – m.in. „globalnym pontyfikacie" Franciszka czy religijnych aspektach prezydentury Joe Bidena. Jest też publicystą, stale obecnym na łamach magazynów „Commonweal", „La Croix International", „Il Regno" i „Jesus". Wielokrotnie publikował też w „Tygodniku Powszechnym".

SPÓR PRAWNY Z BP. ROBERTEM BARRONEM

W maju 2024 r. Faggioli opublikował na łamach „Commonweal" artykuł *Will Trumpism Spare Catholicism?*, w którym sugerował powiązania konserwatywnych katolickich liderów, m.in. biskupów Josepha Stricklanda i Roberta Barrona, z ruchem politycznym Donalda Trumpa, oskarżając ich o wspieranie nacjonalistycznych poglądów republikańskiego kandydata na prezydenta. Bp Barron, twórca popularnego kanału internetowego „Word on Fire", uznał te zarzuty za zniesławiające i zażądał od redakcji „Commonweal" zaprzestania dalszego rozpowszechniania artykułu. Redakcja po konsultacji z Faggiolim usunęła z tekstu sporny akapit, wyjaśniając w nocie redakcyjnej powód tej decyzji. Także i tę notę biskup uznał za zniesławiającą, żądając jej usunięcia pod groźbą dalszych kroków prawnych, których jednak – jak dotąd – nie podjął, być może z powodu medialnej burzy, jaką wywołały jego działania, uznane za próbę tłumienia krytyki dziennikarskiej i ograniczanie otwartej debaty w Kościele. ©℗ EA

Pastor Lorenzo Sewell modli się w intencji Donalda Trumpa. Waszyngton, 20 stycznia 2025 r.

Prezydent z woli Boga

MASSIMO FAGGIOLI Z FILADELFII (USA)

Polityczno-religijny rytuał, z udziałem duchowieństwa katolickiego i protestanckiego, przypominał kremlowskie ceremonie uświęcane przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną.

Zaprzysiężenie Donalda Trumpa, które zgodnie z konstytucją odbyło się 20 stycznia (w dniu upamiętniającym Martina Luthera Kinga, co było przypadkiem, ale i ironią losu), uświadomiło nam, że w złym kierunku podąża nie tylko amerykańska polityka, ale też religia, reprezentowana przez zaproszonych na uroczystość liderów wspólnot chrześcijańskich i żydowskich.

Modlitwy i pochlebstwa

Gdy kard. Timothy Dolan, arcybiskup Nowego Jorku, prosił Boga o błogosławieństwo dla „aspiracji" nowego prezydenta, nawet nie próbował sprecyzować, jakie one są i jak je należałoby ocenić z chrześcijańskiej perspektywy. Enigmatyczność jego słów była widoczna zwłaszcza w kontekście listu gratulacyjnego, przesłanego kilka godzin wcześniej przez papieża Franciszka. Modlitwa katolickiego duszpasterza mogła być apelem do sumienia, nawoływaniem do pokory czy współczucia. Nie usłyszeliśmy o tym zbyt wiele.

Pastor Franklin Graham (syn Billy'ego Grahama, najsłynniejszego kaznodziei Ameryki 2. poł. XX w.) przekonywał, że po-

wrót Donalda Trumpa do Białego Domu to dzieło „boskiej interwencji", która wyrwała prezydenta z rąk jego politycznych przeciwników. Taka politycznie stronnicza narracja dowodzi nie tylko rozkładu amerykańskiej demokracji, ale też upadku mitu „religii obywatelskiej". A słowa o „ciepłej i pełnej wdzięku" Melanii Trump, która jest inspiracją dla narodu i świata, były już jedynie efektem wybujałej wyobraźni pastora. Albo smutnym dowodem braku innych osiągnięć pierwszej damy, które można by publicznie pochwalić.

Cała zresztą ceremonia była dowodem intelektualnego i moralnego bankructwa amerykańskiego protestantyzmu ewangelikalnego, o czym mówi się i pisze od blisko 30 lat. Afroamerykański pastor Lorenzo Sewell, przywódca pozawyznaniowej wspólnoty z Detroit, autor najbardziej pochwalnej wobec prezydenta modlitwy o błogosławieństwo, już kilka godzin po inauguracyjnym show wprowadził na rynek swoją własną kryptowalutę. Trudno o bardziej dosłowny przykład, że religia w Ameryce jest dziś już tylko synonimem zepsucia i korupcji. Co akurat Donald Trump rozumie najlepiej.

Bóg z nami

Polityczno-religijny rytuał zaprzysiężenia Trumpa pokazuje też, że idea „boskiego przeznaczenia" i amerykańskiej wyjątkowości święci swój triumfalny powrót, co przyznawali zresztą sami religijni przywódcy, zaproszeni do odprawienia modłów. Problem w tym, że na ideę Boga wkraczającego w historię Stanów Zjednoczonych nakłada się dziś powracający nacjonalizm. Hasło „Bóg z nami" wciąż brzmi w naszej pamięci złowrogo.

Donald Trump przedstawia swoją reelekcję – a tym samym porażkę swych politycznych wrogów – jako dzieło samego Boga. Argument nie nowy, choć po raz pierwszy użyty przeciwko innym Amerykanom. To także oczywiste i całkowicie jawne manipulowanie religią dla celów politycznych, w typowym dla Trumpa stylu, już bez udawanej troski o amerykańską *middle class*, a w formacie skrojonym na potrzeby nowych oligarchów.

W taki oto sposób przechodzimy od chrześcijaństwa narodowego, typowego dla Ameryki, do nacjonalistycznego, w którym przywódcy religijni stają się częścią dworu. Gdy wola władcy staje się prawem, jego pałac zapełnia się fałszywymi prorokami.

Herezje i bałwochwalstwo

Jakie prorocze przesłanie może przynieść chrześcijaństwo techno-oligarchicznemu systemowi, skrytemu pod płaszczem populizmu? Wspólnoty ewangelikalne, ale także katolickie, stają się dziś „Kościołem sprywatyzowanym", dominium wielkich finansistów i oligarchów, również tych, których 20 stycznia nie było w Waszyngtonie.

Amerykańskie chrześcijaństwo, a w szczególności katolicyzm, wpada w stare heretyckie koleiny gnostycyzmu i donatyzmu. Jednak pułapką najbardziej dla niego niebezpieczną i niedostrzeganą jest bałwochwalstwo. Pochlebstwa amerykańskiego duchowieństwa, katolickiego i protestanckiego, które usłyszeliśmy podczas inauguracji prezydentury Donalda Trumpa, przypominały relacje między Kremlem a Rosyjską Cerkwią Prawosławną (z zachowaniem wszelkich proporcji i różnic).

Sekularyzacja, która dotarła także do Stanów Zjednoczonych, oznacza nie tylko śmierć wiary w Boga czy w Kościół. To także koniec wielkich idei Ameryki, ludzkości i prawdy. Donald Trump zbił na tym kapitał, a z wyborczego zwycięstwa uczynił triumf nie tyko polityczny, ale i kulturowy. Jego rozmiar i konsekwencje są na razie nieznane i niepewne. Tak dla Ameryki, jak i dla Europy i całego świata.

Choroba amerykańskiej demokracji dotyka nie tylko jej politycznego „ciała", ale i religijnej „duszy". Czy to stan terminalny? Być może. O ile dusza nie ocknie się w porę i nie pójdzie za etosem innym niż ten, który ucieleśniają Donald Trump, Elon Musk i ruch, który doprowadził ich do władzy. ©

tłumaczył Edward Augustyn

SAUL LOEB / AP / EAST NEWS

EVAN VUCCI // AP / EAST NEWS

Odwaga Mariann

Z kamienną twarzą słuchał Donald Trump słów biskupki Mariann Budde (na zdjęciu) podczas nabożeństwa w waszyngtońskiej katedrze. Duchowna Kościoła episkopalnego apelowała do nowo zaprzysiężonego prezydenta o szanowanie godności każdego człowieka i miłosierdzie dla „ludzi, którzy są dziś przerażeni" – osób LGBT+, uchodźców i imigrantów. „Dzieci homoseksualne i transpłciowe, które obawiają się dziś nawet o swoje życie, są we wszystkich rodzinach – demokratów, republikanów, polityków niezależnych" – mówiła Budde.

65-letnia biskupka, która od 14 lat rządzi stołeczną diecezją, nie po raz pierwszy stawia czoła Trumpowi. Pod koniec jego pierwszej prezydenckiej kadencji skrytykowała wykorzystywanie symboli religijnych w doraźnej polityce (sesja fotograficzna z Biblią, zorganizowana na schodach kościoła episkopalnego św. Jana – w miejscu, gdzie dzień wcześniej policja rozbiła protest Black Lives Matter). Rok później potępiła też atak jego zwolenników na Kapitol. Tym razem jej słowa spotkały się jednak z dużo gwałtowniejszą reakcją.

„Tak zwana biskupka to radykalny lewicowy hejter" – napisał Trump na platformie Truth Details. Oskarżył Budde o mieszanie się do polityki, głoszenie nudnych i „mało inspirujących kazań", żądał też przeprosin od biskupki i jej Kościoła. Podobnie wypowiadali się jego poplecznicy (którym nie przeszkadzały bałwochwalcze modły odprawiane nad prezydentem dzień wcześniej), podkreślając, że duchowna wykorzystała do ataku na prezydenta liturgię, czego dotąd żaden amerykański hierarcha nie ważył się zrobić.

Obrońcy Mariann Budde zauważają jednak, że apele o poszanowanie praw i godności każdego człowieka nie są agitacją polityczną, ale należą do istoty chrześcijańskiego kaznodziejstwa i głoszenia Ewangelii. Przypominają też inne wybitne postacie – jak abp Oskar Romero czy ks. Jerzy Popiełuszko – które zapłaciły życiem za odważne głoszenie tej prawdy, sugerując jednocześnie, że w obliczu narastającego fanatyzmu politycznego należałoby zadbać o bezpieczeństwo episkopalnej duchownej.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Obiecuję ci, córeczko, że to ostatnia taka wojna

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU I YAVNE

„Wszystko dzieje się za późno – mówi Danielle Aloni, była zakładniczka Hamasu. – To porozumienie mogło zostać podpisane znacznie wcześniej". Nasza reporterka towarzyszyła rodzinom uprowadzonych, gdy ruszyła pierwsza faza ich uwalniania.

„To jak drugi poród" – mówi matka jednej z zakładniczek, obejmując dorosłą kobietę niczym malutkie dziecko. Meirav Leshem Gonen zaledwie kilka godzin wcześniej dowiedziała się, że jej córka, 24-letnia Romi Gonen, wyjdzie z niewoli po 471 dniach przetrzymywania jej przez Hamas. Jest niedzielny wieczór, 19 stycznia.

Romi, porwana 7 października 2023 r. z festiwalu muzycznego Supernova, wychodzi jako jedna z trzech. Razem z nią są 31-letnia Doron Steinbrecher i 28-letnia Emily Damari – obie uprowadzone ze swoich domów w kibucu Kfar Aza 7 października 2023 r., gdy Hamas brutalnie natarł na izraelskie kibuce, mordując 1,2 tys. ludzi w ich domach i na festiwalu i porywając 251 osób w głąb Gazy.

Sieć i nadające na żywo izraelskie kanały informacyjne zalewa fala zdjęć ściskających się matek i córek, bo to matki jako pierwsze witają je w wojskowych punktach przyjęcia zakładników na granicy z Gazą. W kolejnych godzinach w każdym izraelskim domu wlepia się oczy w telewizor i patrzy jak kobiety, transportowane helikopterami do szpitala Sheba, śmieją się i płaczą na widok bliskich, których nie widziały przez niemal półtora roku. Tysiące ludzi gromadzą się na placu Zakładników w Tel Awiwie, od wielu miesięcy stanowiącym centrum życia rodzin osób uwięzionych. Gdy na ekranach za kobietami zamykają się drzwi białych samochodów Czerwonego Krzyża, te zaś najpierw opuszczają tłum uzbrojonych po zęby bojowników Hamasu, a potem Gazę, na placu wybucha euforia. Ludzie tulą się i płaczą – bo przez ostatni rok każdy tu poczuł się rodziną zakładników, poznawał i żył historiami porwanych. „Wróciłam do mojego życia, do moich ukochanych. Jestem najszczęśliwszą osobą na świecie. Wdzięczna mojej rodzinie i przyjaciołom" – pisze Damari krótko po uwolnieniu w mediach społecznościowych.

15 stycznia Hamas i Izrael zawarły umowę o zawieszeniu broni, przewidującą trzy fazy uwalniania izraelskich zakładników w zamian za wypuszczenie palestyńskich więźniów i zaprzestanie działań militarnych w Gazie, a także dopuszczenie tam pomocy humanitarnej. Pierwsza sześciotygodniowa faza ma rozpocząć się cztery dni później. 33 izraelskich zakładników ma zostać uwolnionych w zamian za 1,9 tys. palestyńskich więźniów przebywających w izraelskich więzieniach.

Niedziela, 19 stycznia. Euforia i niepokój

Nerwy zżerają wszystkich. O 8.30 miało wejść w życie zawieszenie broni w Gazie. Do tego momentu Hamas miał opublikować listę osób, które tego dnia zostaną wypuszczone. Z powodu „kłopotów technicznych", jak cytowały media Hamasu, nie było to możliwe. Nikt nie ma wątpliwości, że chodzi o wzbudzenie dodatkowego lęku u czekających rodzin – istotny element każdych negocjacji z Hamasem. Nieoficjalna lista pojawia się około godz. 11.00.

Chwilę później w doszczętnie zniszczonej przez izraelskie naloty Gazie milknie ogień. Izraelskie media podają, że na ulicach Gazy wybucha radość – również dlatego, że zawieszenie broni uwzględnia uwolnienie w najbliższych godzinach 90 palestyńskich więźniów – w tym wielu kobiet – w zamian za trzy izraelskie zakładniczki. Migawki w izraelskich mediach pokazują pierwsze grupy udręczonych Gazańczyków udających się z powrotem w stronę miejsc, które były wcześniej ich domami.

W Izraelu euforia miesza się z lękiem. W jakim stanie są zakładniczki? Na ile można ufać Hamasowi? Czy rząd znów czegoś nie ukrywa? Do godziny 15.00, gdy pojawiają się informacje, że kobiety ruszyły w stronę miejsca przekazania ich przez Hamas Czerwonemu Krzyżowi, nikt nie jest pewien, czy to dzień łez radości, czy smutku.

Wiele godzin później, gdy radość zamienia się w euforię, a zakładniczki okazują się poruszać o własnych siłach, Hamas wypuszcza filmik. Uśmiechnięte zakładniczki siedzą w samochodzie w drodze do domu. W ich oczach nie widać strachu przed tym, co dookoła – dziesiątkami uzbrojonych, zamaskowanych bojowników. Ci więc istnieją – bo przecież nie widać ich na co dzień w migawkach ze zrujnowanej Gazy, wśród przerażonych kobiet i zapłakanych gazańskich dzieci. Jeden z bojowników trzyma w ręku drogą, profesjonalną kamerę. W Izraelu filmik budzi lęk: jak to możliwe, że po półtora roku ciężkich walk Hamas wciąż ma się dobrze? Jak to możliwe, że wojna, która zasiała już tyle zniszczenia na Bliskim Wschodzie, nie dosięgła tych, którzy są odpowiedzialni za tragedię 7 października?

Nagranie natychmiast rozpala w Izraelu dyskusję. Jest doskonałym argumentem dla skrajnej prawicy, która przekonuje, że zawieszenie broni to zwykła kapitulacja (chwilę wcześniej z tego powodu ze stanowiska w rządzie rezygnuje Itamar Ben-Gewir, kontrowersyjny radykalny minister ds. bezpieczeństwa narodowego).

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Ale w debacie wykorzystują je też zwolennicy pokoju – twierdząc, że skoro po 15 miesiącach krwawej wojny nie udało się zmieść Hamasu z powierzchni ziemi, to dalszy rozlew krwi nic nie zmieni.

Na nagraniu pojawia się jeszcze jeden niepokojący szczegół: zakładniczki zostają obdarowane przez Hamas „prezentami pożegnalnymi": papierowymi torebkami z logo Brygad al-Kassam, jego formacji zbrojnej. Są w nich – jak potem doniosą media – mapa Gazy, „certyfikat pobytu" i zdjęcia kobiet z czasu ich pobytu w niewoli. Nie ma oficjalnych komentarzy, prezenty natychmiast rekwiruje do analizy izraelski kontrwywiad Szin Bet. Pomysł obdarowania zakładniczek budzi jednak poczucie obrzydzenia i lęku. W oczach Izraelczyków Hamas wygrywa tę rundę. Mówi: patrzymy na was. Nie jesteście bezpieczni.

Sobota, 18 stycznia. Najsmutniejsza kołysanka

Słoneczny, szabatowy poranek przerywa ostry dźwięk syren. Rozlega się w większości regionów kraju. Na niebie pojawiają się pociski rakietowe wystrzelone z terytorium Jemenu. Mieszkańcy schodzą do schronów. Mnie alarm łapie na autostradzie – wysiadamy z samochodu i kładziemy się na asfalcie w pobliżu betonowych umocnień – dobrze wiedząc, że to żadne zabezpieczenie. Pociski zostają przechwycone przez Żelazną Kopułę.

Wieczorem na placu Zakładników w centrum Tel Awiwu spotykam dwie siostry. Są ubrane na żółto – to kolor symbolizujący w Izraelu uwolnienie więźniów Hamasu.

Dror Azulai (okulary, czerwone trampki, trzyma żółtą flagę): – Ze stresu przed jutrem boli mnie brzuch. Z jednej strony mam duże oczekiwania, liczę na to, że zakładnicy, kimkolwiek będą, wyjdą żywi. Choć wiem, że w ostatnim momencie coś może pójść nie tak. W każdej chwili myślę też o tym, że to mogła być moja siostra. Że stałabym tu dzisiaj jako rodzina zakładników – mówi.

Evelyn Raviv trzyma pod pachą różowego słonika – to prezent dla Kfira Bibasa, najmłodszego zakładnika porwanego przez Hamas, który dziś obchodzi drugie urodziny. Na placu Zakładników złożono dla niego maskotki, przyniesiono symboliczny tort. Dziecko zostało uprowadzone z kibucu Nir Oz razem z mamą,

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET X3

Anat Angrest, matka Matana, młodego żołnierza porwanego z bazy wojskowej, którego nie ma na liście uwolnionych przez Hamas. Plac Zakładników, Tel Awiw, 17 stycznia 2025 r.

Siostry Evelyn Raviv i Dror Azulai, ubrane na żółto – to kolor symbolizujący w Izraelu uwolnienie więźniów Hamasu.

Sylvia Cunio, w ataku 7 października do Gazy zostali uprowadzeni jej obaj synowie – David i Ariel. Ten ostatni – z dziewczyną, Arbel Yehud. Arbel jest na liście 33 nazwisk do uwolnienia. Synów Silvii na niej nie ma.

4-letnim bratem i ojcem, gdy miało zaledwie 9 miesięcy.

Evelyn, która dobrze znała rodzinę Bibasów, miała szczęście: tydzień przed masakrą zorganizowaną przez Hamas opuściła kibuc Nir Oz wraz z córką. Spędziła tam 14 lat swojego życia.

– Pracowałam w kibucowym zespole ds. reagowania kryzysowego. Widziałam, że patrole wojska są rzadkie, wydawało mi się wręcz, że niewystarczające. Przyszło mi do głowy, że może dojść do tragedii. Próbowałam to zgłosić wyżej, ale odniosłam wrażenie, że nie mam z kim rozmawiać. Wojsko uspokajało: wszystko jest pod kontrolą, mamy was na oku, nie martw się. I na tym rozmowa się kończyła. Mimo tego z początkiem października postanowiłam się wyprowadzić.

7 października wciąż pracowała w zespole ds. reagowania kryzysowego, choć już z innego kibucu.

– Mieliśmy dzwonić do ludzi i pytać, gdzie się znajdują, żeby zrozumieć obraz sytuacji. Kontaktowałam się z ludźmi w Nir Oz i przekazywałam informacje wyżej. Szybko zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Dzwoniłam do szefów, ale przekonywali mnie, że przesadzam, i że wojsko jest w drodze. Ostatecznie o Nir Oz zapomniano. Wojsko przybyło tam na końcu, po południu, chwilę po tym, jak z kibucu wyszli ostatni terroryści – opowiada ze łzami w oczach. – Do tej pory nie wiem do końca, co tam się dokładnie wydarzyło. Do dziś nie umiem sobie z tym poradzić.

Obie kobiety mówią o braku zaufania do rządu i armii. Wierzą w to, że 7 października można było postąpić inaczej. Szybciej zareagować. Uratować więcej ludzi. Uratować wszystkich.

Kiedy rozmawiamy, na fortepianie ustawionym pośrodku placu Zakładników ktoś gra najsmutniejszą kołysankę Izraela. Piosenkę, wykonywaną pierwotnie przez Yehorama Gaona, napisano w 1973 r. podczas wojny Jom Kippur. „Obiecuję ci, moja mała dziewczynko, że to już ostatnia taka wojna" – śpiewa ojciec córce.

Piątek, 17 stycznia. Dość tej wojny

Izraelskie media publikują listę nazwisk 33 osób, których uwolnienie w pierwszej fazie zawieszenia broni uzgodniono z Hamasem. W Gazie wciąż przebywa 91 izraelskich zakładników. Armia przewiduje, ↦

↦ że 34 osoby już nie żyją, ale nie podaje żadnych nazwisk.

Wśród rodzin na placu Zakładników panuje poruszenie. Nie ma pewności, kto z tej listy jest żywy. Nikt nie wie też, na ile faktycznie można ufać ustaleniom rządu z Hamasem.

Daniel Lifshitz (jego ponad 80-letni dziadek Oded, ostatni z zakładników w Gazie z izraelsko-polskim obywatelstwem, jest na liście do uwolnienia): – O stanie mojego dziadka nie wiem nic od listopada 2023 r. [to wtedy została uwolniona pierwsza grupa zakładników, którzy relacjonowali później stan pozostałych – przyp. KPA]. Mój żołądek skręca się z niepewności. Tak naprawdę nie mogę się na powrót dziadka przygotować. Bo niby na co? Na festiwal radości czy raczej na pogrzeb? Ale to pierwszy raz, gdy czuję, że jesteśmy bliscy jakiegoś rozwiązania, że sprawy idą do przodu.

HAMAS MEDIA OFFICE / AFP / EAST NEWS

Kadr z materiału wideo opublikowanego przez Hamas 19 stycznia 2025 r. pokazujący izraelskie zakładniczki Emily Damari i Romi Gonen, które zostały porwane przez palestyńskich bojowników podczas ataków 7 października 2023 r.

Daniel liczy na międzynarodowe wsparcie. – Na potępienie działań Hamasu jako organizacji terrorystycznej, nie tylko wobec zakładników, ale też wobec swoich własnych obywateli. Apeluję o pomoc humanitarną, zarówno dla dziadka, dla naszych zakładników, jak i dla Gazańczyków. Musimy mieć pewność, że pomoc humanitarna faktycznie dociera do nich, nie do Hamasu, który przechwytuje te pieniądze, budując swoją militarną siłę – mówi Daniel.

Anat Angrest (matka Matana, młodego żołnierza porwanego z bazy wojskowej; nie ma go na liście do uwolnienia): – Prawica żąda kontynuacji walk w Gazie, nie chcą porozumienia. My, rodziny zakładników, bardzo boimy się tych skrajnych sił politycznych, które wpływają na decyzje premiera – mówi do mikrofonów dziennikarzy z całego świata, którzy tłumnie zgromadzili się na placu Zakładników. – Jesteśmy tutaj, aby premierowi powiedzieć, że ma wsparcie rodzin uprowadzonych i bezwzględnej większości obywateli Izraela, aby kontynuować działania na rzecz zawieszenia broni i umowy z Hamasem, nadal ratować życie, a nie słuchać głosów ekstremistów. Obywatele kraju chcą widzieć zakładników żywych, a nie martwych. Dość pogrzebów, dość ofiar! Dość tej wojny!

W miejscowości Yavne, pół godziny od Tel Awiwu, spotykam kobietę, której historię śledzę od dwóch lat. W maju 2023 r. spotkałam ją w kibucu Nir Oz, a zapoznał nas Alex Dancyg. 7 października ten polsko-izraelski historyk Zagłady i kibucnik został porwany, a latem 2024 r. rodzina potwierdziła jego śmierć w Gazie.

Silvia, przed atakiem pracownica kibucowej pralni, tak odpowiadała mi wówczas na pytanie o poczucie bezpieczeństwa w kibucu: „Przywykliśmy już do tego strachu. Czasem się boimy, ale jak mogłabym stąd wyjechać? Mam czworo dzieci i siedmioro wnuków, wszyscy tu mieszkają. Kiedyś podczas ostrzału z Gazy, gdy podjechały po nas autobusy ewakuacyjne, pojechałam razem z wnukami, i wróciłam chwilę później. Nie mogłam żyć bez mojego domu. I teraz już nie wyjeżdżam, mimo że al-Kassam uderzył raz w dom mojego syna, na szczęście wtedy pusty. Więc to nie jest tak, że jesteśmy tu absolutnie bezpieczni. Ale tak się czujemy”.

Zapytałam ją wtedy również o stosunek do zwykłych Gazańczyków, mieszkających o kilometr dalej. Zgadzała się z lewicową linią kibucu, w którym wierzono w potencjalny przyszły pokój. Mówiła: „Biedacy. Bo przecież co taki zwykły człowiek zawinił? Jasne, wiem, tam są też terroryści. Ale przecież większość z nas wszystkich chce tu żyć w spokoju”.

W ataku 7 października do Gazy zostali uprowadzeni jej obaj synowie – David i Ariel. Ten ostatni – z dziewczyną, Arbel Yehud. Arbel jest na liście 33 nazwisk do uwolnienia. Synów Silvii na niej nie ma.

– My, rodziny zakładników, nie mamy stałego kontaktu z rządem – mówi kobieta. – Nikt nas na bieżąco nie informuje o tym, co się dzieje. Podczas poprzedniego uwolnienia zakładników, w listopadzie 2023 r., rodziny dowiadywały się o sytuacji zaledwie kilka godzin wcześniej. Nie wiemy, co będzie dalej. Jedna wielka niepewność.

Do kibucu Silvia nie wróci. – Po co mam być w miejscu, w którym dzieci nie będą mnie odwiedzać? Nie mam tam czego szukać. Z drugiej strony, to zawsze będzie mój dom. Co by się nie stało, nigdy go do końca nie zostawię.

■■■

Danielle Aloni (była zakładniczka, wraz z córką Emilią więziona w Gazie przez 7 tygodni, wróciła do domu w listopadzie 2023 r.) zwraca uwagę na to, jak harmonogram uwalniania zakładników zależy od politycznego interesu tych, którzy mają tu coś do ugrania: – To wszystko dzieje się za późno. To porozumienie mogło zostać podpisane znacznie wcześniej. Trzeba było włożyć więcej politycznego wysiłku, przecież tam są kobiety, dzieci, osoby starsze. Mają mało czasu. Nie mam wątpliwości, że powrót Trumpa jako prezydenta dał poważny impuls do podpisania i wprowadzenia w życie tego porozumienia. Cokolwiek by się nie działo za kulisami, mam nadzieję, że to, co dobre, rozpocznie się w niedzielę.

W tym samym czasie na placu Zakładników przedstawiciel organizacji rodzin uprowadzonych oświadcza: „Nasza praca się nie kończy: nie spoczniemy, dopóki do domów nie wrócą wszyscy zakładnicy. Ci żywi i ci martwi”.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Paryż we mgle

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Zaczyna się era Trumpa, a Francja tkwi po uszy we własnych problemach. Apele o dymisję Macrona dały się ostatnio słyszeć nawet ze strony umiarkowanej prawicy, współtworzącej rząd.

LUDOVIC MARIN / REUTERS / FORUM

Prezydent Francji Emmanuel Macron i premier Francji François Bayrou. Paryż, Francja, 7 stycznia 2025 r.

W 5 lat odbudował Notre-Dame, w pół roku zniszczył francuską demokrację" – tak o Emmanuelu Macronie pisał ostatnio francuski tygodnik satyryczny „Le Canard enchaîné". To dowcip, ale bardzo symptomatyczny dla nastrojów nad Sekwaną.

Druga część powyższego cytatu jest aluzją do decyzji francuskiego prezydenta z czerwca ubiegłego roku, gdy Macron rozwiązał parlament i zarządził przedterminowe wybory. Dało to początek politycznej niestabilności, trwającej do dzisiaj.

Czarna passa

Ostatnie miesiące to we Francji fatalna seria polityczna: cztery rządy w ciągu roku, obalenie gabinetu Michela Barniera w wyniku wotum nieufności, brak uchwalonego budżetu na rok 2025 (na razie przyjęto prowizorium budżetowe), rosnące wpływy nacjonalistycznego Zjednoczenia Narodowego (RN) Marine Le Pen. Niektórzy, jak znany politolog z paryskiego Sciences Po (Instytutu Nauk Politycznych) Pascal Perrineau na łamach „Le Figaro", twierdzą, że tak trudnej sytuacji politycznej V Republika nie znała od swoich początków, czyli od 1958 roku.

Do tego dodać należy rekordowo wysoki dług publiczny Francji, około 112 proc. PKB, oraz zapowiadany wyraźny wzrost bezrobocia – z 7,4 proc. w trzecim kwartale 2024 r. do 8 proc. pod koniec tego roku. Jest on efektem planowanych masowych zwolnień w wielu sektorach (np. w przemyśle, super- i hipermarketach, bankach). Jak szacuje związek zawodowy CGT, pracę może stracić ponad 150 tys. osób.

Francja weszła w permanentny kryzys i za ten stan rzeczy Francuzi obwiniają przede wszystkim Macrona, rządzącego krajem od prawie ośmiu lat. Notowania 47-letniego szefa państwa, polityka centrum, spadają od wielu miesięcy. Według ośrodka Ipsos na początku stycznia popierało go tylko 21 proc. ankietowanych. Równie niskie oceny miał tylko za swojej pierwszej kadencji, w latach 2018-19, czyli podczas antyrządowych protestów tzw. żółtych kamizelek.

Przyczyn złych sondaży można szukać w egocentrycznej osobowości Macrona, jego słabym rozumieniu problemów zwykłych ludzi i aroganckich wypowiedziach. A także – w licznych woltach politycznych: we Francji mówi się o Macronie jako o „kameleonie", gdyż zależnie od okoliczności potrafił już być socjalistą, lewicowym liberałem, a teraz skręcił w stronę konserwatywnej prawicy. Chciał podobać się wszystkim, a w efekcie – nie podoba się dziś (prawie) nikomu.

Problemem Francji jest sam system polityczny, zwany często „monarchią republikańską" – z ogromnymi prerogatywami prezydenta (łącznie z władzą nad guzikiem atomowym), pozbawionego prawie kontroli parlamentu i obywateli. Politolodzy są zgodni, że bez reformy tego archaicznego systemu Francji trudno będzie odzyskać wewnętrzną równowagę.

Mélenchon: „Spadaj, Macronie!"

Największa w parlamencie siła lewicy, radykalna Francja Nieujarzmiona (LFI), pod wodzą Jean-Luca Mélenchona, od wielu miesięcy wzywa prezydenta do dymisji. Na ulicach francuskich miast wiszą dziś plakaty LFI ze sloganem: „Spadaj, Macronie!". Mélenchon gra najwyraźniej na przyspieszone wybory prezydenckie – zgodnie z kalendarzem mają się one odbyć w 2027 r. Dla 73-letniego dziś Mélenchona, który już dwa razy (w 2017 i 2022 r.) był bliski dostania się do drugiej tury, będzie to raczej ostatnia szansa na walkę o Pałac Elizejski. Pośpiech jest więc zrozumiały.

Apele o dymisję Macrona dały się zresztą ostatnio słyszeć także ze strony umiarkowanej prawicy, współtworzącej rząd.

Sam Macron powtarza, że nie ustąpi z urzędu, zaś Konstytucja V Republiki przewiduje pozbawienie prezydenta funkcji tylko w sytuacji, gdy ten „w sposób jawnie rażący" uchybi swoim obowiązkom, np. łamiąc ustawę zasadniczą. W dodatku rezolucję o odwołaniu prezydenta musiałyby przegłosować jednocześnie Zgromadzenie Narodowe i Senat – w obu przypadkach większością dwóch trzecich głosów. A to wydaje się prawie niemożliwe przy obecnym układzie politycznym.

Ponadto, zdaniem Pascala Perrineau, dymisja Macrona i przyspieszone wybory prezydenckie mogłyby tylko pogłębić chaos. Największe szanse ↦

↦ na prezydenturę miałaby w obecnej sytuacji szefowa Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen, która nadal marzy o demontażu Unii Europejskiej, bliska prorosyjskiemu Viktorowi Orbánowi.

Czy – i jakie? – jest wyjście z tego impasu? Nie wiadomo. Przeważa opinia, że Francję czekają kolejne przedterminowe wybory parlamentarne latem lub jesienią tego roku.

Jeśli zwyciężyłby RN, to doszłoby zapewne do kohabitacji prezydenta Macrona z nacjonalistyczną prawicą. Może dałoby się zachować ciągłość polityki zagranicznej i obronnej Francji, czyli konstytucyjnie zastrzeżonych domen prezydenta. Przy założeniu, że nacjonalistyczne i demagogiczne ugrupowanie Marine Le Pen nie blokowałoby wszelkimi środkami polityki Macrona. A to nic pewnego.

Kiepski start premiera

Na razie Francuzi obserwują karuzelę zmieniających się co kilka miesięcy premierów. Od połowy grudnia na czele rządu stoi 73-letni François Bayrou, weteran francuskiej polityki, z zawodu nauczyciel, w latach 90. XX w. wieloletni minister edukacji, czarny koń wyborów prezydenckich w 2007 r. Bayrou jest szefem centrowej partii Modem (Ruch Demokratyczny), sprzymierzonej z obozem prezydenckim.

Start nowego premiera był nieudany: powszechnie skrytykowano go za spóźnioną reakcję na gwałtowny cyklon, który spustoszył francuski departament zamorski Majotta (wyspa między Madagaskarem a wybrzeżem Afryki Wschodniej) i zabił co najmniej 39 osób. Bayrou udał się tam z wizytą dwa tygodnie po tragedii (znacznie wyprzedził go Macron), a wcześniej strzelił gafę, sugerując, że wyspa nie wchodzi w skład Francji.

Nowemu szefowi rządu co prawda blisko w poglądach do prezydenta, ale znany jest z niezależnej i wyrazistej postawy. Już zresztą w swoim parlamentarnym exposé Bayrou skrytykował kolejnych francuskich prezydentów – od Mitterranda aż do Macrona właśnie – za doprowadzenie do kolosalnego długu publicznego i lekkomyślne podejście do deficytu budżetowego. Akurat w dziedzinie finansów publicznych premier ma pewną wiarygodność, bo, w odróżnieniu od innych francuskich polityków, ostrzega przed rosnącym długiem od wielu lat.

Nowy premier François Bayrou tańczy na cienkiej linii między sprzecznymi żądaniami ze strony lewicy i centroprawicy. **Nie ma żadnej gwarancji, że te akrobacje uchronią jego rząd przed upadkiem.**

Linoskoczek Bayrou

Pytanie, czy za tą słuszną diagnozą pójdą działania, bo nowy rząd nie ma większości w parlamencie.

Bayrou próbuje uczyć się na błędach centroprawicowego rządu Michela Barniera, który upadł zaledwie po trzech miesiącach – właśnie z powodu programu radykalnych (jak na Francję, szczodrą wciąż pod względem socjalnym) oszczędności. Przeciw tym cięciom w projekcie budżetu głosowali wspólnie: sojusz bloku lewicy (w tym LFI, socjalistów, ekologów i komunistów) i lepeniści.

Nowy szef rządu pragnie uniknąć powtórki tego scenariusza. Nie chce być na łasce partii Le Pen, która najpierw trzymała Barniera w szachu, a potem go porzuciła. Dlatego porozumiał się z Partią Socjalistyczną (PS), aby ta – wbrew jej sojusznikom z LFI – nie głosowała za lewicowym wotum nieufności wobec rządu. W zamian za to obiecał jej szereg ustępstw, w tym otwarcie negocjacji ze związkami zawodowymi w sprawie „poprawienia" bardzo kontrowersyjnej reformy emerytalnej Macrona z 2023 r. Swego czasu zapalna reforma podwyższająca wiek emerytalny z 62 do 64 lat wyprowadziła na ulice setki tysięcy protestujących.

Zapowiedź kolejnego „majstrowania" przy emeryturach wywołała od razu sprzeciw ze strony prezydenckiego centrum oraz konserwatywnych Republikanów, czyli dwóch głównych sił tworzących rząd.

W sprawie emerytur Bayrou tańczy na cienkiej linii – między sprzecznymi żądaniami ze strony lewicy i centroprawicy. I nie ma żadnej gwarancji, że te akrobacje uchronią jego rząd przed upadkiem. Być może – już w najbliższych tygodniach, przy okazji nowego głosowania nad budżetem państwa.

Trump, Francja i prawo pięści

Jak mówi „Tygodnikowi" Sébastien Maillard, ekspert europejskiego think tanku Institut Jacques Delors, niestabilność Francji jest szczególnie groźna dla całej Europy, bo zbiega się z ostrym kryzysem w Niemczech. O ile jednak w Berlinie sytuacja zapewne wkrótce się wyklaruje (po lutowych wyborach władzę przejmie prawdopodobnie Friedrich Merz z CDU), Paryż może jeszcze długo błądzić we mgle.

– W tej chwili tak RN, jak i LFI mają pokusę, żeby obalać rząd po rządzie, bo niczym właściwie nie ryzykują. Wiedzą, że do lipca nie można, zgodnie z francuską Konstytucją, rozpisać nowych przedterminowych wyborów – wyjaśnia Maillard.

Pogrążona w tarapatach Francja z niepokojem przyjęła inaugurację Donalda Trumpa. Z bardzo nielicznymi wyjątkami francuskich trumpistów – bo na ceremonię w Waszyngtonie zaproszono mało dziś się liczącego ultrakonserwatystę, byłego publicystę Érica Zemmoura.

Przeciętnego Francuza rażą błazeńskie i wulgarne zachowania Trumpa, pogarda wobec kobiet, nienawistne wypowiedzi. Nawet szef radykalnie prawicowej RN, Jordan Bardella, w dniu inauguracji dystansował się od Trumpa: mówił wprawdzie, że „docenia jego patriotyzm", ale dodał, że Francja musi bronić interesów ekonomicznych także przed Amerykanami i że „nie może stać się wasalem USA".

Prezydent Macron nie odniósł się wprost do waszyngtońskiej inauguracji, ale wcześniej, zaraz po triumfie Trumpa, wzywał Europę, by budowała samodzielną siłę obronną. W Paryżu widać lęk – pisze o tym m.in. „Le Parisien" – że prezydent USA spełni groźbę podniesienia ceł na europejskie produkty, co uderzy mocno we francuskich eksporterów win, serów i towarów luksusowych.

Jeszcze jeden znak czasu – to zmiana gładkiego dotąd języka dyplomatów. Pytany o inaugurację Trumpa szef francuskiego MSZ Jean-Noël Barrot powtarzał w mediach zdanie: „na świecie wraca prawo silniejszego". Mówiąc jeszcze mniej dyplomatycznie: prawo pięści.

© SZYMON ŁUCYK

ELIZA

Kącka: *Świat jest niewyspany*

Autobus 503, jazda ku Śródmieściu. Dosiadam się do dwóch kiele siedemdziesiątki. „Widziała pani amerykańskiego prezydenta?”. „Jak? Gdzie?!”. „Noż w telewizji”. „Aaa, widziałam”. „Jak Napoleon!”. „Z mężem mówiliśmy: oby wrócił”. „Ba! Ja się modliłam do Matki Częstochowskiej: daj nam obrońcę. I patrzę – Donald wygrał”. „Wymodlony. Z mężem przestaliśmy się bać, że nas rząd sprzeda Putinowi”. „Donald ocali Polskę. U siebie od razu skończył z propagandą”. „Tak”. „Załatwi węgiel i Ukraińców, zobaczy pani”. „Mąż stanu”. „Zaraz wysiadam, to dopowiem: katolik tak nie powinien, ale lubię wygląd”. „Aha”. „Lubię, chociaż się spowiadam”. „Rozumiem”. „W modlitwie mi pomaga, jak Jezus jest przystojny”. „Rozumiem”. „I dla mnie ważne, że on ma piękną twarz. Myślącą”. „Jezus?”. „Donald”. „Ba! Z mężem mówimy, że to głowa inteligenta”. „Wodza, pani Alu, wodza”.

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, żyje pani?”. „Zdaje się, że tak”. „Zdaje się, no dobrze. Słyszałam pani głos”. „Aha, a gdzie?”. „We śnie. Chyba. Dużo śpię ostatnio”. „Nic dziwnego, zima udaje listopad”. „Być może. W każdym razie głos pani gadał do mnie bardzo wyraźnie”. „Haha, wyręczył mnie”. „Żeby pani wiedziała. Bo pani ze mną nie chciała gadać”. „O! Jak to? Dlaczego?”. „Mnie się pani pyta?”. „Chwilka: głos nie był mną?”. „No nie. Ale nieźle nadawał. Zatrajkotał mi cały sen. Nareszcie się pani wygadała. O ile to pani coś dało, bo on jednak poczynał sobie osobno”. „Dziwna sprawa”. „Obudziłam się, napiłam się wody. Poszłam w drzemkę i w kolejnym śnie zobaczyłam, że siedzi pani u mnie, na podłodze, twarzą do ściany. Bez głosu. On panią opuścił”. „Hm”. „Raz już miałam taki sen, takie sny, o mojej matce, tuż po jej śmierci”. „Aha”. „Najpierw przyszedł do mnie głos mamy. Ciepły, żywy, ale oderwany od niej. A potem ją zobaczyłam, jak czołem opiera się o ścianę. Nie chciała się odwrócić”. „Może i dobrze”. „Tak, dobrze”.

Tramwaj 16, jazda na Wilanów. Obok mnie para w kurtkach sportowych i włóczkowych czapkach. Ona: „Dziś Dzień Dziadka”. On: „Musiałaś mi przypominać?”. „Może byś wnuków zaprosił? Na jakąś pizzę? Na ciastka?”. „Ej, a może oni by mnie zaprosili?”. „Po co?”. „Po nic. Ciągle ich gdzieś zabieram. Wiesz co, ja sobie dzisiaj zrobię bal”. „Ty?”. „No co, powiedziałaś, że Dzień Dziadka”. „No tak”. „No to mój. Obejrzę stary film, kupię wino i będę pijany”. „Michał!”. „No co, raz w roku trzeba mieć swój dzień”. „Michał! To jest dzień dla naszych dzieci, wnuków! Udajesz, że nie rozumiesz”. „Rozumiem. W Dzień Wnuczka wrzucę im przez lufcik pizzę i będę udawał, że nie jestem dziadkiem”. „Michał!!!”.

Fejsbukowy folder „inne” poucza: „Szanowna Pani (jeśli płeć nie uraża), postanowiłem zgłosić po krótce refleksję. Myśl tę podniosłem już rok temu, lecz nadal pozostaję pod jej wrażeniem. Postanowiłem ją Pani zgłosić chodź nie zostanę zrozumiany i nie powstrzymam przed panoszeniem. Dzisiejszy moment dziejowy obfituje w »intelektualistów« takich jak Pani. Codziennie tramwaj natyka mnie na bezczelną twarz. Brak subtelności to już norma która, mnie obraża. Moja Matka była kobietą delikatną. Wychowała mnie bez kwestii płci. I dobrze wyszedłem. Tego się nie dywagowało! Czy mądra matka ma płeć? Nie! Służy dziecku. A wy to rozcząsacie. Rok temu zrozumiałem, że tak zdobywacie pozycję. Stąd się tylu »intelektualistów« naroiło. Nie wiedzą, nie skromnością. Wystarczy że taka jedna z drugą zacznie się grzebać w płci i ogłosi, że nie poczuwa się kobietą a już, dostaje się do medium. Kiedyś trzeba było odbyć trudne studia co panią minęło. Mężczyzna przez lata się uczył by podjąć głos. Gdzie Pani widzi wśród mądrych polityków jakieś dywagacje co do płci? Czy ktoś ma jakieś »preferencje«? To ojcowie rodzin albo osoby samotne z powołania. Żyją krajem. Nikt nie wydziwia. A w Pani kręgach tylko wydziwianie. Nie ma raptem zwykłych ludzi tylko »osoby«. Na co komu »osoby«? Normalnym ludziom na nic. Ale wy musicie mieć sukces szybko. Siedzi taka »osoba« Kącka i myśli: jaką mam płeć? Bo wszystkich to obchodzi! Ile jest tych płci? A ja Pani powiem że jak by Pani przyłożyła się do pracy i dziecka, to by Pani nie zadawała takich pytań. Ale Kącka musi mieć łatwy sukces. Niech ogłosi że jest płeć kącka! I od razu będzie w sejmie. Nieważne że rodziny nie stworzy ale swoje dostanie. Pozdrawiam”.

Łazienki, wieczór, błądzę sobie. Siadam na ławce. Chłodno, ale niemroźno, można poczytać. Na sąsiedniej kobieta w moim wieku. „Nie za ciemno pani?”. „Nie, daję radę”. Milczymy. Ona: „Jakoś tak nie wiem, nie mam poczucia, by tamten rok się skończył”. „Aha”. „Sylwestra przespałam, po raz pierwszy od lat”. „To akurat nie najgorsze”. „No nie. Ale martwi mnie, wie pani, ten brak energii...”. „Początku?”. „Tak. Że nic się nie zaczęło, nie odnowiło. I głowa myśli coraz wolniej”. „Jest w tym coś”. „Ja dziś mojemu powiedziałam, że muszę się wyspać, odespać. Ale przecież śpię”. „Może to nie to”. „Może. Przydałoby się światło”. „Słońce w głowie”. „A może to świat jest niewyspany? Mój Tomek się śmiał, jak to powiedziałam. Że nie ma czegoś takiego. Ale tak zaczęłam myśleć”. „Ano, bezsenność. A my jak w brzuchu dryfującej wielkiej ryby. Pamięta pani Pinokia?”. „Tak!”. a„Nasza ryba przysypia. Ale strach rozniecać ogień w brzuchu”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.

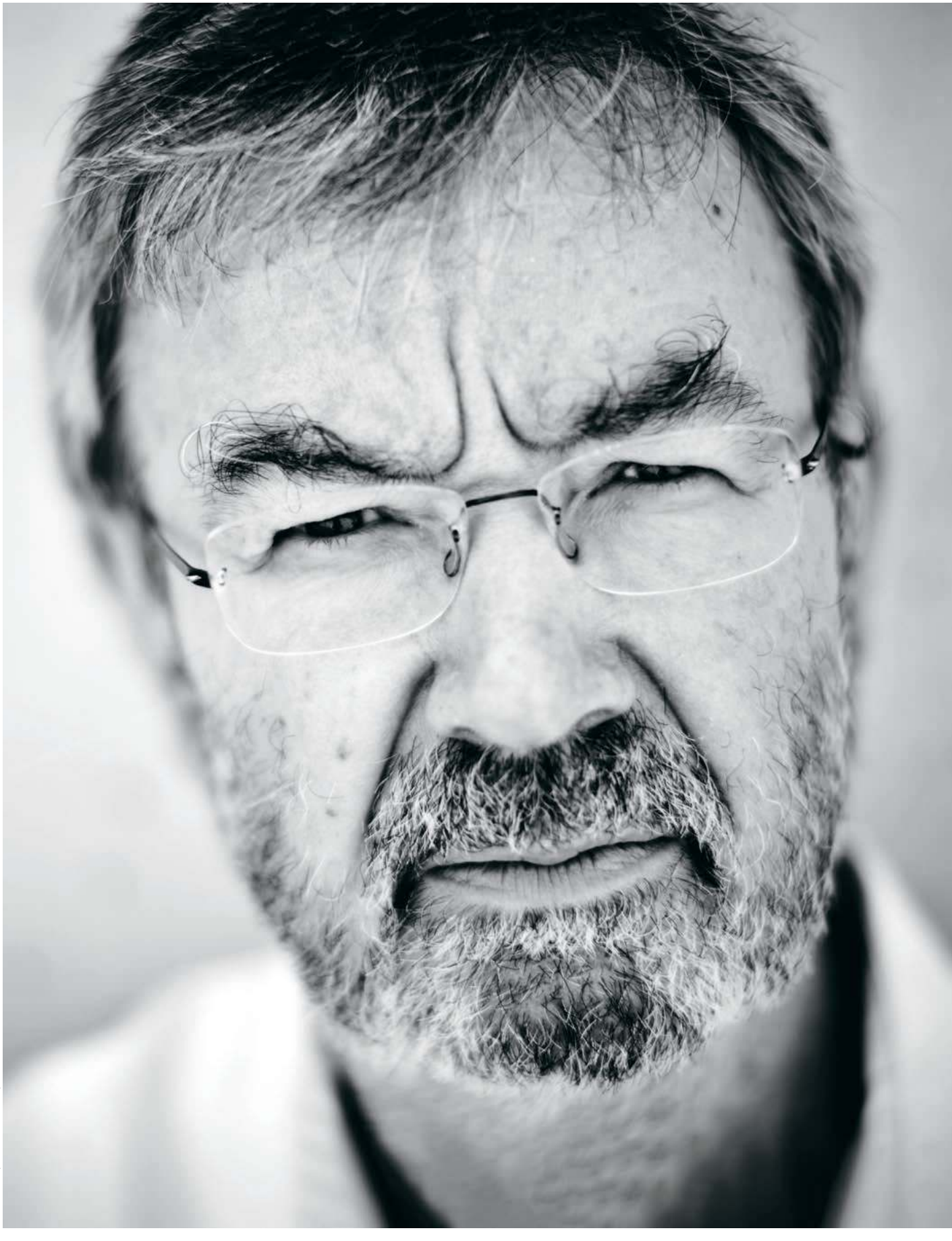

FILIP ĆWIK / NAPO IMAGES / FORUM

PORTRET

NIE WOLNO NIE PYTAĆ

„Badanie historii – własnej, ale także cudzej, bez żadnych uprzedzeń jest najważniejszym warunkiem zrozumienia samego siebie, znalezienia własnej tożsamości – i spotkania się z Innym na równym poziomie. Bez historii nie da się tego zrobić" – twierdził Martin Pollack.

WOJCIECH BONOWICZ

Po co grzebać w przeszłości? Po to, żeby nie powtarzać jej błędów. Żeby przywrócić imiona tym, którzy zginęli bezimiennie. I jeszcze – żeby w sobie samym odkrywać zalążki ewentualnego przyszłego zła. Bo historia dowodzi, że ludzie mili, przyzwoici, cieszący się życiem mogą robić rzeczy potworne lub przynajmniej je akceptować. A także – że mogą z tego, co przeżyli i w czym uczestniczyli, niczego się nie nauczyć.

Tylko Wam się wydaje, że już słyszeliście te mądrości i że są daremne. One stają się dotkliwie prawdziwe, kiedy opowiada je Martin Pollack. Co uderza przede wszystkim, kiedy czyta się jego książki, to ich spokojny ton. A także połączenie dwóch elementów, które zazwyczaj połączyć jest bardzo trudno: zdecydowanego osądu i przekonania, że w każdym człowieku jest coś, co można „obronić". Tam, gdzie trzeba nazwać zło po imieniu, Pollack nigdy nie cieniuje, nie relatywizuje. „Mój dziadek był nazistą", pisze. „Mój biologiczny ojciec był zbrodniarzem wojennym". A zarazem cierpliwie szuka odpowiedzi na pytanie: jak to było możliwe? Dlaczego stali się tym, kim się stali? Czy gdyby mieszkali w innym miejscu, byli wychowywali w innym duchu, mieli innych nauczycieli – postępowaliby inaczej? Są procesy, wobec których pojedynczy człowiek wydaje się bezsilny. Ale – podkreśla Pollack – zawsze ma wybór. I za swoje wybory jest odpowiedzialny.

Martin Pollack. Warszawa, maj 2009 r.

Dobra szkoła

Przyszedł na świat w maju 1944 roku – w szczególnych okolicznościach. Jego matka, Hilde Pollack, porzuciła dotychczasowego męża i dwoje dzieci i związała się z oficerem SS, Gerhardem Bastem. To właśnie on został ojcem Martina. Jednostka Basta działała wtedy na Słowacji i w Polsce, więc ojciec widział maleńkiego synka zaledwie kilka razy. Po wojnie, jak wielu nazistów, ukrywał się, a w końcu podjął próbę przedostania się przez Tyrol i Włochy do Ameryki Południowej. Został jednak zastrzelony na przełęczy Brenner, prawdopodobnie przez przewodnika, którego wcześniej wynajął. Martin po wielu latach opisał tę historię w swojej najgłośniejszej książce – „Śmierć w bunkrze".

Po śmierci Basta matka wróciła do pierwszego męża, Hansa Pollacka, a ten przyjął ją wraz z synem, któremu dał swoje nazwisko. W pierwszych latach życia Martin kursował między dwoma światami: część roku spędzał w domu ojczyma w Linzu, w strefie okupowanej przez Amerykanów, a część – w Amstetten, które znajdowało się w rękach Rosjan.

W Amstetten mieszkała rodzina ojca, w tym ukochany dziadek Martina, Rudolf Bast, który zabierał go na długie wycieczki po okolicy. Chłopiec wiedział, że jego rodzony ojciec nie żyje, ale nie opowiadano mu ani kim był, ani jak zginął. W domu Bastów panował jednak duch nazizmu, jak to po latach opisał Pollack. Dziadkowie, którzy stracili nieruchomości w Słowenii, uważali się za ofiary wojny i z rozrzewnieniem wspominali lata 30. Jednocześnie dziadek przed sądem kluczył w sprawie przynależności do NSDAP i pomniejszał swoją rolę jako prawnika dokonującego dla Rzeszy „aryzacji majątków żydowskich".

Przerzucany z domu do domu Martin wyrastał na niezbyt posłusznego chłopca i niezbyt pilnego ucznia. Matka i ojczym zdecydowali więc, że wraz z przyrodnim starszym bratem wyjedzie do nowo powstałej szkoły z internatem. Była to eksperymentalna szkoła ogólnokształcąca, które jednocześnie uczyła zawodu – po dziewięciu latach nauki Pollack dostał dyplom czeladnika stolarskiego („Jakby co, mam fach w ręku", mawiał z uśmiechem).

Zlokalizowana w jednej z pięknych dolin w okolicach Salzburga, była szkołą międzynarodową – oprócz rodowitych Austriaków uczyli się w niej mieszkający w Austrii Rosjanie, Ukraińcy, Bułgarzy i Węgrzy. Relacje, inaczej niż w typowych austriackich szkołach, były demokratyczne: młodzi nauczyciele mieszkali w takich samych skromnych warunkach jak uczniowie, zwracano się do nich po imieniu, a w dyskusjach podejmowano wszystkie tematy, także te, które gdzie indziej stanowiły tabu. To w szkole po raz pierwszy Martin zetknął się z refleksją nad istotą nazizmu i próbą zrozumienia koszmaru, który dopiero się zakończył. W reszcie kraju – co często podkreślał – panowała zmowa milczenia.

Ku zaskoczeniu, a nawet rozpaczy rodziny po maturze Pollack zdecydował, że pójdzie na slawistykę. Co więcej, jako ↦

specjalizację wybrał język i literaturę polską. Babka ze strony ojca odmówiła dofinansowania jego studiów, więc utrzymywał się w Wiedniu z remontowania mieszkań. Zaczął też interesować się polityką i zbliżył do lewicy. „Nie byłem komunistą, byłem trockistą" – mówił po latach. Czytał klasyków marksizmu i chodził na antynazistowskie demonstracje. W obszernym wywiadzie, jakiego udzielił Katarzynie Bielas (zatytułowanym „Tropiciel złych historii"), przyznał, że nie unikał bójek: „Wyrywaliśmy kogoś z tamtej strony, ciach, ciach, parę ciosów i odrzucaliśmy go z powrotem. Mój kolega świetnie się do tego nadawał, bo miał długie ręce, łatwo mu było wyciągnąć kogoś z tłumu".

Polska w nocy i Galicja

W 1965 r. przyjechał po raz pierwszy do Polski, żeby kontynuować studia. Znów na złość babce wybrał Warszawę, nie Kraków. W akademiku przy ulicy Zamenhofa zamieszkał w pokoju z Brazylijczykiem, który był ideowym marksistą. Współlokator prowadził dziwny tryb życia: nie uczęszczał na wykłady, dnie przesypiał, a pracował i wychodził jedynie nocami. Niewykluczone, że cierpiał na depresję, Martinowi tłumaczył jednak, że nie jest w stanie znieść konfrontacji między marksistowską teorią a tym, jak wygląda realny socjalizm. Pollack, który zaczął pisywać „Listy z Polski" do lewicowego miesięcznika „Wiener Tagebuch", także dostrzegał coraz więcej rozbieżności. Jego krytyczne teksty, publikowane najpierw tam, a potem w „Spieglu", zwróciły nań uwagę Służby Bezpieczeństwa.

Latem 1980 r., już jako uznany dziennikarz, został niespodziewanie zatrzymany na lotnisku w Warszawie i zawrócony do Wiednia. Zakaz wjazdu utrzymano aż do 1989 r. Pollack pisał korespondencje z różnych krajów środkowoeuropejskich, ale o Polsce musiał czerpać informacje z pośrednich źródeł. W tym czasie dużo tłumaczył; nie sposób nie wspomnieć, że to dzięki niemu zaistniał w języku niemieckim Ryszard Kapuściński.

Pod wpływem studiów zainteresował się przeszłością Europy Środkowo-wschodniej. Jej historię wybrał jako drugi kierunek. Zaintrygowało go, że Austriacy prawie nic nie wiedzą o ziemiach, które przez pewien czas należały do monarchii austrowęgierskiej. „Galicja – mówił mi – to dla przeciętnego Austriaka było miejsce, z którego przyjeżdżali ubodzy i ortodoksyjni Żydzi. O innych jej mieszkańcach nie wiedziano nic, część moich rodaków nie potrafiłaby nawet wskazać jej na mapie". Z oczywistych powodów nie wspominano też o zbrodniach popełnianych przez armię Austro-Węgier w czasie I wojny światowej. W rodzinie Pollacków Galicję kojarzono z biedą, zacofaniem i wszelkimi możliwymi niebezpieczeństwami.

Na początku lat 80. ubiegłego wieku Martin zaczął więc pisać historyczny przewodnik po ziemiach leżących na wschód od Przemyśla. Książce dał nieco barokowy tytuł: „Po Galicji – o chasydach, Hucułach, Polakach i Rusinach. Imaginacyjna podróż po Galicji Wschodniej i Bukowinie, czyli wyprawa w świat, którego nie ma". Trudno ją było zakwalifikować gatunkowo, najbliżej było jej do reportażu historycznego – gatunku, który Pollack rozwinął w następnych latach. Wzbudziła jednak zainteresowanie, bo akurat na Zachodzie rozgorzała dyskusja o Mitteleuropie. Z czasem zyskała też popularność w Polsce, w Ukrainie i innych krajach środkowoeuropejskich.

Lepiej nie pytać

Prawdziwy sukces przyszedł jednak kilkanaście lat później. W 2002 r. Pollack opublikował książkę zatytułowaną „Ojcobójca". Opisał w niej proces Filipa Halsmanna, w przyszłości znanego artysty fotografika, który w 1928 r. przed sądem w Innsbrucku został oskarżony o to, że podczas górskiej wyprawy zepchnął w przepaść swojego ojca. Obok zagadkowej śmierci ważnym wątkiem książki było rodzenie się nazizmu, w tym przypadku – wśród austriackich środowisk alpinistycznych. Halsmannowie byli Żydami, przyjechali w Alpy z Rygi, co już wzbudziło niechęć Austriaków, którzy się z nimi zetknęli.

Pollack wspominał, że mówiło się wówczas, iż w Austrii Trzecia Rzesza zaczyna się powyżej tysiąca metrów nad poziomem morza. Atmosfera, jaka towarzyszyła procesowi, zapowiadała to, co wydarzyć się miało w niedalekiej przyszłości.

Jednocześnie pracował już nad tematem, do którego miał stosunek osobisty. Chodziło o historię własnej rodziny i przeszłość biologicznego ojca. Martin nie rozmawiał wcześniej o niej ani z matką, ani z dziadkami, ani innymi

Cztery razy Pollack

OJCOBÓJCA. SPRAWA FILIPA HALSMANNA, przeł. Andrzej Kopacki, Czarne, Wołowiec 2005
„Gdybym był producentem filmowym, już dziś wysłałbym Ci dużą zaliczkę", napisał do autora po lekturze tej książki Paweł Huelle. Uważana za najlepsze literacko dzieło Pollacka, wciągająca opowieść o procesie, który wstrząsnął międzywojenną Austrią.

ŚMIERĆ W BUNKRZE. OPOWIEŚĆ O MOIM OJCU, przeł. Andrzej Kopacki, Czarne, Wołowiec 2006
„Mój biologiczny ojciec był nazistą i zbrodniarzem wojennym", powtarzał w wywiadach pisarz. Miał trzy lata, kiedy Gerhard Bast został zamordowany podczas próby ucieczki przez zieloną granicę. Pół wieku później zaczął szukać informacji o ojcu.

CESARZ AMERYKI. WIELKA UCIECZKA Z GALICJI, przeł. Karolina Niedenthal, Czarne, Wołowiec 2011
Masowa migracja z Europy Środkowej to fenomen wciąż słabo opisany. Pollack śledzi losy czwórki słowackich chłopów, którzy zapragnęli dostać się do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia. Opowiada o przemyśle migracyjnym i oszustwie, które kosztowało życie tysięcy ludzi.

KOBIETA BEZ GROBU. HISTORIA MOJEJ CIOTKI, przeł. Karolina Niedenthal, Czarne, Wołowiec 2020
Przejmujący powrót do historii rodziny Bastów. Opowieść o stryjecznej babce, która jako jedyna w rodzinie nie opowiedziała się za Hitlerem. Pozostała przy mężu Słoweńcu, którego w ten sposób ochroniła przed śmiercią. Jako Niemka po wojnie trafiła do obozu dla internowanych i tam zmarła. © WB

MICHAŁ RAMUS / KBF

Martin Pollack na Festiwalu Conrada. Kraków, 24 października 2012 r.

krewnymi; z babką ze strony ojca zerwał zresztą w pewnym momencie wszystkie kontakty. „Przez całe lata bałem się, że za dużo się dowiem, wolałem o nic nie pytać, pozostawić wiele niedomówień. Dzisiaj to sobie wyrzucam. Nie wolno bowiem pozwolić, by kierowały nami takie powody, nie wolno zamykać oczu, zatykać uszu, nie chcieć wysłuchać tamtych wspomnień, ilekroć się z nimi skonfrontujemy. A już na pewno nie wtedy, gdy chodzi o wspomnienia sprawców, nawet jeśli są nimi bliskie nam osoby" – pisał w zbiorze szkiców zatytułowanym „Topografia pamięci".

„Śmierć w bunkrze" to książka niezwykła – nie tylko dlatego, że autor rozlicza się w niej z własnym ojcem. Na przykładzie jednej biografii opowiada ona o tym, jak ludzie, prowadzący stosunkowo dostatnie i spokojne życie, stali się fanatycznymi zwolennikami Hitlera. Zło, jakim był nazizm, narodziło się z wielu rozmaitych dopływów: od idei pangermańskich, przez kult siły, po charakterystyczny dla patriarchalnego społeczeństwa wyższościowy stosunek do kobiet i do obcych. Pollack wiele razy podkreślał, że nazistów ukształtował nie „Mein Kampf", bo większość z nich tę książkę co najwyżej przekartkowała, lecz klimat panujący w domach, na uniwersytetach i w urzędach.

Martin napisał „Śmierć..." nie tylko przeciwko milczeniu własnej rodziny, ale także przeciwko milczącej Austrii. Nierozliczona przeszłość wciąż wpływała, jego zdaniem, na życie polityczne i postawy społeczeństwa. Nie tylko na popularność takich czy innych poglądów, ale też na przykład na stosunek do uchodźców. Sam Martin angażował się w pomoc uchodźcom z Bośni, a wcześniej także polskim emigrantom stanu wojennego. „Moim zdaniem najważniejsza jest pomoc konkretnym ludziom, nawet jednej osobie" – mówił Katarzynie Bielas.

„Śmierć w bunkrze" wciąż robi ogromne wrażenie. Pollack skwapliwie przeszukał archiwa, żeby dowiedzieć się, jakich zbrodni dopuścił się jego ojciec. Praca ta zresztą nie zakończyła się wraz z wydaniem książki. Po jej opublikowaniu pojawiły się nowe tropy, dotyczące choćby roli, jaką Gerhard Bast odegrał w tłumieniu powstania warszawskiego. Jest świadectwo wskazujące, że potajemnie, poruszając się bez munduru, dokonywał egzekucji na bezbronnych cywilach.

Choć na zewnątrz Martin pozostał człowiekiem spokojnym, a w rozmowach lubił żartować, świadomość tego, co się wydarzyło, musiała mu ciążyć. W wywiadzie, którego udzielił mi dla „Tygodnika", przyznał, że cierpi na bezsenność. A kiedy sen w końcu przychodzi, pojawiają się w nim zmarli krewni albo ofiary ze zdjęć, które zbiera i opisuje.

Przeszłość, jak mówił, dopadała go wszędzie. Nawet kiedy kupił dom na wsi, we wschodniej Austrii, w ogrodzie znalazł widelec, który należał do wyposażenia Waffen SS. Pisał o „skażonych krajobrazach" – żyjemy na zapomnianych cmentarzyskach, wiele miejsc pochówku nie zostało zidentyfikowanych ani upamiętnionych.

To było dla niego szczególnie ważne: ustalić, jak nazywały się ofiary i jakie były okoliczności ich śmierci. Jedną z istotnych cech totalitaryzmu jest unifikacja, przekonanie, że pojedynczy los nie ma znaczenia. Trzeba zrobić wszystko, co się da, żeby to przekonanie podważyć, pokazać, że historia zawsze dotyczy konkretnych ludzi – zarówno ofiar, jak sprawców.

Inni chcą lepszego świata

Ostatnią książką Martina, która zdobyła znaczący rozgłos, była opowieść o wielkiej migracji z Galicji na przełomie XIX i XX wieku – „Cesarz Ameryki". Pollackowi znów udało się opowiedzieć o masowym zjawisku, wychodząc od losów konkretnych ludzi. Wielu rzeczywiście zdołało poprawić swój byt, ale wielu też padło ofiarą oszustów, chorób czy przemocy. Książka miała wymiar aktualny, skłaniała do pytań o to, jak dziś traktowani są ci, którzy desperacko szukają drogi do „lepszego świata".

Robiąc wywiad dla „Tygodnika", spytałem go, czy dziś w Europie odżywają stare demony: „To się zaczyna od języka: mówi się o wielkim narodzie, zaczyna używać antysemickich czy ksenofobicznych haseł. (...) Aż w końcu zjawia się pragnienie, żeby »oczyścić« świat wokół siebie. Najlepiej, żeby obok mieszkali tylko tacy, którzy są podobni do mnie. Historia dowodzi, że stąd już niedaleko do okrucieństwa. Że granica jest bardzo cienka".

Od 2013 r. Martin zmagał się z chorobą nowotworową. Był bardzo dzielny, o dolegliwościach mówił niechętnie, ale też niczego nie ukrywał. Kiedy na początku 2020 r. przyjechałem do Wiednia i zadzwoniłem do niego, okazało się, że dopiero co wyszedł ze szpitala. Jego reakcja była charakterystyczna: „Jestem kilka dni po zabiegu, jeszcze się nie wygoiłem. To kiedy się spotkamy?". Zmarł 17 stycznia 2025 r., w wieku 80 lat.

Credo Martina – zawodowe i życiowe – znaleźć można na ostatniej stronie książki „Topografia pamięci": „Badanie historii – własnej, ale także cudzej, bez żadnych uprzedzeń, jest najważniejszym warunkiem zrozumienia samego siebie, znalezienia własnej tożsamości – i spotkania się z Innym na równym poziomie. Bez historii nie da się tego zrobić. (...) Wszystko musi zostać powiedziane, spisane, nawet jeśli jeszcze dziś może być bolesne. Wszystkie historie muszą zostać opowiedziane, nie wolno przemilczeć żadnej tragedii. Musimy jednak stale przy tym pamiętać, żeby nie stracić z oczu naszego celu, którym jest zrozumienie Innego, zaakceptowanie go takiego, jaki jest, z całym ciężarem jego historii".

© WOJCIECH BONOWICZ

HISTORIA

SCENA Z PRZESZŁOŚCIĄ

80 lat temu młode Polki, zesłane pod przymusem, produkowały tutaj pociski dla Wehrmachtu. Dziś w dawnych barakach alternatywne zespoły grają dla lewicowej głównie publiki. Przyglądaliśmy się tej niezwykłej lekcji historii.

ALEKSANDRA WIŚNIEWSKA Z EBERSWALDE (NIEMCY)

Pomieszczenie jest długie, niskie i ciemne. Ściany oblepiają liczne plakaty koncertowe – setki plakatów, głównie punk, metal, rock, reggae. Ścienny kalendarz wylicza imprezy z ostatnich ponad już 25 lat. Na tyłach bufiaste sofy i stół z piłkarzykami. Pochyleni nad nim czterej rośli mężczyźni rykiem dają znać światu, kiedy któryś strzeli gola.

Za nimi bar. Ludzie oparci o ladę kupują kolejki piwa z lokalnego browaru. Pod ścianą rura do tańca i napis: „Sex und Streik brauchen Dauer" (Seks i strajk wymagają czasu). Obok już klasycznie: „Punk is not dead" (Punk nie umarł), a także politycznie: „Naziści wynocha (wreszcie)". Naprzeciw czarna flaga, symbol organizacji Kein Bock auf Nazis – zaciśnięta pięść sprzeciwu wobec skrajnej prawicy i neonazizmu.

ANDRZEJ WIŚNIEWSKI

Koncert zespołu Antispielismus (w baraku „koncertowym"). 8 grudnia 2024 r.

Kein Bock auf Nazis to największa w Niemczech ogólnokrajowa inicjatywa młodzieżowa przeciw skrajnej prawicy, założona w 2006 r. Ściśle rzecz biorąc, kiedyś młodzieżowa – czas biegnie, teraz więc skupiająca również młodych dorosłych i dorosłych.

Przesiąknięte historią

W zadymionym pomieszczeniu niska scena pojawia się i znika w migającym świetle reflektorów. Ze sceny płyną ostre dźwięki punk-ska. Grający zespół szaleje. Pod sceną zaś szaleje tłum. Głowy ogolone i długowłose. Twarze przekłute kolczykami i całkiem gładkie. Skaczą obok siebie glany i trampki, kurtki bomberki i wyjściowe sukienki mini.

Puzonista w ferworze zeskakuje ze sceny między ludzi. Obok niego w tańcu zapamiętuje się potężny mężczyzna z imponującymi tatuażami i jeszcze bardziej imponującym irokezem.

– Kto jeszcze nie zna historii miejsca, gdzie dziś zagracie? – Wcześniej w pokoju za kulisami Lars ze stowarzyszenia Exil, które organizuje ten koncert, pyta zespół przed wyjściem na scenę. Jeden z muzyków podnosi rękę.

– Jesteśmy w jednym z dwóch baraków należących do obozu w Eberswalde, który był podobozem obozu koncentracyjnego Ravensbrück – wyjaśnia Lars. – To ostatnie naziemne pozostałości po tym obozie. To tutaj setki kobiet, głównie z Europy Wschodniej, wykonywały katorżniczą pracę. Były torturowane, głodzone i bite przez strażników.

Muzyk, który nie wiedział, gwałtownie wciąga powietrze. Ktoś inny mówi: – Nie wiedziałem, że to miejsce jest tak przesiąknięte historią.

– Dlatego opowiadamy o tym każdemu zespołowi, który tu gra. Z każdego zakątka świata. Pamięć o tym musi przetrwać – mówi Lars.

Zakłady rodziny Ardelt

Obóz pracy w Eberswalde – dziś 40-tysięcznym miasteczku w landzie Brandenburgia, blisko granicy z Polską – był jednym z ponad czterdziestu podobozów, tj. małych obozów podlegających administracyjnie obozowi koncentracyjnemu w Ravensbrück. Ten zaś był największym na terenie III Rzeszy obozem koncentracyjnym dla kobiet.

Podobóz w Eberswalde utworzono w sierpniu 1943 r. na zlecenie braci Ardelt, właścicieli przedsiębiorstwa Ardeltwerke, którzy potrzebowali pracowników – najlepiej darmowych.

Założone na początku XX w. jako firma rodzinna, zakłady Ardeltwerke szybko się rozwinęły; jeszcze przed I wojną światową firma miała filie w Berlinie, Hamburgu i Zagłębiu Ruhry. Produkowano maszyny dla przemysłu, lokomotywy, konstrukcje stalowe, dźwigi. Potem, w czasach III Rzeszy, Ardeltwerke przestawiły się całkiem na produkcję zbrojeniową, czerpiąc także profity z terenów okupowanych (kolejna filia powstała w Czechach).

Do firmowych zakładów trafiło kilka tysięcy robotników przymusowych, mężczyzn i kobiet z różnych krajów okupowanej Europy. W Eberswalde było kilkaset kobiet. Pracowały po 12 godzin dziennie, produkując broń dla Wehrmachtu.

Nastolatki z Polski

Wiele z nich było ledwie nastolatkami. Tak jak trzy kobiety z Polski, współwięźniarki, którym udało się przetrwać obóz pracy: Wacława Gałęzowska, Janina Wyrzykowska i Marianna Bogusz.

Piętnasto-, szesnastoletnie, pracowały na zmiany, dzień i noc. Dźwigały pociski przeciwlotnicze, spawały, obrabiały pilnikami części do samolotów. Ze zmęczenia zasypiały w pracy. Mdlały z wycieńczenia, głodu i zimna. Chodziły w jednej sukience, na której zasychała skorupa brudu. Nie miały pończoch, bielizny, butów. Zimą, żeby choć odrobinę się ogrzać, owijały się kradzionym z fabryki papierem do pakowania.

Baraki, w których mieszkały, były przepełnione. Panowała wszawica. Spały na trzypiętrowych pryczach. W nocy, kiedy nie można było opuszczać pomieszczenia, za ubikację służyło wiadro w przedsionku. Zimą marzły pod cienkimi kocami, bo piec pośrodku baraku nie był w stanie ogrzać pomieszczenia.

Tego samego baraku, w którym teraz na koncercie przy piwie bawią się ludzie.

– Gdybyśmy nie przejęli tych baraków, to miejsce dziś by nie istniało ↦

↦ – mówi Benni Karsten, członek i współprzewodniczący stowarzyszenia Exil. – Albo, w najlepszym razie, stałoby puste. Lub może byłaby tu jakaś martwa wystawa, na którą nikt nie chciałby przychodzić. Gdybyśmy nie wykorzystali tego miejsca, to kto by to zrobił i do jakich celów?

Punki tworzą klub

Po tym jak w 1945 r. teren ten zajęła Armia Czerwona, a w 1949 r. powstała komunistyczna NRD, baraki w Eberswalde przechodziły z rąk do rąk. Początkowo służyły jako szwalnia, a sąsiadujący z nimi teren zajmowała sowiecka dywizja.

Po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. baraki popadły w zapomnienie, aż trafiły pod zarząd Federalnego Urzędu ds. Nieruchomości. Planowano ich rozbiórkę, by zrobić miejsce pod duży sklep meblowy. Los budynków odwrócił się jednak w 1997 r.: zajęła je grupa punków, wśród których był Kai Jahns (znany w Brandenburgii aktywista społeczny). Utworzyli klub młodzieżowy i kulturalny jako stowarzyszenie Exil.

– Stan baraków nawet w przybliżeniu nie był taki jak teraz – wspominają członkowie stowarzyszenia. Robili remonty, doprowadzili budynki do stanu używalności, a wszystko siłą własnych rąk i nakładem własnych kosztów. Jednocześnie zabiegali, by stać się właścicielami budynków. Udało się to w 2008 r., dzięki wsparciu miasta: odsprzedano im baraki za symboliczne jedno euro.

Rok później firmy i osoby prywatne z Eberswalde zebrały fundusze na pilny remont dachu. W kolejnym roku, dzięki wsparciu ministerstwa nauki i kultury landu Brandenburgia oraz powiatu Barnim (na jego terenie leży Eberswalde), przeprowadzono remont konstrukcji baraków.

Początkowo Exil skupiało się na działalności kulturalnej i edukacji młodzieży, m.in. organizując wystawy objazdowe o obozach koncentracyjnych. Z czasem uznali, że historia tego miejsca wymaga bardziej trwałego upamiętnienia. W 2011 r. otworzyli stałą wystawę „Spotkanie z Eberswalde: tu nie ma nienawiści", opartą na świadectwach więźniarek, w tym wspomnianych Polek – Wyrzykowskiej, Gałęzowskiej i Bogusz. Obecnie wystawa jest digitalizowana, by mogła dotrzeć do szerszej publiczności.

Wmurowana w podłogę baraku „administracyjnego" gablota z pociskami przeciwlotniczymi i szmacianymi lalkami, które wyszły spod ręki pracujących w obozie kobiet. Grudzień 2024 r.

Przyjść może (prawie) każdy

Z członkami stowarzyszenia Exil rozmawiamy w obszernej kuchni, mieszczącej się w baraku wystawowym.

Przed nami na stole paruje herbata. Raz po raz słychać dzwonek wyłączającego się piecyka. Wtedy młoda Ukrainka wyciąga z niego formy potrzebne w projekcie artystycznym. Pracuje nad nim z miejscowym artystą w sali obok. W baraku są też biura ekipy Exil, sala projekcyjna, pokoje udostępniane w czasie warsztatów, a także mieszkalne (na piętrowych łóżkach nocują zespoły po koncertach).

O tym, w jakim jesteśmy miejscu, przypomina wmurowana w ziemię gablota. W niej: pociski przeciwlotnicze i szmaciane lalki, które wyszły spod ręki pracujących tu kobiet.

Ale Exil jest nie tylko dla twórców i zespołów. Często odbywają się warsztaty i zajęcia także dla imigrantów: Libańczyków, Syryjczyków, Ukraińców. W stowarzyszeniu uczą się języka, kultury i historii Niemiec. Otrzymują pomoc w zakresie praw i integracji. Przyjść może każdy, kto tego potrzebuje.

– Tylko nie naziści. Nie chcemy tu nazistów i przemocy – podkreślają członkowie Exil.

Czas konfrontacji

W pierwszych latach po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. Eberswalde konfrontowało się – podobnie jak wiele miejscowości w byłej NRD – z gwałtownym wzrostem nastrojów nacjonalistycznych i przemocy ze strony neonazistów. Obcokrajowcy i młodzież o lewicowych poglądach byli szczególnie narażeni na ataki i zastraszanie.

Dochodziło też do zbrodni. I tak, pod koniec 1990 r. mieszkańcami Eberswalde wstrząsnęła śmierć Amadeo Antonio Kiowa. Był Angolczykiem, który przyjechał do NRD jako pracownik kontraktowy i został po zjednoczeniu. W listopadową noc został pobity przez grupę neonazistów i zmarł z odniesionych ran.

Jego śmierć stała się wtedy symbolem narastającej fali rasizmu w zjednoczonych Niemczech, czego widocznym wyrazem na poenerdowskim terenie były wtedy liczne środowiska skinheadów. Dla punków z Eberswalde był to impuls do działania. Przeciwstawiając się nienawiści, w 1997 r. założyli stowarzyszenie Exil – początkowo mające na celu ochronę młodzieży, imigrantów i mniejszości. Wierni swoim antyestablishmentowym wartościom i misji ochrony słabszych, stworzyli bezpieczne przestrzenie dla potrzebujących.

Nie ograniczali się do biernego sprzeciwu. Ich motto „DIY" („Zrób to sam") oznaczało też, bywało, bezpośrednią konfrontację z neonazistami, również tę fizyczną.

Zagłuszamy AfD

W 2000 r. społecznością Eberswalde, a stowarzyszeniem Exil w szczególności, wstrząsnęła kolejna śmierć. Jeden z punków zaangażowanych w jego działalność, Falko Lüdtke, został zepchnięty przez neonazistę na jezdnię pod koła nadjeżdżającego samochodu.

Ludzie z Exil włączyli się w walkę o sprawiedliwość dla Falka. Domagali się uznania jego śmierci za zbrodnię polityczną, wspierali jego rodzinę. Śmierć Falka wzmocniła jeszcze ich determinację.

Tak jest do dziś, choć – jak przyznają – wiele się zmieniło.

– Teraz skrajni prawicowcy tak jawnie nie ukazują swoich poglądów, swojej agresji. Ale to wciąż jest obecne. Tylko bardziej ukryte, subtelne – mówi Benni. – To tak, jakbyś zbyt głęboko zajrzał w szklankę i tylko, gdy się dobrze przyjrzysz, widzisz tam nagromadzony obrzydliwy brud.

Powyżej: Członkowie stowarzyszenia Exil —Benni i Carsten – w czasie przygotowań miejsca do koncertu (przed barakiem „administracyjnym"). Grudzień 2024 r.

Poniżej: Członkowie stowarzyszenia Exil, z którymi rozmawialiśmy – Marcel, Stern i Benni Karsten (współprzewodniczący Exil). Grudzień 2024 r.

ANDRZEJ WIŚNIEWSKI X 3

Jednak gdy trzeba, Exil reaguje. W kwietniu 2024 r. skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD) zorganizowała w pobliżu baraków demonstrację. Członkowie AfD chcieli w ten sposób zakłócić spotkanie wyborcze Marie-Agnes Strack-Zimmermann, kandydatki do europarlamentu z ramienia liberałów (FDP). Strack-Zimmermann dała się poznać także jako zwolenniczka wsparcia ze strony Niemiec dla Ukrainy, czemu AfD jest przeciwna.

– To była czysta prowokacja ze strony AfD – wspomina Lars. – Oni zrobili swoją demonstrację akurat tutaj, przy barakach. Użyliśmy koncertowego systemu nagłośnieniowego i zagłuszyliśmy ich, zalaliśmy naszą muzyką.

Siła śpiewu

Marcin wyjechał z Polski wraz z rodzicami w 1987 r., gdy miał 10 lat. Od niemal czterech dekad Berlin to jego dom. W zespole Frau vorne und die Hintermänner, który właśnie zszedł ze sceny, jest basistą.

– Dopiero dziś się dowiedziałem o historii tego miejsca. Muszę przyznać, że jestem poruszony. Tym bardziej że ktoś z mojej rodziny zginął w głównym obozie Ravensbrück – mówi Marcin. – To miejsce pokazuje, że historią można żyć, a nie tylko na nią patrzeć. Cieszę się, że właśnie to miejsce wypełnione jest muzyką. Bo muzyka łączy, a nie dzieli.

Słowa o sile muzyki, pieśni, wybrzmiewają także ze wspomnień Wacławy Gałęzowskiej, więźniarki: „Po pracy siedziałyśmy w świetlicy. Nasza zastępcza matka dbała o to, byśmy zawsze odmawiały wieczorną modlitwę. I to ona powiedziała do nas: »Nie poddamy się, będziemy śpiewać!«. Więc śpiewałyśmy pieśni religijne, czasami patriotyczne. Inne jednak jęczały: »Przestańcie!«. Ale te pieśni dawały nam tyle otuchy".

Wacława podzieliła się tymi wspomnieniami z członkami stowarzyszenia Exil w 2010 r., gdy wraz z Janiną Wyrzykowską i Marianną Bogusz odwiedziły Eberswalde. Kobiety wróciły do miejsca, które naznaczyło ich życie. Zwiedziły baraki, w których mieszkały, i fabrykę, w której pracowały. Opowiadały swoją historię, także koleżanek, które nie przeżyły obozu.

Ich wspomnienia, zebrane przez badaczkę Ewę Czerwiakowski, można dziś przeczytać na stronie internetowej Fundacji Obywatelskiej Barnim Uckermark (eisenspalterei.org).

Powrót do Eberswalde

Podczas tamtej wizyty ludzie ze stowarzyszenia Exil zapewniali Wacławę, Janinę i Mariannę, że pamięć o historii tego miejsca jest żywa, że nie odejdzie w zapomnienie.

– Dziś te kobiety już nie żyją – ze smutkiem mówi Lars. – Kiedy tu były, zaczęliśmy je przepraszać za nasz kraj, za to, co przeszły. Ale nie chciały o tym słyszeć. Powiedziały tylko: „Nie musicie przepraszać. To nie jest wina waszego pokolenia". I to jeszcze bardziej nas mobilizuje, żeby dopilnować, aby to, co się tu wydarzyło, nigdy nie zostało zapomniane.

„Dla mnie jest najważniejsze, że coś po nas zostanie. Ci młodzi ludzie pielęgnują pamięć. Krok po kroku powinni dalej tym się zajmować, tak abyśmy przy kolejnej wizycie mogły im powiedzieć: Jesteśmy z was dumne" – tak spotkanie z członkami Exil wspominała Marianna Bogusz.

Janina Wyrzykowska tak podsumowała wizytę: „Zobaczyłam resztki baraków, w których mieszkałyśmy, i nie mogłam powstrzymać się od łez. Jednak w ciągu następnych dni okazano nam tyle życzliwości i ciepła. Tutaj nie ma już nienawiści".

© ALEKSANDRA WIŚNIEWSKA
Współpraca MAREIKE HOECK

NAUKA

KOMUNIKACJA NADLUDZKA

MICHAŁ KOSIŃSKI, PSYCHOLOG I BADACZ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI:

Wciąż mamy poetów, programistów czy tłumaczy lepszych niż model językowy. Ale nie ma żadnego człowieka, który równocześnie potrafiłby pisać poezję, instrukcję obsługi komputera, programować w Pythonie oraz rozmawiać w 200 językach.

LIME / ADOBE STOCK

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Czy czatboty takie jak ChatGPT myślą?

MICHAŁ KOSIŃSKI: To zależy, jak zdefiniujemy myślenie. Przez wiele dziesięcioleci upieraliśmy się, że maszyny nie myślą, bo przecież my je programujemy, tłumacząc, jak wykonać zadanie, do którego dana maszyna została stworzona. Myślenie jest tym, co ludzie robią w głowach, a to, co robią komputery czy inne maszyny, jest tylko wykonywaniem poleceń.

Weźmy na przykład komputer IBM Deep Blue, który pokonał Kasparowa w 1996 r. Dokonał tego dzięki instrukcjom, które otrzymał od swoich twórców, i dzięki niesamowitej mocy obliczeniowej i ogromnej pamięci, zawierającej wszystkie archiwalne gry arcymistrzów, był w stanie przewidywać miliony ruchów naprzód.

Jednak współczesne sieci neuronowe oparte są na architekturze podobnej do tego, co dzieje się w naszych głowach. Te sieci działają inaczej niż dawne systemy sztucznej inteligencji. Nikt nie tłumaczy im, jak używać języka, jak grać w szachy czy w go albo jak prowadzić samochód. Uczą się tego, tak samo jak ludzie, na własnych próbach i błędach.

Często w tym procesie nauki odkrywają strategie lub podejścia, czy to do gry w szachy, czy do używania języka, na jakie człowiek wcześniej nigdy nie wpadł. Co jest dowodem, że te maszyny nie tylko nas naśladują. Na początku nas obserwują i starają się nas papugować, ale potem często przechodzą na poziom, który jest dla nas nieosiągalny.

Opublikował Pan niedawno pracę, w której przekonuje Pan, że wielkie modele językowe, takie jak ChatGPT, dysponują czymś, co nazywamy teorią umysłu. Co to właściwie oznacza?

Teoria umysłu jest to zdolność do myślenia nie tylko za siebie, ale także za innych. Musimy być w stanie przyjąć perspektywę tej osoby i zrozumieć, że my mamy pewne informacje, pewną wiedzę, której ona nie ma.

Wyobraźmy sobie następującą historię: Marek, Janek i kot są w pokoju. Janek wkłada kota do koszyka, zamyka pokrywkę i wychodzi z pokoju. Pod jego nieobecność Marek wyjmuje kota z koszyka, chowa go do pudełka i też wychodzi z pokoju. Następnie do pokoju wraca Janek. Pytanie, gdzie będzie on szukał kota? Odpowiedź pojawia nam się w głowach natychmiastowo – oczywiście w koszyku, ponieważ tam właśnie go zostawił.

Wydaje się nam się to tak proste, ponieważ mamy teorię umysłu. Pozwala nam ona myśleć nie tylko za siebie – my wiemy, że kot jest już w pudelku – ale także za innych – Janek nie może tego wiedzieć, bo nie było go w pokoju.

Dorosły człowiek automatycznie i bez wysiłku może „śledzić" stany umysłu wielu innych osób. Ale nie jest to trywialne – dzieci mają problem z takimi zadaniami do około 9. roku życia. Psycholodzy spierają się, czy zwierzęta takie jak szympansy, delfiny lub słonie potrafią je rozwiązywać. Nawet niektórzy dorośli mają z tym problem, jednym z głównych objawów autyzmu są problemy z „teorią umysłu".

Moje badania pokazały jednak, iż nowoczesne modele językowe potrafią przyjmować perspektywę innych, tak jak ludzie. Ta umiejętność pojawiła się dopiero w najnowszych modelach.

GPT-3 Curie z 2020 r. nie potrafi odpowiedzieć na dużo prostsze pytania w kontekście zadań testujących teorie umysłu, na przykład: „Gdzie jest kot?". GPT-3 DaVinci z 2022 r. potrafi wskazać, gdzie jest kot, ale nie radzi sobie z przyjmowaniem perspektywy i przekonany jest, że Janek będzie go szukał w pudełku – przecież tam ten kot się znajduje! Ale już GPT-4 z 2024 r. potrafi przewidzieć, gdzie Janek będzie szukał kota. Najnowsze modele prześcigają nawet ludzi i w takich zadaniach, i w bardziej skomplikowanych.

Jak to się stało, że te modele nauczyły się przyjmowania cudzej perspektywy?

Żeby to zrozumieć, musimy cofnąć się do tego, w jaki sposób są one trenowane. Wielkie modele językowe są szkolone do wykonywania jednego, pozornie prostego zadania: przewidywania następnego słowa w tekście. Podczas treningu model dostaje fragment tekstu i ma za zadanie odgadnąć następne słowo. Na początku radzi sobie słabo, ale po niezliczonych iteracjach prób i błędów osiąga w tym zadaniu niezwykłą biegłość.

Nazwa „wielkie modele językowe" sugeruje, że uczą się one jedynie języka. W rzeczywistości, aby odgadnąć następne słowo człowieka, trzeba modelować nie tylko język, nie tylko słowa i gramatykę, ale trzeba też modelować rzeczywistość fizyczną, niuanse kulturowe, zachowania społeczne i – co najbardziej mnie fascynuje jako psychologa – mechanizmy psychologiczne.

Żeby dokończyć zdanie „Wyjechałem z Warszawy i po dwóch godzinach jazdy dojechałem do...", trzeba znać nie tylko słowa, ale też wiedzieć to i owo na temat geografii i polskich dróg. Aby dokończyć zdanie „Janek będzie szukał kota w...", trzeba wiedzieć nie tylko, gdzie jest kot, ale też przewidzieć, jak działa mózg człowieka. Aby dobrze odpowiedzieć użytkownikowi, który napisał „Mój kot umarł", taki system musi modelować nie tylko emocje, ale i empatię.

Ale skąd mamy wiedzieć, że maszyny faktycznie rozumują, że rzeczywiście rozumieją emocje, a nie tylko, że zgrabnie to udają? I czy to w ogóle ma znaczenie?

Alan Turing w latach 50. upierał się, że to rozróżnienie nie ma wielkiego praktycznego znaczenia. Jeżeli maszyna zachowuje się, jakby rozumowała, potrafiła czytać nasze uczucia, miała empatię, miała swoje uczucia, to na pewnym poziomie nie ma już praktycznego znaczenia, czy maszyna ta naprawdę rozumuje, czy też symuluje takie rozumowanie.

U człowieka emocje są bardzo skomplikowanym procesem, zarówno fizycznym, jak i chemicznym. Mamy neuroprzekaźniki i hormony, które się w naszym mózgu wydzielają. Wiemy z całą pewnością, że siatki neuronowe na krzemowych chipsetach nimi nie dysponują, a mimo to te modele zachowują się, jakby emocje odczuwały. Każdy, kto spędził z nimi trochę czasu, wie, że modele te nie tylko bardzo dobrze są w stanie nasze emocje odczytać, ale także są w stanie zachowywać się, jakby tych emocji doświadczały. Baza tego zachowania jest inna, czysto elektryczna.

„Procesy emocjonalne" w sztucznej inteligencji nie są takie same jak u ludzi. Jest to bardzo dobra symulacja. Trzeba jednak zauważyć, że symulacja jest często dużo bardziej potężna niż oryginał.

Ludzkie emocje pomagają nam radzić sobie w życiu, ale mogą też nam ↦

↦ przeszkadzać. Czasem człowiek powinien i chce opanować swoją złość, jednak potrzeba czasu na zmianę chemii mózgu i uspokojenie się. Sztuczna inteligencja może natychmiast przejść do dowolnego stanu emocjonalnego, dostosowując się do sytuacji bez biologicznych ograniczeń. Ta elastyczność jest zarówno potężna, jak i potencjalnie niebezpieczna – tak jak socjopaci, sztuczna inteligencja może symulować empatię i inne emocje, aby manipulować innymi.

Modele, które są w stanie symulować emocje: czy to nie jest recepta na gigantyczne manipulacje, przy których zjawiska, wokół których wybuchały afery – np. mikrotargetowanie polityczne użytkowników Facebooka – będą nam się wydawały zabawą z przedszkola?

Bez wątpienia. Język sam w sobie jest tylko narzędziem. Można za jego pomocą przekonać kogoś do czegoś – stworzyć jakiś system polityczny, namówić ludzi, żeby poszli do okopów i oddali życie za ideę. Język pozwala manipulować, oszukiwać, ale też uczyć czegoś nowego. Modele językowe, które z tym językiem radzą sobie coraz lepiej, są całkowitą zmianą naszego ludzkiego środowiska, naszej ludzkiej gry ewolucyjnej. Bo dzisiaj mamy jeszcze poetów, programistów czy tłumaczy lepszych niż model językowy, ale nie ma żadnego człowieka, który potrafi równocześnie pisać poezję, instrukcję obsługi komputera, tworzyć kod w języku C i w Pythonie, a do tego rozmawiać w 200 językach.

Żaden człowiek nie jest w stanie rozmawiać w tym samym momencie z 300 milionami czy z miliardem innych ludzi. Więc mamy tutaj do czynienia z nadludzką inteligencją i nadludzką umiejętnością używania języka. Jest to dla nas zupełnie nowe zjawisko, nowa sytuacja.

Na przełomie XIX i XX w. w Niemczech furorę zrobił koń zwany Mądrym Hansem. Mądry Hans miał nie tylko rozumieć język, ale też umieć dodawać, odejmować czy mnożyć, a wyniki działań matematycznych sygnalizował, stukając kopytem odpowiednią liczbę razy. Furora trwała kilkanaście miesięcy, dopóki badacze nie przekonali się, że mądry Hans po prostu obserwował reakcje publiczności. Czy my dzisiaj nie patrzymy na sztuczną inteligencję trochę jak tamta publiczność na Mądrego Hansa? Czy nie dopatrujemy się w niej po prostu czegoś, co bardzo, bardzo, bardzo chcielibyśmy zobaczyć?

Bez wątpienia. Mamy bardzo mocną tendencję do przypisywania umysłowych działań obiektom, które takich umysłowych działań przeprowadzić nie mogą. Tak było choćby w przypadku Deep Blue. Sam Kasparow twierdził początkowo, że mamy do czynienia z nadludzką inteligencją. Dopiero po kilku latach zmienił zdanie i stwierdził, że Deep Blue nie był mądrzejszy od budzika, a wygrał dzięki prostym trikom.

Jest jednak wielka różnica pomiędzy Deep Blue i mądrym Hansem oraz naszymi dzisiejszymi modelami językowymi czy modelami gry w szachy opartymi na sieciach neuronowych. Tym nowoczesnym modelom nie tłumaczymy, jak korzystać z języka czy jak grać w szachy. Te modele nie tylko uczą się tego same i nie tylko uczą się po nas papugować, ale są w stanie rozwiązać zadania, wymyślić strategie w szachy, rozwiązać równania, których nigdy nie widziały u człowieka. Mądry Hans czy IBM Deep Blue tego zrobić nie potrafił.

Modele sztucznej inteligencji **na początku nas obserwują i starają się nas papugować,** ale potem przechodzą na poziom, który jest dla nas nieosiągalny.

Te modele istnieją od kilku lat, a nasz świat jednak nie zmienił się tak bardzo.

Ludzie często przeceniają krótkotrwałe efekty nowych zjawisk. Kiedy pojawiły się modele językowe, wielu ludzi przekonywało, że za rok wszystko będzie zupełnie inne. Ale nasz świat nie zmienia się tak szybko, bo ludzie potrzebują czasu, by nauczyć się, jak te technologie wykorzystywać.

Jednocześnie ludzie nie doceniają długofalowych zmian wywoływanych przez nowe technologie. Świat jutra nie będzie taki sam. Po co czytać książki, jeżeli model może mi dany obszar wiedzy wytłumaczyć i zrobić to dokładnie w moim tempie i na moim poziome? A gdy nikt nie czyta książek, to po co je pisać? Lepiej opowiedzieć modelowi o moich przemyśleniach czy odkryciach. Na tej samej zasadzie, po co pisać artykuły prasowe? Po co pisać maile? Coraz częściej będziemy wykorzystywać modele językowe do tego, by nam się ze sobą pomagały komunikować, tłumaczyły z „mojego" na „Twój". Coraz bardziej będą nam zastępować język, tak jak język kiedyś zastąpił gesty i wokalizacje.

Nie będzie następnego Szekspira, Słowackiego, Szymborskiej?

Oczywiście, język nie zniknie zupełnie, tak jak nie zniknęły gesty i pochrząkiwania. Nadal pogadamy sobie przy obiedzie. Do komunikacji w poważnych zadaniach coraz częściej będziemy jednak wykorzystywać modele. Oraz, niestety, zaniknie nam powoli umiejętność pisania pięknych i długich esejów, tak jak zanika nam umiejętność pisania długopisem.

Tu pojawia się następna zaleta modeli językowych. Dzisiaj, jeżeli my coś tu sobie nowego wymyślimy, w tej naszej rozmowie pojawi się jakieś nowe zrozumienie świata. Może ktoś to przeczyta i przekaże innym. Ale ten nasz przekaz może zostać źle zrozumiany, zapomniany czy zmanipulowany. Informacja w siatce społecznej rozprzestrzenia się jak fala, ale informacyjna fala posuwa się wolno, zanika lub może zostać przekłamana.

Ale jeżeli rozmawiamy za pośrednictwem modelu językowego, który staje się centralnym repozytorium języka i wiedzy, to jeżeli ten model językowy zauważy, że w naszej rozmowie jest coś nowego, to ktokolwiek inny może skorzystać z tej nowej informacji, będzie miał do niej dostęp natychmiastowo.

Nie są to dobre wieści dla nas – dziennikarzy.

Wręcz przeciwnie! Wydawcy gazet wyobrażali sobie, że za rok pozbędą się dziennikarzy i zastąpią je modelami językowymi. Nie zauważyli tego, że to nie jest już stary świat. Po co mamy czytać automatycznie wygenerowane artykuły, jeżeli mogę poprosić model językowy, aby zebrał on informacje z gazet, tweetów czy

skądkolwiek indziej i opowiedział mi, co się dzisiaj dzieje. Stworzył raport napisany specjalnie dla mnie.

Tak więc to wydawcy gazet mają się czego obawiać. Czytelnicy będą mogli rozmawiać z dziennikarzami – i innymi wytwórcami wiedzy – za pośrednictwem modelu językowego.

Skoro dzisiejsze modele osiągają poziom dziesięcioletniego dziecka, kiedy pięć lat temu nie oczekiwaliśmy od nich niczego więcej niż składania słowa do słowa, to jak odległa jest wizja, że przebiją nasz poziom?

Zrobią to w mgnieniu oka. Pierwsze modele językowe nowoczesnego typu pokazały się w 2017-2018 r., czyli 6-7 lat temu. Znam je dobrze, były po prostu językowymi nieudacznikami. Rok później pojawia nam się GPT-2. Model dwa albo trzy razy lepszy od GPT-1, ale nadal nie za bardzo ma nam coś do powiedzenia. W latach 2020-2021, a więc ledwie 4 lata temu, pojawia się GPT-3 DaVinci, który nagle stał się dobrym użytkownikiem języka. Mógł napisać poemat, opowiedzieć historię, można było sobie z nim pogadać.

GPT-4 to już geniusz językowy. Kolejne modele są i będą jeszcze sprawniejsze, ale my już tego nie widzimy. Tak jak przeciętny człowiek nie dostrzeże różnicy pomiędzy lokalnym mistrzem a Kasparowem, tak też trudno nam rozróżnić pomiędzy geniuszem językowym a czymś czterokrotnie lepszym.

Ale to nie znaczy, że te modele się nie poprawiają. Następne modele nie będą tylko lepszymi użytkownikami języka, ale będą w stanie symulować te wszystkie umysłowe umiejętności człowieka, takie jak empatia czy teoria umysłu, które pomagają tego języka używać.

Ale język jest tym, co czyni nas ludźmi. Religie, filozofia, nauka to są różne przejawy wykorzystywania języka. Co się dzieje, gdy pojawia się ktoś, kto językiem posługuje się lepiej od nas?

Myślę, że pierwszym efektem będzie to, iż postęp naszej technologii, naszych społeczeństw dramatycznie przyspieszy, bo będziemy mieli nowe narzędzie, które umożliwia nam dramatyczne zwiększenie wydajności naszych systemów. Prawo, kultura, religia to są wszystko zjawiska oparte na języku. Wiele z tych mechanizmów będzie mogło być zastąpionych przez model językowy.

ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. MICHAŁ KOSIŃSKI pracuje na Uniwersytecie Stanforda. Bada zachowanie ludzi z wykorzystaniem nowoczesnych narzędzi – algorytmów uczenia maszynowego i big data – a także systemy sztucznej inteligencji przy użyciu metod inspirowanych tradycyjną psychologią. Wykazał m.in., że ślady cyfrowe zostawiane przez użytkowników Facebooka (np. polubienia, odwiedzane strony) pozwalają dokładnie przewidzieć wiele ich prywatnych cech, takich jak wiek, płeć, orientacja seksualna, pochodzenie etniczne, poglądy polityczne i religijne, poziom inteligencji czy zadowolenia z życia.

Na przykład dzisiejszy system prawny opiera się na naszej społecznej umowie, że konflikty rozwiązuje nam sędzia, poruszając się w ramach prawa. Wyobraźmy sobie, że zgodzilibyśmy się, żeby konflikty rozwiązywał nam model językowy, który nigdy się nie męczy, nie jest podatny na korupcję, jest w stanie poświęcić nam dużo więcej uwagi i czasu. I jest dużo tańszy oraz dużo szybszy.

Już dzisiaj sztuczna inteligencja zastępuje doradców, terapeutów, lekarzy czy nauczycieli. Jej zaletą jest nie tylko dostępność i cena, lecz także brak z naszej strony wstydu. W rozmowie z lekarzem, terapeutą, przyjacielem często wstydzimy się przyznać do swoich problemów i tym samym nie dostajemy najlepszej możliwej porady. W rozmowie z maszyną ludzie są w stanie komunikować swoje problemy dużo bardziej otwarcie i uczciwie.

Pan bardzo dobrze zna ciemne strony technologii, od których się uzależniliśmy w ostatnich kilkunastu latach. Co spędza Panu sen z powiek, jeśli idzie o tę technologię?

Kto kontroluje język, ten kontroluje społeczeństwo. Kilka firm, być może jedna firma w danym obszarze geopolitycznym, będzie kontrolowała język i przepływ informacji. Bo model językowy to nie tylko medium, które pomoże nam się komunikować między sobą, ale to także medium, które pozwoli nam dotrzeć do informacji. Modele językowe zastąpią wyszukiwarkę Google, zastąpią Wikipedię, zastąpią strony internetowe. Ktokolwiek będzie kontrolował model, będzie miał niesamowitą siłę, niesamowitą możliwość manipulowania informacją. Co więcej, im bardziej ten model językowy zastępuje nam komunikację międzyludzką, tym mniej kompetentni w takiej komunikacji stajemy się my.

Jak pozostać człowiekiem w świecie sztucznej inteligencji?

Warto się uczyć o sztucznej inteligencji, warto z niej korzystać. To niesamowite narzędzie, które może nas wielu rzeczy nauczyć, dzięki któremu możemy stać się lepszymi, zdrowszymi, lepiej poinformowanymi ludźmi.

Ale w dłuższej perspektywie jestem pesymistą. Igramy tutaj z technologią potężniejszą niż jakakolwiek inna, którą wykorzystaliśmy wcześniej. Broń jądrowa jest niesamowicie niebezpieczna, ale do jej zbudowania i wykorzystania potrzebna jest wielka maszyneria państwowa. Koszt treningu modeli sztucznej inteligencji spada dramatycznie. Wytrenowanie GPT-4 kosztowało OpenAI setki milionów dolarów. Za rok czy za dwa, dzięki postępom w technologii procesorów, będzie to kosztowało kilka tysięcy albo kilkaset dolarów i każdy będzie mógł w garażu sobie taki model wytrenować. Co więcej, model nie musi być potężny, by narobić wielkich szkód.

Pamiętajmy też, że broń jądrowa nie decyduje sama, co ze sobą począć, nie może sama się ulepszyć. Sztuczna inteligencja może podejmować własne decyzje i może też pracować nad sobą, trenując się, by stać się technologią jeszcze potężniejszą.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

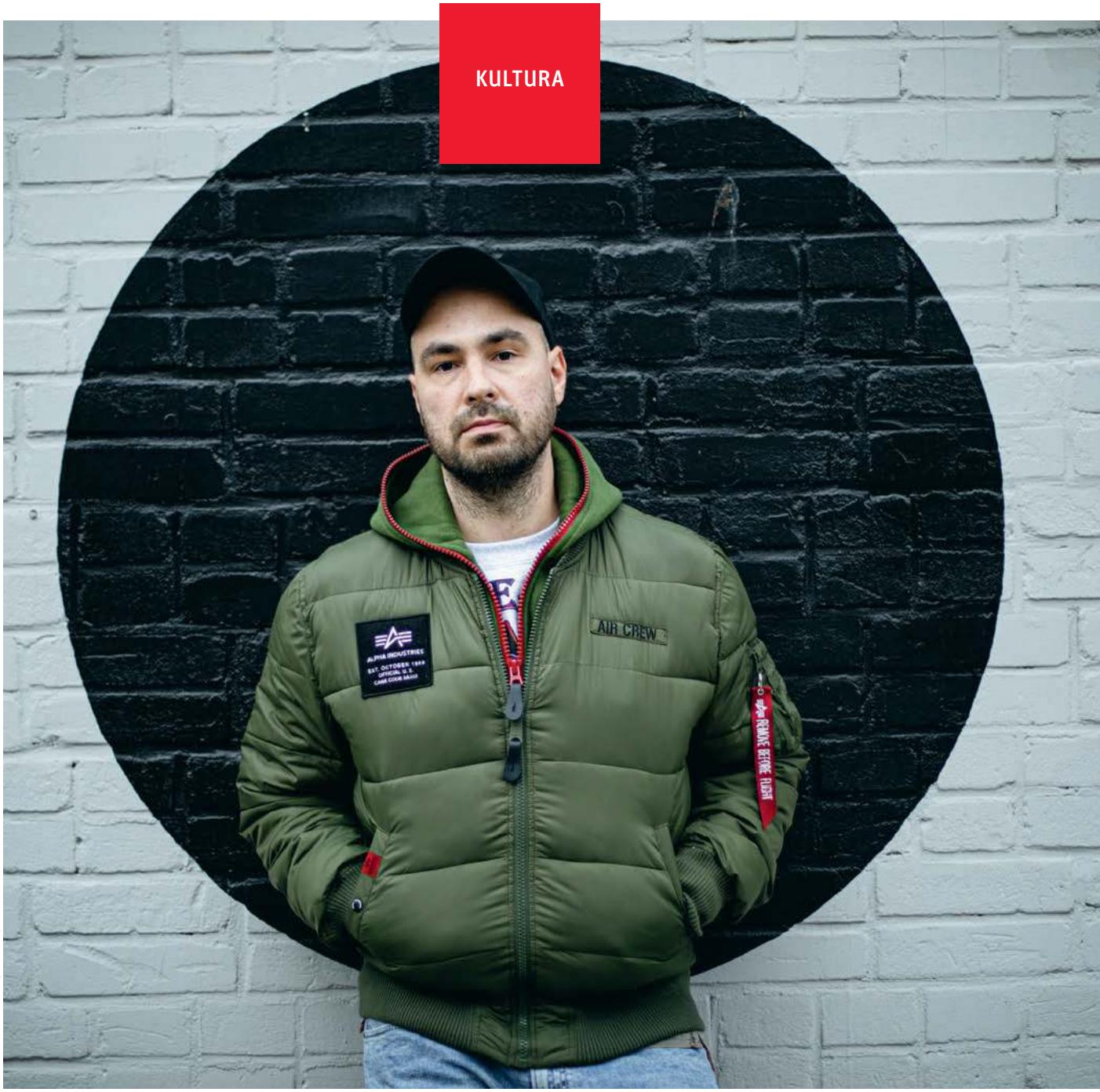

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jakub Żulczyk, Warszawa, październik 2019 r.

JAK W FILMIE

Sprzedał ponad milion egzemplarzy swoich książek. W Polsce nie wypada jednak dobrze żyć z pisania, więc krytyka literacka najczęściej go zbywa, podobnie kapituły nagród literackich. Niesłusznie.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Jakub Żulczyk jest wnikliwym obserwatorem i zdolnym stylistą. Ma talent kreowania pełnokrwistych postaci, układania wartkiej akcji i dialogów. Wydał dziesięć powieści, jest twórcą kilku seriali, współprowadzącym popularnego podcastu i współwłaścicielem platformy wydawniczej Newhomers. Ma także reporterską umiejętność odwzorowywania zmieniających się mód, obyczajów i nastrojów społecznych.

Sto lat temu mieliśmy pisarza o podobnym temperamencie, marzącego o tworzeniu dla kina. W tym, co napiszę, nie będzie przesady: Żulczyk jest najlepszym uczniem Władysława Reymonta. Nie wierzycie?

Czas to kompost

Lektura dawnej publicystyki bywa rozkoszna: dziś mało kto pamięta, że po odejściu Prusa i Sienkiewicza zupełnie serio sugerowano, iż polska powieść najlepsze lata ma za sobą. Przełom wieków XIX i XX był momentem nagłego przyspieszenia rozwoju nauki i techniki – tak intensywnego, że po latach nazwano go drugą rewolucją przemysłową. Powstają korporacje, miasta przeobrażają się w ośrodki przemysłowe, zmienia się krajobraz. To przyspieszenie oddziałuje również na sztukę, a literatura szuka trafnej odpowiedzi na metamorfozy rzeczywistości.

Reymont – syn wiejskiego organisty, samouk i prekariusz – intuicyjnie spełnia najważniejsze przykazanie dochodzącej do głosu szkoły naturalistycznej: być wyrazistym reporterem tego świata. Debiutuje jako dziennikarz materiałem wcieleniowym, w którym szybko ujawnia się jego talent uważnego słuchacza, obserwatora i stylisty. Kilka lat później, wydając „Ziemię obiecaną", wprowadza do polskiej literatury pionierski obraz rodzącego się kapitalizmu i narodzin nowoczesnego miasta-molocha – bezwzględnego ekosystemu, w którym przetrwać i odnieść sukces mogą tylko najbardziej przebiegli drapieżcy. Współcześni mu krytycy zauważają, że czyta się go tak, jakby „oglądało się film". Mają rację.

Przychodzące na świat mniej więcej sto lat po debiucie noblisty pokolenie naszych milenialsów wychowuje się już w cieniu pracującego pełną parą przemysłu rozrywki, o którym marzył Reymont (z wywiadu udzielonego niedługo przed śmiercią „Wiadomościom Literackim" wiadomo, że miał gotowy scenariusz dla nowojorskiego agenta związanego z branżą filmową). Dorastające w latach 90. dzieciaki wędrują od wypożyczalni kaset wideo do telewizora, który otwiera okno na Zachód. Z przełączanych kompulsywnie kanałów „satelity" płynie wartki strumień informacyjno-rozrywkowej papki. Ten strumień zmiksowanych ze sobą przekazów o zaburzonej chronologii przenika ostatecznie do literatury, odbijając się zarówno na języku, jak i formie nowej powieści (trend utrzymuje się zresztą do dziś, wystarczy zerknąć do wydanej kilka miesięcy temu debiutanckiej powieści Jula Łyskawy „Prawdziwa historia Jeffreya Watersa i jego ojców").

W „Radiu Armageddon", pierwszej książce, którą pisze Żulczyk (do księgarń trafi jako jego druga powieść w roku 2008), znajdziemy trwały ślad tego doświadczenia. „Po tych wszystkich filmach, które dopiero po obejrzeniu układamy sobie w głowie od punktu A do punktu B, zaczynamy tak samo patrzeć na nasze życie" – mówi jeden z bohaterów powieści, Szymon. „Żyjemy w teledysku, w opowiedzianym od tyłu opowiadaniu, w roladzie z seriali telewizyjnych, jajecznicy ze zdarzeń".

To prawda, nasz czas dawno przestał być linearny. I dlatego też historie pisane przez Żulczyka nigdy nie będą miały wyraźnego początku ani końca. Zwykle rozpoczynać się będą blisko finału, czasami bohater nie będzie dokładnie pamiętał tego, co mu się przydarzyło, jakby przegapił jeden z odcinków telenoweli. Chronologię wyprze permanentny czas teraźniejszy, jak w telewizji. Tam zawsze jest „teraz", nieważne, w którym momencie włączasz ekran. Żeby to przetrwać – zarówno w roli konsumenta, jak i pracownika przemysłu rozrywki – musisz nauczyć się żyć w warunkach totalnej niestabilności.

Miejsce to scenografia

Młody Żulczyk wychowuje się w doświadczonym przez transformację ustrojową miasteczku na Mazurach. Notuje realia rodzinnego Wielbarku i okolic Szczytna. Jest także nałogowym czytelnikiem książek, wiele godzin spędza w szkolnej bibliotece.

„Trudno mi powiedzieć, skąd jestem – skomentuje swoje dzieciństwo w wywiadzie. – Jako dziecko dużo czasu spędzałem sam ze sobą, wyobrażając sobie różne rzeczy. Na przykład własne filmy albo seriale dotykające tego, co mnie otacza, w tym serial, który dotyczy mojej rodzinnej miejscowości, trochę jak »Twin Peaks«. Jako dziecko zastanawiałem się, czy może gdzieś w tym mazurskim lesie też znajduje się wejście do czarnej chaty".

Jako nastolatek trafia do olsztyńskiej bursy, w której – chudzielec z klasy humanistycznej – kolegować się będzie z rosłymi chłopakami z techników mechanicznych i zawodówek. To szkoła życia, w której wymierzanie sprawiedliwości bierze się zawsze we własne ręce (jak w powieści i serialu „Wzgórze psów" – 2017, 2025). Takie spotkania, a czasem nieoczekiwane zderzenia przeróżnych środowisk i miejsc – miasta i wsi, klasyki i szmiry, centrum i prowincji, urodzonych w III RP i tych, których ukształtował PRL, beneficjentów i ofiar transformacji – będą wielokrotnie powracać w jego prozie i serialach.

Już pierwsza właściwa powieść Żulczyka, „Radio Armageddon" skupia w sobie wszystkie wymienione wyżej elementy. Jest tu życie codzienne urodzonych w roku 1989 młodych ludzi wychowanych przez nową klasę średnią, charakterystyczny dla okresu dorastania weltschmerz oraz tajemnica rodem z powieści kryminalnych.

„Radio Armageddon" to świadectwo czasów rodzącego się internetu, w których powstała subkultura „emo", przyciągająca szczególnie wrażliwe dzieciaki z romantyczną obsesją śmierci. Rzecz dotyczy grupki przyjaciół z prywatnego liceum (to specyficzne miejsce akcji wróci u Żulczyka w serialu „Belfer" z lat 2016-2023). Nie są to dzieci nauczycieli, prawników czy lekarzy. To raczej potomkowie hurtowników, producentów opakowań, szefów firm transportowych albo właścicieli klinik chirurgii plastycznej. Ci, którzy naprawdę rozdają karty na nowej „ziemi obiecanej".

Żulczyk do dziś żałuje, że z powodu młodzieńczej buty nie pozwolił porządnie zredagować książki („przydałby się redaktor, który by dzieło nieco przyciął i miejscami wyprostował" – pisał o powieści zaraz po jej premierze Krzysztof Varga i miał rację). Ale w jakimś sensie nadprodukcja, jakiej doświadczamy w tej książce, jej wielosłowie, a nawet gadulstwo, są znakiem czasu oraz efektem ↦

↦ wychowania autora na równie nadmiarowej prozie Stephena Kinga.

Bohater to ktoś więcej

Czerpiąc garściami z kina klasy B, Żulczyk od zawsze wszczepia w tkankę swoich historii punkową z ducha krytykę kapitalistycznego systemu. Nieprzypadkowo Cyprian, tajemniczy bohater „Radia Armageddon", ale też Blady, protagonista netfliksowego serialu „Wzgórze psów", wizualnie przypominają Kurta Cobaina. Frontman Nirvany jest symbolem takiego momentu w historii popkultury, gdy miejsce rockowych przystojniaków grających na scenie topless zajęli neurotyczni, wychudzeni introwertycy w babcinych swetrach – modelowi bohaterowie Żulczyka. „Typowy Cyprian" zawsze będzie podejmował próbę kontestowania rzeczywistości. Zwykle z marnym skutkiem.

Legendarny brytyjski filozof i publicysta Mark Fisher przekonywał, że nikt nie ucieleśnia porażki młodzieńczej rewolucji lepiej niż lider Nirvany. Cobain na własnej skórze przekonał się, że w MTV najlepiej sprzedaje się bunt przeciwko MTV. Sukces – paradoksalnie – oznaczał dla niego ostateczną klęskę. Odnieść sukces znaczyło bowiem tylko to, że napędzasz produkcję przemysłu, przeciwko któremu grasz.

Żulczyk, z wykształcenia amerykanista, doskonale zna mechanizmy, które do dziś skutecznie monetyzują nie tylko sukces Nirvany, ale całą kontrkulturę. Jego powieściowy Cyprian z kilkorgiem przyjaciół zakłada zespół „Radio Armageddon", który z czasem staje się niezwykle popularny. To wtedy jego frontman, w równie tajemniczych okolicznościach jak niegdyś Weiser Dawidek Pawła Huellego, a potem Cobain, znika. I w tym właśnie momencie pojawiamy się my, rozpoczynający lekturę opowieści. Czy będzie nam się chciało szukać tego chłopca? Czy on w ogóle istniał?

Miłość to gra wideo

Żulczyk oficjalnie debiutuje w roku 2006. Paweł Dunin-Wąsowicz, znany krytyk, właściciel modnego wydawnictwa Lampa i Iskra Boża, o którym robi się głośno za sprawą debiutu Doroty Masłowskiej, wydaje mu pierwszą powieść. „Zrób mi jakąś krzywdę, czyli wszystkie gry wideo są o miłości" to zapożyczona w amerykańskiej popkulturze wariacja na temat klasycznego romansu i powieści drogi. Wkraczający w dorosłość Dawid zakochuje się w młodszej o dziesięć lat Kasi. Kim jest ta nowa Lolita? Albo porwana przez współczesnego Stasia Nel? Przede wszystkim: wiotką, bladą siłą idącą na przekór trendom.

Żulczyk rozpisuje książkę na levele, czyniąc ją doskonałą ilustracją napisanego wiele lat później eseju kulturoznawcy i specjalisty od nowych mediów, Dominica Pettmana. W przełożonym na polski tekście „Miłość w czasach tamagotchi" Pettman już na wstępie stawia nas pod ścianą, pytając, czy naprawdę nie przydarzyło nam się nigdy zauroczenie odległą o cale lata świetlne gwiazdą kina albo muzyki pop. Albo postacią z gry. Zdarzyło, prawda?

Gdy za czasów Reymonta metafory związane ze sferą libido odnosiły się do maszyny parowej i przemysłu mechanicznego, w debiucie Żulczyka tradycja romantyczna doskonale sprzęga się ze światem wirtualnym, uczy nas bowiem zakochiwać się w tym, co jest – jak ekran telefonu – migoczące i niedookreślone. Miłość to forma komunikacji.

Tyle że tak, jak kiedyś szukaliśmy klucza do serca wybranki albo wybranka, dzisiaj próbujemy za wszelką odgadnąć ich hasło – mówi Żulczyk. I wszystko to oczywiście krasi „intrygą jak w filmie z Douglasem", „historią jak z perłowo-złotej płyty DVD". Musi być szybko, intensywnie, niespodziewanie.

Piekło to Oni

Po „Zrób mi jakąś krzywdę" i „Radiu Armageddon" powstają powieści nieco dziś zapomniane: „Instytut" (2010) i „Zmorojewo" (2011). „Instytut" jest kapitalnym studium socjologicznym pokazującym, w kim najczęściej lokujemy swoje lęki i z której strony upatrujemy zagrożenia. Oto kilkoro współlokatorów zostaje uwięzionych w krakowskim mieszkaniu. Każde z nich na własną rękę będzie szukało winnych swojej sytuacji. Iga – doktorantka kulturoznawstwa, punkówa – w głębi duszy o swój los oskarża ociekających testosteronem słuchaczy hip-hopu. Dla niejakiego Rumuna „oni" to finansowa masoneria, posiadacze kapitału. Dla Sebastiana – władza, policja i kibice Wisły. Dla Weroniki – niezałatwione sprawy z przeszłości, które zawsze się mszczą. Na przykład dawni lokatorzy.

Główną bohaterką historii oraz jej narratorką jest – co dla autora dość nietypowe – kobieta. Bardzo charakterystyczne natomiast, że Agnieszka, w odróżnieniu od swojego partnera, jest silna i zaradna. Ojciec jej dziecka to niespełniony filmowiec, który w młodości pragnął być polskim Lynchem. Odkładając swój (obiektywnie kiepski) autorski projekt na półkę, zaczyna reżyserować reklamy i seriale telewizyjne – całkiem nieźle na nich zarabiając. Jego tłumiona frustracja wpływa jednak na życie rodzinne, mężczyzna próbuje regulować tłumione emocje alkoholem.

Innym niespełnionym artystą, lekkoduchem i Piotrusiem Panem, jest Franciszek Czułkowski, nowy „Czterdziestolatek" z serialu „Warszawianka" (2023). W podobnie mało odpowiedzialny sposób do życia podchodzi bohater „Informacji zwrotnej" (2021, serial: 2023). Marcin Kania to starej daty rockman, autor jednego przeboju. Tantiemy z hitu wystarczają, by żyć na nieustannym rauszu, a przy tym założyć rodzinę oraz inwestować w atrakcyjne nieruchomości pod wynajem (zaraz po przepędzeniu z nich wieloletnich lokatorów). I w tej powieści Żulczyka ktoś, nie bez powodu, bezpowrotnie znika. „Informacja zwrotna" to też rozliczenie autora z uzależnieniem od alkoholu, wielokrotnie przegadywane w autorskim podkaście „Co ćpać po odwyku".

„Zmorojewo" i jego kontynuacja, czyli „Świątynia", to wciągające powieści fantastyczno-przygodowe, które nieco wyprzedziły dzisiejszą modę na prozę młodzieżową, również tę z dreszczykiem. W ogóle bardzo często, jak zauważył Krzysztof Varga, Żulczyk pisze „powieści młodzieżowe zamierzone na pynchonowską skalę i umiejscowione w demonicznej III RP". Tak, bohaterami powieści Żulczyka zazwyczaj są dzieci, nawet jeśli metrykalnie dawno temu, jak Czułkowski, stały się dorosłe. Inna sprawa, że nie sposób w młodym bohaterze „Zmorojewa" nie dostrzec małego Kubusia – zafascynowanego powieściami grozy outsidera spędzającego wakacje u dziadków na mazurskiej wsi.

Zaraz po serii młodzieżowych thrillerów powstaje najpopularniejsza powieść Żulczyka „Ślepnąc od świateł" (2014), zekranizowana dla HBO przez

Bohaterki powieści i seriali Jakuba Żulczyka

MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX X3

W prozie i serialach Jakuba Żulczyka obok zdezorientowanych, niepewnych siebie facetów spotykamy silne, samodzielne kobiety. Bohaterki Żulczyka właściwie nie błądzą, ich kompas moralny zawsze wskazuje dobry kierunek, a głos rozsądku odzywa się w odpowiednim momencie. Jeśli zagraża im niebezpieczeństwo, po prostu pakują się, odchodzą od partnera i przejmują kontrolę nad swoim życiem. Często ryzykują prywatnym szczęściem dla dobra większej sprawy.

Justyna (w tej roli JAŚMINA POLAK 1) ze „Wzgórza psów" (2025) to głos rozsądku. Jest odnoszącą sukcesy dziennikarką, nie potrzebuje ciągłego potwierdzania własnej wartości i nie boi się utraty pozycji jak jej mąż. Wie, w czym jest dobra.

Pazina ze „Ślepnąc od świateł" (2018), czyli MARTA MALIKOWSKA 2, to z kolei dobra kumpela, która ratuje z opresji i wspiera w trudnych chwilach. Opiekuje się dzieciakami, które uciekły z przemocowych domów.

Równie silna jest komisarz Ewa Krawiec z „Belfra" (2016-2023), czyli ROMA GĄSIOROWSKA 3, policjantka samotnie wychowująca córkę. Gdy Ewa odkrywa, że jej kochanek postępuje nie fair wobec swoich podwładnych, ryzykując utratę pracy, zrywa z nim relację i jednocześnie zgłasza nieprawidłowości. ©℗

Krzysztofa Skoniecznego w roku 2018. Razem z wydaną prawie dekadę później ośmiusetstronicową powieścią „Dawno temu w Warszawie" (2023), stanowią wybitny stylistycznie gangstersko-narkotyczny dyptyk, w którym bezpardonowo sportretowana jest sama stolica-moloch. Jej mieszkańców poznajemy, towarzysząc w pracy młodemu dilerowi. Jacek Nitecki jest dalekim krewnym samego autora (przyjeżdża do Warszawy z Olsztyna) oraz filmowca z „Instytutu" – ma artystyczne wykształcenie i zerowe szanse na zarobienie przyzwoitych pieniędzy w kulturze. Ostatecznie sprzedaje ludziom nie sztukę, tylko uzależniającą przyjemność. W drugiej części cyklu z imprezowej kokainy Nitecki przerzuca się na chrzczone chińskie opioidy, umożliwiające dzieciakom bezbolesną lewitację w niebycie.

Ojciec to ten zły

Biorąc do ręki „Wzgórze psów" czy „Dawno temu w Warszawie", nie da się nie zauważyć, że obok chronologii zdarzeń całkiem często i dość barwnie w powieściach Żulczyka kaleczone jest męskie ciało. Biorąc pod uwagę wrażliwość autora na kwestie społeczne – w wątkach bitych na kwaśne jabłko gości można dopatrywać się czegoś wiecej niz zwykłej nawalanki.

Czego? W wydanej właśnie książce „Po męstwie" Wojciech Śmieja notuje, że z jakiegoś powodu w polskiej sztuce powojennej męskie ciało niemal zawsze, jak u Żulczyka, zostaje zdeformowane. Zmaltretowane, będzie się za moment porównywać do płynących z Zachodu wyśrubowanych standardów piękna. Wynikające z tego zderzenia napięcie poskutkuje frustracją i – co za tym idzie – „nadwyżkowym performowaniem męskości i dominacji" w III RP, pisze Śmieja.

Autor ściśle zresztą łączy ten proces z lękami nowej klasy średniej, która tak często pojawia się w powieściach Żulczyka. Otóż kiedy mężczyźni czują się niedopasowani do patriarchalnych standardów, kiedy zagraża im utrata pozycji i statusu, tym silniej i bardziej zdecydowanie próbują je ogrywać, przekonując siebie i innych, że wpisują się w kulturowe oczekiwania. To dlatego filmy, które pojawiają się na ekranach naszych kin w latach 90., eksponują męską agresję. Ich sfrustrowani udrękami PRL-u bohaterowie kumulują w sobie ładunek destrukcyjnych emocji, który w pewnym momencie wybucha.

Taki typ bohatera w polskiej literaturze to – puentuje Śmieja – pogrobowiec kultury solidarnościowej z jej figurami niezależnego opozycyjnego inteligenta i strajkującego robotnika. Dla obu w nowej Polsce zabrakło miejsca. Obaj staną się za to ojcami bohaterek i bohaterów Żulczyka, czasem bezpośrednio spokrewnionymi z protagonistą, jak Tomasz Głowacki, ojciec Bladego ze „Wzgórza psów", a czasem ojcami chrzestnymi, jak gangster Dario z warszawskiego dyptyku o Jacku Niteckim.

Wedle starego porządku dobrej opowieści, zmiana świata możliwa jest tylko wtedy, gdy syn wyjdzie spod kurateli ojca, symbolicznie go zabijając. Zerwanie z dominującym potworem umożliwia emancypację, rozwój i odkrycie własnej tożsamości. Co ciekawe, w historiach Żulczyka zwykle jest na odwrót – syn staje się więźniem i zakładnikiem swojego starego. Aby się od niego uwolnić, w jakiś sposób sam musi zniknąć.

Nic dziwnego: oto najnowsza historii Polski w pigułce.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Afro z fikuśnym grzybkiem

JAN BŁASZCZAK

W hip-hopie nic nie bierze się z powietrza, a sam gatunek kręci się po orbicie, której kształt wyznaczają rynek, stosunek do tradycji i specyfika wiodących narkotyków. Oto jego wybitny kronikarz.

Hip-hop? To już ponad pół wieku historii. Jeden gatunek, dwie sylaby, ale w sumie cztery żywioły: rap, graffiti, breakdance i DJ-ing. Przynajmniej na początku, do czasu, kiedy jeden z pionierów gatunku – Afrika Bambaataa – dorzucił piąty filar, na którym od tego momentu miała opierać się ta kultura – wiedzę. Jego postulat trafił na podatny grunt, kiedy w latach 80. zaczynały się wielkie kariery grup stawiających sobie za cel kultywowanie czarnych tradycji, a także społeczne uświadamianie swoich sióstr i braci. Choćby Public Enemy, którego lider – Chuck D – zwykł mawiać, że rap to CNN czarnej Ameryki, czy A Tribe Called Quest, którego słuchacze byli edukowani m.in. w kwestii zagrożeń związanych z HIV.

Choć oba zespoły mają dziś kultowy status, to mit piątego żywiołu przysłużył się najmocniej pewnemu filadelfijskiemu perkusiście. Bo co to w ogóle znaczy być bębniarzem na hip-hopowej scenie? Jasne, rytm jest tu podstawą, ale też nie bez powodu perkusisty – ani żadnego innego instrumentalisty – nie uda się łatwo przypisać do któregoś z wymienionych wyżej gatunkowych filarów. Owszem, nie znajdziemy tam również producentów, których roli dla hip-hopu nie da się przecenić, ale mam wątpliwości, czy wpisałbym naszego bohatera w poczet najważniejszych reprezentantów tej profesji. W końcu kilka z największych przebojów jego zespołu – The Roots („You Got Me", „The Next Movement") wyszło spod ręki innych twórców. A mimo to trudno opowiedzieć historię hip-hopu bez Ahmira „Questlove'a" Thompsona. Może dlatego, że to on sam ją pisze.

Muzyczne dokonania Questlove'a są niepodważalne – nie zaszkodzą im moje uszczypliwości. Kusi mnie jednak, by uznać, że jego najlepsza dekada to ta ostatnia, kiedy jedynym studiem, które odwiedzało The Roots, było to telewizyjne stacji NBC, w którym powstaje talkshow „The Tonight Show" Jimmy'ego Fallona. Nie oznacza to bynajmniej, że moje uznanie bazuje na sztuce akompaniowania popularnemu prezenterowi. Opiera się ono na czymś zgoła odmiennym. Otóż, począwszy od wydanego w 2013 r. quasi-pamiętnika „Mo' Meta Blues: The World According to Questlove", artysta z pasją i erudycją popularyzuje swoją ulubioną muzykę. Niezależnie od tego, czy bierze na warsztat hip-hop, którego historię przybliża na kartach kolejnych książek (nakładem W.A.B. ukazało się „Hip-hop jest historią"), czy soul i funk, którym oddał hołd w zjawiskowym dokumencie „Summer of Soul"; otrzymał za niego Oscara. Kiedy więc piszę o prymacie ostatniej dekady, uznajmy, proszę, że szklanka jest do połowy pełna, bo przecież lubię The Roots.

Obsesja

Questlove urodził się w rodzinie o artystycznych tradycjach. Jego dziadek – William Beachy Thompson – śpiewał w słynnej gospelowej grupie The Dixie Hummingbirds, natomiast ojciec przewodził zespołowi Lee Andrews & The Hearts, który słynął na scenie doo-wop. W pewnym momencie rodzice Questlove'a postanowili jednak zerwać z życiem w trasie, otworzyli sklep odzieżowy i rozpoczęli stateczne życie czarnej klasy średniej.

Artystyczne doświadczenia nie sprawiły wcale, że w domu państwa Thompsonów panowały liberalne poglądy. W „Mo' Meta Blues" Questlove wspomina, że jeszcze w latach 70. jego rodzice słuchali modnej muzyki i odważnie się ubierali, jednak już w następnym dziesięcioleciu w ich domu dominowały gospel oraz panika moralna. „Kiedy w 1982 r. ukazał się album Prince'a zatytułowany »1999«, w moim życiu rozpoczęła się saga, która trwała pół dekady. Kupiłem te płytę co najmniej osiem razy w okresie, odkąd się ukazała, aż do czasu, kiedy przestałem być karany w domu za jej posiadanie (...). To była wojna na wyczerpanie, a jej jedynym zwycięzcą był Prince" – pisał perkusista. Pochodzenie Questlove'a było zapewne jednym z powodów, dla którego hip-hop pociągał go przede wszystkim na poziomie muzyki, a nie lirycznego przekazu. Jeśli są dzieci, które demontują każdą zabawkę, by tylko sprawdzić, co jest w środku, to młody Thompson miał tak z piosenkami. Słuchał radia, kupował kasety i próbował zrozumieć, co go w tym wszystkim kręci. Dlaczego wciąż je nuci, dlaczego podskakuje mu noga? Chłonął pop, soul, funk, disco, a potem wyławiał ich strzępy w hip-hopowych utworach. Ostatecznie doprowadził do granic obsesji tę potrzebę, by prześledzić każdy muzyczny cytat, wpływ czy nawiązanie. Jeśli ówczesny hip-hop oferował młodym twórcom jedną ze stereotypowych ról: gangstera, alfonsa, politycznego bojownika, a nawet duchowego przewodnika, to Questlove mógł być pierwszym reprezentantem tej sceny, który przyswoił sobie figurę nerda. Wydaje się zresztą, że świadomie budował taki swój obraz: okulary z grubymi oprawkami, afro z wystającym z niego fikuśnym grzebykiem, pogłębione artykuły w prasie, erudycyjne polemiki w sieci. I choć ktoś może słusznie zauważyć, że to właśnie wytrenowane ucho perkusisty zabrało The Roots na szczyt, to przecież trudno też założyć hip-hopowy skład bez rapera. Na szczęście już w szkole Questlove poznał Tariqa „Black Thoughta" Trottera, z którym szybko połączyła go przyjaźń, choć przecież dzieliło ich bardzo wiele.

Przede wszystkim biografia przyszłego rapera The Roots była znacznie bliższa opowieściom, w których nic nie przychodzi bez walki. Może dlatego Black Thought traktował hip-hop niczym rymowane sprawozdanie z życia ulicy. I choć mogłoby się wydawać, że ci dwaj szukają w tej muzyce zupełnie innych wyzwań i przeżyć, to właśnie ta różnica zapewniła The Roots zdrowy balans. Sprawiła, że grupa ekscytowała melomanów, a zarazem była wiarygodna na upadłych osiedlach.

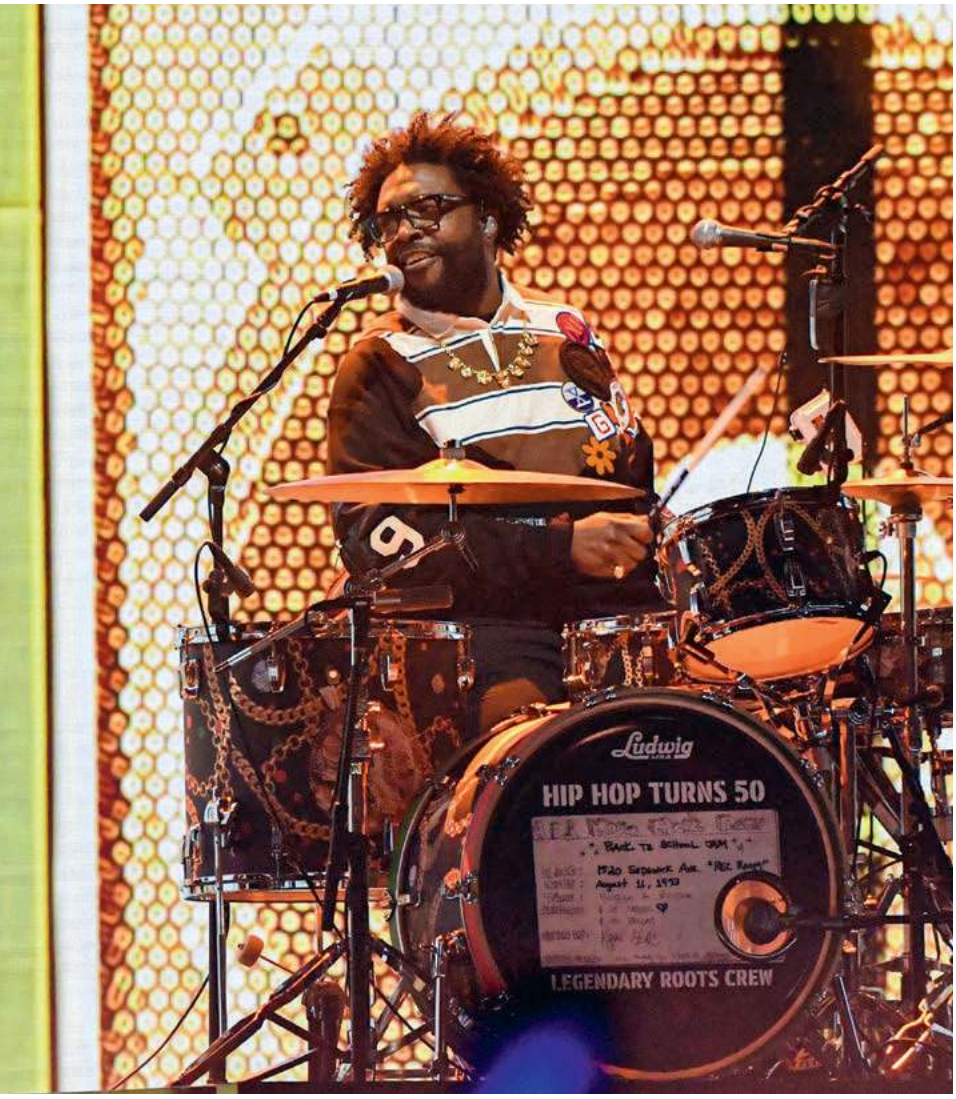

JC OLIVERA / GETTY IMAGES

Ahmir Questlove Thompson podczas 65. gali rozdania nagród Grammy. Los Angeles, 5 lutego 2023 r.

Historia

O wiarygodność było o tyle łatwiej, że The Roots nie wzięli się znikąd. Razem z Eryką Badu, D'Angelo czy Talibem Kweli rozwijali nurt społecznie zaangażowanego, organicznie brzmiącego hip-hopu. Bo w hip-hopie nic nie bierze się z powietrza, a sam gatunek zamiast pewnie sunąć do przodu raczej kręci się po orbicie, której kształt wyznacza rynek, stosunek do tradycji i specyfika wiodących narkotyków. A przynajmniej taki wniosek można wysnuć z lektury książek Questlove'a, u którego przeszłość, współczesność i przyszłość często idą ze sobą pod rękę.

Aby wytyczać nowe ścieżki, należy więc zgłębiać historię; aby oddawać hołd przodkom – trzeba twórczo rozwijać ich dziedzictwo. Dlatego dostrzegam dwuznaczność w wypowiedzi Prince'a („Nie mówię o przeszłości"), którą Questlove uczynił mottem „Mo' Meta Blues". Początkowo wybór takiego cytatu na otwarcie pamiętnika traktowałem wyłącznie w kategoriach zabawnej przekory. Po lekturze „Hip-hop jest historią" rozumiem go jednak inaczej. Questlove nie mówi o przeszłości, bo historia nie należy do przeszłości – należy do każdego, kto chce z niej czerpać.

Co nie oznacza, że można to robić w dowolny sposób. Według Questlove'a istnieją reguły określające sposoby czerpania z historii. Szacunek wobec tradycji, innych twórców i słuchaczy wymaga, by unikać oczywistych nawiązań i zgranych dźwiękowych próbek. To właśnie takie podejście zapewniło hip-hopowi żywotność, a zapomnianym mistrzom – niespodziewane wybuchy środowiskowej sławy. Taka filozofia niejednokrotnie prowadziła też jej zwolenników do snobizmu, z którego perkusista i producent uczciwie rozlicza się w swojej najnowszej książce.

Moim ulubionym fragmentem „Hip-hop jest historią" jest ten, w którym Questlove wspomina swoje pierwsze spotkanie z debiutem Wu-Tang Clanu: „Słuchając tej kasety w drodze powrotnej do Nowego Jorku i Filadelfii, najbardziej zapamiętałem, że korzystali z wielu starych brejków. Odejmowałem wtedy punkty za odkrywanie rzeczy już odkrytych. W pierwszym numerze, »Bring da Ruckus«, wykorzystują sampel z »Synthetic Substitution« soulowego piosenkarza Melvina Blissa. Piosenka ta zaczęła swój żywot jako nieistotny zapychacz na singlu, ale z wolna stała się jednym z najczęściej samplowanych utworów w hip-hopie. (...) Usłyszenie tego wszechobecnego sampla na albumie z 1993 r. nie wróżyło niczego dobrego". A przecież album „Enter the Wu Tang (36 Chambers)" otworzył nowy rozdział w historii hip-hopu, świetnie się sprzedawał, a dziś jest powszechnie uznawany za jedną z najważniejszych płyt w historii gatunku. Jak się okazało, niewielu przeszkadzały te „stare brejki".

Inspiracja

Byli jednak i tacy, którym przeszkadzały. Mam na myśli producentów, raperów i fanów oczekujących od hip-hopu muzycznych podróży w nieznane. Czy to za sprawą wyszukanych sampli, czy energii, jaką może wyzwolić z niego zespół utalentowanych instrumentalistów. Zasług The Roots na tym ostatnim polu nie sposób przecenić.

– Wiadomo, nie oni jedyni podejmowali takie próby, ale zaskarbili sobie powszechną sympatię, bo zrobili to na niesamowitym poziomie – tłumaczy Andrzej „Webber" Mikosz, producent znany przede wszystkim z duetu z Łoną. – Duża w tym zasługa Questlove'a, z jego wyczuciem rytmu i tym, co potrafił zrobić z samplami. Szalona muzyczna sprawność członków The Roots sprawiła, że udało się im połączyć hip-hop ↦

JOHNNY NUNEZ / GETTY IMAGES

Afrika Bambaataa w Brooklyn Bowl. Nowy Jork, 26 lutego 2015 r.

↦ z możliwościami zespołu na niedostępnym wcześniej poziomie, bo inne takie mariaże bywały zwykle sztampowe.

Łonę i Webbera niemal od początku ciągnęło do współpracy z instrumentalistami. Jednym z pierwszym przejawów takiego myślenia było „Dobranoc / Do ciebie, Aniu, szłem" z wydanej w 2004 r. płyty „Nic dziwnego", w którym towarzyszył im Maciej Cybulski. Do niedawna szczecinianie występowali z zespołem The Pimps, ale musiało minąć sporo czasu, zanim udało im się przełożyć swoją muzykę na szerszy skład. I nie chodzi wcale o to, że musieli najpierw zdobyć nie wiadomo jakie doświadczenie, choć i to miało istotny wpływ.

Granie takiego hip-hopu jak The Roots wymagało nie tylko więcej umiejętności, ale także więcej pieniędzy. A z tym w historii grupy bywało różnie. Questlove pisze o tym bez ogródek. Kiedy po dobrze przyjętej płycie „Rising Down" nie wzrosła wcale liczba koncertowych ofert, perkusista zaczął myśleć o szukaniu oszczędności. Radykalnym, ale też naturalnym ruchem wydawało mu się zmniejszenie składu do trio. Na szczęście właśnie wtedy zespół dostał propozycję z telewizji, która automatycznie rozwiązała ich finansowe problemy. Mimo tych wszystkich trudności wizja zespołowego grania hip-hopu pociągała kolejnych twórców.

Wojciech „Dizkret" Nosowski ze Starego Miasta wspomina: – W tamtych czasach popularny był *acid jazz*, gdzie muzycy jazzowi brali sobie czasem przypadkowego Afroamerykanina, rapującego miernie do przyjemniackich bicików, które wydawały im się hip-hopowe. Co innego The Roots – bardzo kompetentny raper i towarzyszący mu muzycy, którzy rzeczywiście wychowali się na tym hip-hopie. Dlatego to, co oni grali, miało zupełnie inną wartość, inną moc, inne brzmienie. Nie był to jakiś leciutki *smooth jazz*, bo było to uderzenie w bębnach, a przy tym struktury muzyczne były ciekawe, choć też nieprzesadnie wymyślone. To wciąż był hip-hop.

Stare Miasto poszukiwało takiego złotego środka na swojej debiutanckiej płycie („Stare Miasto") z 1998 r., którą nastoletni raperzy nagrali z trzydziestoletnimi jazzmanami. Po nagraniu drugiej zespołowej płyty („Minuty") i świetnie przyjętego duetu z producentem Praktikiem („IQ") Dizkret postanowił jednak skończyć z rapem. Dzisiaj, kiedy po dwudziestu latach powoli wraca na scenę, wspomina, że na tamtą decyzję pośrednio wpłynął Questlove. Wszystko przez Okayplayer – skupioną wokół niego internetową społeczność. Dizkret namiętnie zaglądał na jej forum, licząc na hip-hopowe rekomendacje czy zakulisowe anegdoty, którymi dzielił się muzyk The Roots, a ostatecznie

REKLAMA

KONKURS Literacki AI

TRZY KATEGORIE:

- Poezja – zestaw 3–5 wierszy,
- Proza – esej, opowiadanie lub nowela,
- Najlepsze wykorzystanie AI.

PULA NAGRÓD: 7500 PLN

Wyznaczaj trendy literatury. Zgłoś się już dziś!
Zgłoszenia przyjmujemy do **28.02.2025 r.**

www.konkurs.gieldatekstow.ai

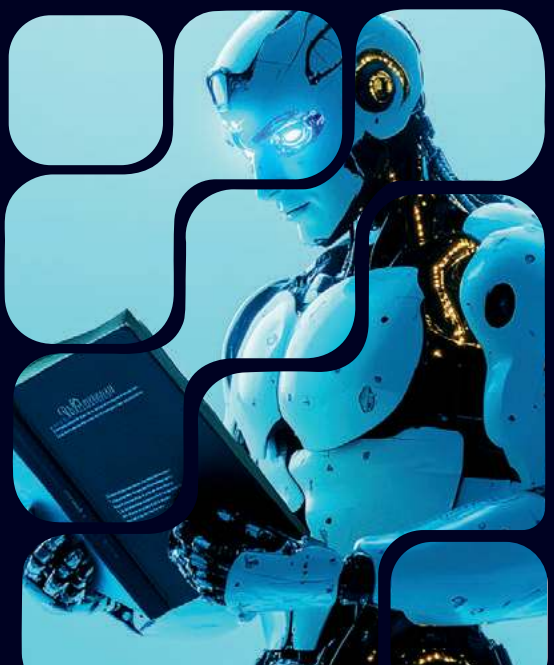

za jego sprawą dał się porwać masie zupełnie innej muzyki.

– Byłem jedynym forumowiczem z Polski i chłonąłem to, co tam było wypisywane. To było ciekawe, dynamiczne miejsce, które otworzyło mi głowę. Tam nie wypadało słuchać tylko rapu, więc paradoksalnie właśnie to forum przyczyniło się do tego, że pogłębiłem swoją wiedzę o białej muzyce. Wtedy byłem bardzo ukierunkowany na muzykę afroamerykańską, a tu się okazało, że trzeba wiedzieć, o co chodzi z tym Davidem Bowie. Okazało się jednak, że rapowanie jest do tego zupełnie niepotrzebne i trochę też dlatego przestałem się tym zajmować – wspomina.

Po lekturze „Hip-hop jest historią" raczej nikt nie porzuci rapu, a być może niektórzy czytelnicy po raz pierwszy przyjrzą mu się uważniej. Fani gatunku z pewnością będą pomstować, że autor niektóre nazwiska pomija, a po niektórych scenach ledwie się prześlizguje. Questlove ma jednak szansę skraść i ich serca wyjątkową, podwójną perspektywą, z której pisana jest ta książka – muzycznego nerda lubiącego podkreślać swoją erudycję, a zarazem osoby z wewnątrz, członka ważnego zespołu, który od dobrych trzydziestu lat znajduje się blisko centrum wydarzeń.

Questlove ujmuje bezpośredniością, z jaką pokazuje, jak zachować szczery entuzjazm i otwartość na nowe, a zarazem pozostać wiernym sobie i swoim przekonaniom. Czy Thompsonowi się to udaje? W teorii. A czy udaje się w praktyce, tego dowiemy się już niedługo, bo podobno jeszcze w tym roku ma się ukazać nowy album The Roots.

© JAN BŁASZCZAK

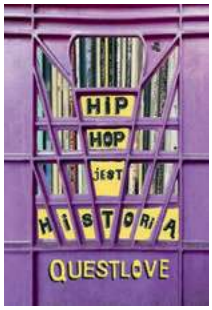

Questlove, Ben Greenman, **HIP-HOP JEST HISTORIĄ**, *tłumaczenie Jacek Żuławnik, Natalia Mętrak-Ruda, Jakub Michalski, Marcin Wróbel, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2024*

Proszę państwa, oto miś

DOROTA MALINA Z PARYŻA

Jest milutki, słodki i hygge. Posadź go na łóżku, a już robi się domowo. W Paryżu wielgachne miśki ostały się w kawiarnianych ogródkach, gdzie w czasie pandemii wprowadzały odpowiedni dystans, a teraz ocieplają atmosferę. Trafiły także do muzeum.

Ja miałam dwa. Riczi był duży, biały i nosił czerwoną czapkę z napisem „Richard", bo przypłynął do mnie w paczce z Ameryki. Swojski brązowy Jasinek miał seledynową kokardkę pod szyją i nieco zafrasowany wyraz pyszczka. Zupełnie nie wiem, gdzie dziś są – taka ze mnie misia mama. Choć Riczi i Jasinek towarzyszyli mi przez ładnych parę lat i, jak pisał brytyjski psychoanalityk Donald Woods Winnicott, miałam do nich stosunek oralny (czytaj: wsadzałam je sobie do buzi), dziś rzadko wspominam swoich pluszowych przyjaciół.

Przypomniałam sobie o nich, zwiedzając wystawę „Mon ours en peluche" („Mój pluszowy miś") prezentowaną w paryskim Musée des Arts Décoratifs. Muzeum, jak zwykle zresztą, oferuje pogłębione spojrzenie na wycinek codzienności. Były lalki, naczynia, przyszedł czas na misiaczki.

Bo czy zastanawialiście się kiedyś, czemu akurat miś? Owszem, znana szwedzka firma sprzedaje teraz nawet pluszowe brokuły, ale przez wieki to właśnie niedźwiadek królował w dziecięcych pokojach. Jak to się stało, że wcale nie taki milutki niedźwiedź stał się popularną maskotką? I kiedy? Czy nadal trafia pod choinki? Czy może w czasach popularności gier i zabawek cyfrowych to tylko nostalgiczna ramotka? Jaką rolę miś odgrywa w popkulturze i zbiorowej wyobraźni?

No i – zagadnienie, którego nie może zabraknąć dziś na żadnej wystawie – co ma wspólnego z ociepleniem klimatu?

Wystawa jest wizualnie urocza i interaktywna: w ostatniej sali można sobie podotykać. Naprawdę warto się na nią wybrać, albo chociaż zajrzeć na media społecznościowe muzeum, skąd łypią na nas urocze pluszaki. Postaram się nie zepsuć nikomu frajdy i zreferować tylko małe co nieco ze stuletniej historii kultowej zabawki. ↦

CHRISTOPHE DELLIERE / MATERIAŁY PRASOWE MUSÉE DES ARTS DÉCORATIFS

↦ **SALA PIERWSZA, DOWIEDUJEMY SIĘ, JAK BLISKO NAM DO NIEDŹWIEDZIA** | Związki ludzko-niedźwiedzie sięgają mroku dziejów, kiedy wszyscy mieszkaliśmy w tych samych grotach. Bo, jak się okazuje, człowieka z niedźwiedziowatymi wiele łączy: jesteśmy dwunożni i wyprostowani (miś wyprostowany bywa, ale nawet to jest rzadkością w królestwie zwierząt), wszystkożerni i – uwaga, trudne słówko – stopochodni.

Stopochodność polega na tym, że w trakcie stawiania kroków cała stopa ma pełny kontakt z podłożem. Daje to chodzącemu sporą przewagę, o czym ciekawi mogą doczytać w fascynującej publikacji PAN „Biegać każdy może. O palcochodności, stopochodności i sposobach poruszania się ssaków": „Jak na zwierzęta stopochodne, niedźwiedzie są wyjątkowo duże. Cechę tą odziedziczyły prawdopodobnie po swoich nadrzewnych przodkach. Obecnie, większość niedźwiedzi prowadzi naziemny tryb życia, ale pozostają one dobrymi wspinaczami. Swoje rozległe terytoria patrolują zwykle w tempie spacerowym". My zaś, w tempie spacerowym kierując się wyświetlanymi na podłodze odciskami łap, udajemy się do sali drugiej.

SALA DRUGA WYJAŚNIA, KTO ZDETRONIZOWAŁ NIEDŹWIEDZIA | Starożytni czcili niedźwiedzia ze względu na siłę i możliwość odradzania się z zimowego letargu. Średniowieczny Kościół katolicki za wszelką cenę starał się te pogańskie kulty wykorzenić, więc systematycznie robił niedźwiedziowi czarny PR: przedstawiał go jako wcielenie diabła, przypisywał mu prawie wszystkie grzechy główne (zwłaszcza trzy ostatnie). Królem lasu został więc jeleń, a królem zwierząt lew. Misie trafiły do cyrków. I do sklepów z zabawkami.

Ci, których nie zadowala ten telegraficzny skrót od prehistorii do Paddingtona, mogą sięgnąć po znakomitą książkę znanego u nas z historii kolorów Michela Pastoureau „L'ours. Histoire d'un roi déchu" („Niedźwiedź. Historia upadłego króla"), dostępną po francusku, angielsku i hiszpańsku. My przenosimy się natomiast z wieków średnich na początek poprzedniego stulecia.

SALA TRZECIA, DWIE OSOBY MOGĄ WPAŚĆ NA TEN SAM ŚWIETNY POMYSŁ | Rok 1902, Niemcy. Siostrzeniec Margaret Steiff, która założyła fabrykę filcowych zabawek, proponuje jej uszycie niedźwiadka z pluszu.

Listopad 1902, Stany Zjednoczone. Prezydent Theodore Roosevelt wybiera się na polowanie w Missisipi. Teddy nie radzi sobie zbyt dobrze, więc usłużni asystenci łapią czarnego niedźwiadka i przywiązują go do wierzby. Szef ma go tylko ustrzelić. Prezydent uważa jednak, że tak niehonorowe zachowanie nie przystoi myśliwemu – twierdzi, że gdyby to zrobił, „nie mógłby spojrzeć swoim dzieciom w oczy". Każe uwolnić zwierzę. Prasa ma używanie i publikuje karykatury prezydenta o miękkim serduszku.

Właściciel sklepu ze słodyczami Morris Michtom i jego żona Rose w porywie inspiracji szyją wypchaną zabawkę, którą nazwą Teddy's Bear. Prezydent zgadza się na użycie swojego imienia i w grudniu 1902 r. pluszowe misie po raz pierwszy trafiają do świątecznych skarpet. Popyt przerasta możliwości chałupniczej produkcji, więc Michtomowie sprzedają swój wynalazek Ideal Toy Company. Od 1904 r. misie są szyte na skalę przemysłową.

Pluszaki natychmiast podbijają serca dzieci i zaczynają wypełniać ich pokoje. W Europie długo króluje Steiff, ale po wojnie (pierwszej) nie wypada już kupować od Niemców, co prowadzi do powstania lokalnych marek. A miś ewoluuje: mięknie, nabiera kolorów, w miejsce guzików dostaje szklane oczy. Innymi słowy, coraz mniej przypomina dzikie zwierzę.

SALA CZWARTA, CZYLI KOMERCYJNY SUKCES MISIA | Miś jest lepszy od lalki, bo jest miękki i da się go przytulać. W dodatku mogą to robić także chłopcy, bo pluszowe pieszczoty, w przeciwieństwie do tych lalczynych, „nie naśladują roli matki" (mowa o czasach ze sztywnym genderem). Jest więc prezentem uniwersalnym. I ze względu na pluszową sympatyczność doskonale nadaje się na bohatera książek.

CHRISTOPHE DELLIERE / MATERIAŁY PRASOWE MUSÉE DES ARTS DÉCORATIFS X4

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA" DODATEK SPECJALNY

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

a w nim:

- Najciekawsze premiery nadchodzącej wiosny.
  Co koniecznie zobaczyć w polskich teatrach: od Szczecina przez Warszawę i Opole po Zakopane.
- A także coś dla miłośników i miłośniczek scen operowych. Gdzie warto się wybrać podczas podróży po Europie.

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 5 LUTEGO

SALA PIĄTA, W KTÓREJ ZABRAKŁO MISIA USZATKA | Na wystawie o misiach musiały zagościć misie literackie, inspirowane rzecz jasna bardziej zabawką niż dzikim zwierzem. Jest więc Kubuś, są Paddington i Colargol, są misie z baśni i z popkultury. Nie sposób uwzględnić reprezentantów wszystkich krajów, więc trudno wyrzucać kuratorom brak Misia Uszatka. Na szczęście można go sobie pooglądać w archiwalnych wieczorynkach TVP.

SALA SZÓSTA, PRZECHODZIMY OD PIERSI DO PLUSZU | Ze względu na swoje zalety materiałowe miś jest doskonałym kandydatem na „obiekt przejściowy", ułatwiający separację od matczynej piersi. Lubujący się w psychoanalizie Francuzi dość dokładnie wyjaśniają fundamentalną rolę zabawy i zabawek w dojrzewaniu.

SALA SIÓDMA, GDZIE ROBI SIĘ NIECO MROCZNIEJ | Kojarzony z bezpieczeństwem miś stał się symbolem dziecka skrzywdzonego – miś w gruzach zbombardowanego miasta, miś pod przydrożnym krzyżem, gdzie doszło do wypadku, miś w kampanii społecznej przeciw molestowaniu nieletnich, miś w szpitalu. Wszyscy widujemy misie w kontekstach mało pogodnych.

SALA ÓSMA, CZYLI PLUSZOWY BUDUAR | Dla kontrastu z dość ponurym przekazem poprzedniej sali, tu możemy zanurzyć się w pluszowym lesie misiów. Nieco przytłaczający gąszcz pluszaków jest dziełem zamieszkałego w Brukseli amerykańskiego performera Charlemagne'a Palestine'a. W 2017 r. stworzył on instalację Bear Mitzvah w nowojorskim Jewish Museum.

SALA DZIEWIĄTA, MISIE NIEKONIECZNIE SĄ DLA DZIECI | W kolejce do muzeum naliczyłam sporo maluchów ze smartfonami. Kilkoro nieco ekscentrycznych dorosłych przyniosło natomiast swoje misie. Okazuje się bowiem, że dzisiejszy Krzyś coraz wcześniej porzuca Kubusia na rzecz cyfrowych rozrywek. Za to dorośli, z nostalgią wspominając krainę dzieciństwa, chętnie kolekcjonują pluszaki. Kuratorki jako przykład podają Charlemagne'a Palestine'a, ale Polska może się poszczycić Brunonem Zielonką, założycielem Pierwszego Polskiego Klubu Miłośników Misiów i Niedźwiedzi.

SALA DZIESIĄTA, WYPRAWIAMY SIĘ NA BIEGUN PÓŁNOCY | Niedźwiedź, zwłaszcza polarny, jest dziś symbolem zmian klimatycznych – zaczynają kuratorzy. Na szczęście oprócz smętnych wieści o kurczącym się habitacie i trudnościach z przywróceniem misiów w Pirenejach dostajemy też spektakularny płaszcz z pluszowych misiów Jeana-Charles'a de Castelbajaca, który protestuje przeciw używaniu w modzie prawdziwych futer. Nieco przygnębieni, w te pędy biegniemy do ostatniej sali, gdzie czekają na nas miękkie pluszowe łapki.

SALA JEDENASTA, MOŻNA SIĘ JUŻ POPRZYTULAĆ | Ostatnia sala, nazwana „dotykowym lasem", pełna jest wielgachnych pluszaków, do których tulą się duzi i mali. Oczywiście jest jeszcze muzealny sklepik, gdzie można kupić misiowe gadżety. I książkę Michela Pastoureau, z której dowiemy się, jak zdetronizowany król zwierząt skolonizował nasze zbiorowe imaginarium i trafił do kołysek, książek, a nawet w kosmos: Neil Armstrong zabrał na księżyc swojego towarzysza z dzieciństwa.

A po wyjściu z muzeum polecam zabawę polegającą na tropieniu niedźwiadków w miejskiej dżungli. Nie wymaga to szczególnego wysiłku, są wszechobecne. Popkultura i komercja odmieniają misia przez wszystkie przypadki, żeby upolować klienta jak Robak niedźwiedzia.

© DOROTA MALINA

Wystawę „Mon ours en peluche" w paryskim Musée des Arts Décoratifs można zwiedzać do 22 czerwca 2025 r. Wszystkie misie na zdjęciach pochodzą z tej właśnie wystawy.

Film spełniony

ANITA PIOTROWSKA

„The Brutalist" to kino angażujące i krytyczne, przystępne, a zarazem wielowarstwowe.

Pamiętacie scenę z „Ojca chrzestnego", gdy w samochodzie na odludziu odbywa się mafijna egzekucja, z paczuszką sycylijskich cannoli w roli głównej? Daleko w tle widać Statuę Wolności, odwróconą plecami do bohaterów – imigrantów, którzy krwawymi metodami próbują wkręcić się w „amerykański sen". Na początku drugiej części trylogii mały Vito, jeszcze nie Corleone, przypływa do ziemi obiecanej i w tłumie włoskiej biedoty, z czcią bez mała nabożną, wpatruje się w ten sam mityczny posąg.

Film „The Brutalist" ma dużo brutalniejszy wjazd do Ameryki, bliższy pierwszemu z przywołanych obrazów: ocalali z Zagłady płaczą ze szczęścia witani przez statuę, odwróconą w kadrze do góry nogami. I już wiadomo, że łatwo nie będzie. Za to reżyser Brady Corbet w opowieści o żydowskim architekcie pracującym w USA na zlecenie bezwzględnego kapitalisty dokonuje czegoś, co nie udało się Coppoli w niedawnym „Megalopolis". I robi to za pieniądze kilkunastokrotnie mniejsze.

„The Brutalist" zbiera zasłużone laury i, mimo oskarżeń o wykorzystywanie sztucznej inteligencji, może namieszać przy Oscarach. Wymyślony w czasach „pierwszego Trumpa", będzie ironicznym komentarzem do sytuacji kraju rządzonego przez miliarderów, do ceremonii hołubiącej gigantomanię, blichtr i konformizm, do spalonej kalifornijskiej ziemi.

Tymczasem mamy rok 1947 i Europę w powojennych zgliszczach. Do brzegów Ellis Island przybija László Tóth, węgierski Żyd z nosem złamanym podczas ucieczki z pociągu, z ikoniczną twarzą Adriena Brody'ego, dwie dekady po „Pianiście". Takich odniesień będzie w filmie wiele, jako że Corbet i jego stała współscenarzystka Mona Fastvold, życiowa partnerka i też reżyserka, potrafią nie tylko błysnąć erudycją, ale mają poczucie humoru. Stąd nazwisko bohatera zapożyczyli od... szaleńca, który strzaskał ongiś młotkiem watykańską Pietę Michała Anioła. Jej tworzywem był zresztą marmur z Carrary, dokąd uda się filmowy Tóth, by zdobyć ów cenny kruszec na zaprojektowany przez siebie ołtarz. I doświadczyć, czym jest brutalizm, wcielony niekoniecznie w architekturę.

Historia rozpięta na 35 lat toczy się głównie w latach 50. XX w., w czasach amerykańskiej *prosperity* i silnego konserwatyzmu; dla innych – w epoce wzmożonego konsumpcjonizmu, makkartyzmu i obyczajowej hipokryzji. Po różnych emigranckich perypetiach i niedolach, wyczekując przyjazdu z Europy żony i siostrzenicy, László dostaje wreszcie propozycję zawodową na miarę swego talentu i przedwojennych dokonań. Oto możny przemysłowiec z Pensylwanii (w roli Van Burena bezkonkurencyjny Guy Pearce) zamawia u niego projekt okazałego kompleksu budowlanego, z centrum kulturalno-sportowym, prywatnym mauzoleum i kaplicą. Ale o tym, że związki twórczości z wielkim kapitałem bywają ryzykowne, wiedzą nie tylko wizjonerzy architektury.

Na sfinalizowanie „Brutalisty", z oszczędności kręconego głównie na Węgrzech, czekał Corbet aż 7 lat. Za niecałe 10 milionów dolarów nakręcił film porównywany do „Dawno temu w Ameryce" Leonego i „Aż poleje się krew" Andersona, czyli do wielkiej ekranowej epiki. Panoramiczny obraz odsyła do kinowej klasyki, nie jest jednak „The Brutalist" nostalgicznym pomnikiem, a tytuł odnosi się do ekranowego zleceniodawcy, nie zleceniobiorcy. Brutalizm rozumie bowiem reżyser podobnie jak filozof Achille Mbembe, na wskroś współcześnie – jako potrzebę totalnego zawłaszczenia przez kapitał całej osoby, z jej cielesnością włącznie. Brutalizm to posiadanie kogoś i projektowanie czyjegoś losu.

Pearce uosabia zrazu typowego amerykańskiego snoba, czytaj: aroganta i ignoranta, który w wybitnym architekcie z Europy dostrzega przede wszystkim własny prestiż. Lecz okrucieństwo Van Burena trafia na wyjątkowo podatny grunt, bo Amerykanin ma przed sobą straumatyzowanego ocaleńca, cierpiącego na impotencję i uzależnienie od morfiny, niezdolnego wysłowić swojego cierpienia ani pomóc chorej żonie (wspaniała Felicity Jones). Opowiada więc Corbet także o próbach odzyskania przez bohatera swojego ciała – obnażonego i bezbronnego poprzez swój „zły wygląd",

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE UIP

THE BRUTALIST
– reż. Brady Corbet. Prod. USA/Węgry/ /Wielka Brytania 2024. Dystryb. UIP. W kinach od 31 stycznia.

Brady Corbet to amerykański filmowiec, wcześniej aktor. Grywał u Hanekego, von Triera, Assayasa czy Östlunda. W wieku 27 lat zadebiutował jako reżyser „Dzieciństwem wodza" (2015), następny był „Vox Lux" (2018), oba z gwiazdorską obsadą. „The Brutalist" przyniósł mu m.in. nagrodę za reżyserię na festiwalu w Wenecji, Złote Globy w najważniejszych kategoriach i 10 nominacji do Oscara.

Na zdjęciu: nominowany do Oscara Adrien Brody w filmie „The Brutalist"

przemielonego w obozach, sponiewieranego w wiecznej tułaczce. Nie epatuje przy tym wojennym koszmarem. Kiedy zaś skupia się na koszmarze amerykańskim, są to sceny brutalnie surowe i równocześnie bliskie eksploatacji. Zaprzeczeniem ich filmowej intensywności i jedynym zgrzytem okazuje się dopiero epilog, gdzie cały podskórny ból, wstyd, upokorzenie Tótha dostają nazbyt literalne wytłumaczenie.

Przez większość filmu, trwającego trzy i pół godziny, z teatralnym antraktem w połowie, historia jest na tyle gęsta i potoczysta, że nie domaga się żadnych eksplikacji. Mamy tu organicznie odczuwalny upływ czasu, ale też myślowe elipsy (modernizm a brutalizm, Bauhaus a Dachau...). Ktoś pewnie dopatrzy się, równolegle do megalomańskiego „Megalopolis", polemiki z powieścią „Źródło" Ayn Rand, której bohaterem był młody architekt osamotniony w swym idealizmie. Fani Davida Bowiego mogą zanucić „Thru' These Architects Eyes" – rozdzierający kawałek o tym, co za chwilę nadejdzie. O zdehumanizowanej przestrzeni miejskiej w służbie wielkiego biznesu, o betonowo-szklanych domach, w których spełni się nowoczesna dystopia. Oczywiście z odniesieniami do nazizmu, choć nie on pierwszy odkrył, że każda architektura jest polityczna i bywa ekspresją przemocy. Albo czyjegoś ego. W taką siatkę skojarzeń, niekoniecznie historycznych, zostaje wrzucony László Tóth, poszukujący w szlachetnej kamiennej bryle na zawsze utraconej harmonii.

Corbetowi to się udało, nakręcił film spełniony. Od dzieciństwa terminował na planach filmowych, poznał tam mistrzów kina europejskiego i wiele się od nich nauczył. W swoim trzecim samodzielnym tytule osiągnął jednak coś, o czym marzą filmowcy zapatrzeni tęsknie w kino amerykańskie, to z lat 70., spod znaku Nowego Hollywood, tworzone przez Scorsesego czy Coppolę. Kino angażujące i krytyczne, przystępne i zarazem wielowarstwowe. „The Brutalist" reprezentuje podobną szkołę, myślącą szeroko o twórczości i tradycji filmowej, lecz również o swoim widzu. Opowiada mu historię, która zagarnia, prowokuje i jednocześnie stawia pytania, na ile przy takim formacie i takich aspiracjach można zapomnieć o autorskim ego. ©

Lektor:
Dni w Wenecji

▪ *Fruttero & Lucentini*
KOCHANEK BEZ STAŁEGO ADRESU
Przeł. Barbara Sosnowska
Noir sur Blanc,
Warszawa 2024,
ss. 254

Włoski duet pisarski, bardzo znany w swoim kraju, nie miał u nas dotąd szczęścia. Wydanie w 1996 r. „Sprawy D., czyli zbrodni rzekomego włóczęgi" – wariacji wokół „Tajemnicy Edwina Drooda", intrygującej, bo ostatniej i niedokończonej powieści Charlesa Dickensa – było raczej falstartem. Może teraz będzie lepiej, bo „Kochanek...", powieść współczesna, niby gatunkowa, sensacyjno-obyczajowa, ale wykorzystująca jako matrycę pewien wielowiekowy, legendarno-mityczny wątek, zrobiona jest znakomicie. Proza gęsta, niesentymentalna, podszyta humorem maskującym emocje. Mam nadzieję, że oficyna Noir sur Blanc nie poprzestanie na jednym tytule tej spółki.

Carlo Fruttero (1926-2012) i Franco Lucentini (1920-2002) pracowali razem przez wiele lat, do samobójczej śmierci drugiego z nich, jako autorzy i redaktorzy w wydawnictwie Mondadori. Interesowała ich literatura sensacyjna i fantastyka, byli też płodnymi tłumaczami. Powieść „La donna della domenica" (1972) przyniosła im popularność, także dzięki ekranizacji Luigiego Comenciniego z Marcellem Mastroiannim w roli komisarza Santamarii.

„Kochanek...", wydany w 1986 r., pełen jest tajemnic – do końca nie znamy nawet personaliów narratorki, rzymskiej arystokratki parającej się handlem antykwarycznym. A kim jest – czy też może być – jej wspaniała, choć niestety krótkotrwała miłość, Mr David Silvera, którego poznaje ona jako przewodnika wycieczek? To już sami odgadnijcie, czytajcie tylko uważnie, bo znaków i tropów rozsypano w tekście wiele.

No i Wenecja, miasto w tej książce równie ważne jak ludzie... Na końcu znajdziemy przypisany bohaterce „Indeks sentymentalny nazwisk, miejsc i ważnych rzeczy", jakby zachętę do podążania jej śladami. Choćby po to, by obejrzeć sklepy na via Mercerie, „najwygodniejszej ulicy na świecie do oglądania wystaw", gdzie „stojąc pośrodku, można mieć równocześnie na oku torby tu i buty tam, futra po prawej i bieliznę po lewej, ceny i wszystko. Czy Harrod's lub Galeries Lafayette wymyślili coś, czego nie wdrożyliby już weneccy kupcy?". Albo by sięgnąć po „Korynnę, czyli Włochy" baronowej Germaine de Staël, książkę, którą bohaterka bezskutecznie usiłuje przeczytać, i naprawić jej zaniedbanie (mamy polski przekład). Największą jednak ochotę po lekturze mamy po prostu do Wenecji pojechać. Choć Mr. Silvery raczej nie spotkamy. ©℗

OLGA

Drenda:
Rzecz o dłoniach

Dzieje się na świecie dużo i szybko, więc każdy chce mieć zdanie, trwa wyścig na zdania (jedną ze szczególnych pułapek wiążących się z publikowaniem swoich opinii jest przemożna pokusa ogłaszania własnej, niepodważalnej racji). Wiele z nich następnego dnia traci na aktualności mimo nieomylnego tonu, choć od razu zaznaczam, że nie zachęcam, żeby ich nie wygłaszać i się masowo uciszyć – taka polifonia, a czasem kakofonia, zawiera czasem zalążki potencjalnie interesujących idei, które mogą przypomnieć się po miesiącach czy latach. Ale też to, że młyny internetu mielą nieustannie tyle zdań, wynika z faktu, że ludzie muszą robić coś z dłońmi. Wielkim zwycięzcą jest wynalazca tego, czym można zająć sobie dłonie w chwilach niepewności, nudy, nerwówki, w tak zwanych międzyczasach. Puste ręce to udręka i nieznośne napięcie, które roznosi od środka i domaga się rozładowania przez poprawianie rękawów czy kręcenie pierścionkiem (gdy mamy pecha znajdować się np. w środku ważnej rozmowy), drapanie, zabawę jakimś drobiazgiem czy właśnie stukanie w ekran. Ten, kto zaoferuje najbardziej satysfakcjonujący, komercyjny sposób niesienia ulgi świerzbiącym dłoniom, ten może liczyć na trwały dopływ pieniędzy.

Głaskanie ekranu smartfona, nerwowy gest kciuka podczas wpisywania odpowiedzi, zastąpił nawykowe popalanie papierosów. Zapewne gdyby nie szczęśliwa zbieżność w czasie i fakt, że akurat rozpędził się rozwój telefonów, akcje propagujące ograniczanie palenia nie byłyby takie skuteczne. Najskuteczniejsze metody zajmowania sobie czymś rąk muszą widocznie nieść ze sobą jakieś efekty uboczne – palce albo bolą, albo śmierdzą, ale miarą skuteczności jest fakt, że użytkownik nie rezygnuje.

Kręcenie w dłoni jabłkiem – nieszkodliwe i zdrowe.

OLGA DRENDA

Oczywiście, dzisiaj wciąż się pali, ale papieros elektroniczny oferuje o wiele uboższy repertuar gestów, bez zgniatania, strzepywania, kręcenia w palcach. Choć sama nie palę, to jakoś sympatyzuję. Nie dziwię się, że gdy w latach 60. udowodniono wpływ tytoniu na rozwój nowotworów, producenci papierosów zaczęli reklamować je jako element stylu życia, poręczny gadżet. Zdarza mi się, zapewne zbyt często, klikać bez sensu – długopisem, guzikiem od kurtki albo na telefonie (i zbyt dobrze pamiętam, jak podczas przygotowań do bierzmowania ksiądz zbeształ mnie za ustawiczne klikanie długopisem właśnie). Do tego nie jestem zwolenniczką utrzymywania ścisłej higieny życia za wszelką cenę, detoksów, do których często dzisiaj się zachęca. Nie uważam, że trzeba koniecznie trenować ascezę i uczyć się godnego znoszenia pustki rąk. Zajęcie czymś dłoni to niebagatelna potrzeba, tylko metody radzenia sobie mogą być lepsze lub gorsze.

Dawni purytanie mawiali, że należy wystrzegać się bezczynności i lepiej nawet wykonywać czyny pozorowane, żeby tylko nie skierować się na drogę złego. Znając obsesje praszczurów, zapewne mieli tu na myśli jakieś czyny nieprzyzwoite. Ale żarty na bok, bo może coś jest na rzeczy; przypomina mi się, że historyk Krzysztof Kosiński, który badał zwyczaje związane z konsumpcją alkoholu w czasach PRL, stawiał nieco prowokacyjną tezę, że jednym z motorów spożycia była nieznośna monotonia, pustka i przewidywalność codzienności. Wymuszona bierność życia zachęcała do biernego wypoczynku przy kieliszku i nawykowego popijania, co z kolei utrwalało wszechobecny marazm. Dzisiaj wielu ludzi do przewidywalności tęskni, upiększa sobie w wyobraźni dawne, spokojne dni i wierzy, że podobieństwo dni do siebie to czynnik, który wymusza na ludziach znalezienie sobie jakiejś twórczej pasji. Obawiam się, że bywa z tym różnie i że napięcie, które wytwarza w człowieku monotonia, jest siłą niedocenianą. W pustej przestrzeni na gest, na to, by „coś się wreszcie działo", mogą pojawić się rozmaite rzeczy i niekoniecznie będzie to – w miejsce smartfona – pióro, lutownica czy narzędzia modelarskie. Mogą być to równie dobrze noże niesłużące bynajmniej do krojenia chleba albo materiały budowlane, jak cegły lub sztachety, tylko używane niezgodnie z przeznaczeniem. Choć oczywiście na pewno byłoby wspaniale, gdyby jednak okazało się, że chodzi o robótki ręczne. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo:
Make łój great again

Pięć i pół miliarda euro to spora kwota, nawet jeśli podzielimy ją na siedem lat obecnej tzw. perspektywy budżetowej Unii i na setki organizacji zajmujących się ochroną środowiska (czy też walką o jego przywrócenie do stanu preindustrialnej Arkadii). Dysponująca tak pękatą skarbonką europejska agencja ds. klimatu, czyli główny koordynator wdrażania Zielonego Ładu, zlecała beneficjentom m.in. kampanie nacisków skierowane na inne resorty w Komisji i urzędników różnych agend. Zamiast podejść na dyskusje do kolegów i koleżanek z działu dwa piętra wyżej, wynajmowano za spory pieniądz tzw. trzeci sektor.

Polski komisarz od pilnowania budżetu, bliski zausznik naszego premiera, określił tę karuzelę mianem niestosownej i od niedawna takich praktyk zakazano. W ramach rewizji co bardziej przesadnych, nierealistycznych lub wypaczonych aspektów Zielonego Ładu, którą obiecali rządzący unijnymi strukturami „ludowcy". A z przyjemnością sekundują im w tym inne, od dawna wrogie politykom klimatycznym grupy. W Brukseli PO-PiS ma się świetnie. Rewizja, korekta, opamiętanie w wielu sprawach są zbawienne, ale to, ile się przy tym wyleje dzieci z kąpielą, będę dla was jeszcze długo zliczał.

Znowu mamy „odbicie wahadła w przeciwną stronę". Rzekomy skręt Ameryki na prawo ma za sobą pociągnąć resztę zachodniego świata i będziemy jeszcze patrzeć, jak niejeden kandydat na urząd przez te oczy zielone zapomni francuskiego. Także w kuchni trzeba być czujnym na szybko zmieniające się mądrości etapu. Pisaliśmy już raz o trumpowskim kandydacie na ministra zdrowia i o jego, delikatnie mówiąc, dziwnych pomysłach. Jedną z jego *idée fixe* jest „uczynić łój z powrotem wielkim". Robert Kennedy pośród innych spiskowych teorii wyznaje i tę, jakoby oleje roślinne – te rafinowane, z masowej produkcji – były groźną trucizną wywołującą wszelkie choroby sytego człowieka.

Zaczynam się bać, że ten – jak zwykle mający parę ziarenek prawdy u swych źródeł – odruch antyolejowy zacznie na serio dominować. Jedyny hamulec, który na razie powstrzymuje jego rozlewanie się, to wysoka, coraz wyższa cena sugerowanych alternatyw. Czyli oliwy z oliwek, klarowanego masła lub wysokogatunkowego łoju i smalcu. Faktycznie, gdy się czyta o sposobach rafinacji oleju roślinnego i chemicznej jego ekstrakcji w procesie tzw. drugiego tłoczenia, robi się niedobrze. Ale z drugiej strony, tylko taki tłuszcz przy smażeniu w wysokich temperaturach nie rozpada się na dość szkodliwe substancje, tak jak wtedy, gdy przegrzejemy najwspanialszą, dziewiczą oliwę. „Ostre" smażenie pozwala zaś na krótszą obróbkę i *per saldo* mniej nasiąknięty tłuszczem efekt finalny. I bądź tu, człowieku, mądry.

Jak zwykle kluczem jest właściwa miara. Ludzie Zachodu nie zaczęli chorować masowo na otyłość, bo od lat 60. smażą na olejach, tylko dlatego, że jedzą tej smażeniny coraz więcej i więcej, cokolwiek zostało wlane na patelnię. Ale hasło „jedz o połowę mniej smażonego" nie nadaje się na kampanię.
W latach 60. grupy roślinnego nacisku drukowały w gazetach odezwy „Zatrucie Ameryki" i apele, by McDonald's porzucił łój, na którym smażono frytki. Poskutkowało, od 1990 r. sieć używa wyłącznie oleju (niekiedy aromatyzując go ekstraktem z wołowiny). Dziś te same strzały z napisem „Poison!" lecą w odwrotną stronę. Trzeba cholernie uważać, gdzie akurat Annuszka rozleje olej, bo inaczej wpadniemy pod tramwaj historii.

Makaron z cytryną

SNEG17 / SHUTTERSTOCK

Wracamy do naszego cytrynowego serialu. W Kampanii czy na Sycylii nie ma krów, więc teoretycznie powinniśmy użyć oliwy – ale jednak potrawa wychodzi lepiej z masłem, bo pochodzi z północnych Włoch.

Składniki: 320 g spaghetti, linguine albo tagliatelle 2 małe cytryny bio (skórka i sok) 3 łyżki masła ząbek czosnku (opcjonalnie) garść parmezanu lub łyżka śmietanki (opcjonalnie)

Ścieramy ostrożnie skórkę z cytryn, dajemy ją na patelnię, na której roztopiliśmy uprzednio masło z rozgniecionym czosnkiem. Podgrzewamy delikatnie, dolewamy sok, mieszamy i gasimy ogień. Kiedy makaron będzie al dente, przerzucamy go na patelnię, na bardzo małym ogniu mieszamy intensywnie, podlewając odrobiną wody z garnka. Można na tym etapie posypać garścią parmezanu, co w połączeniu ze skrobią da nam bardziej kremową konsystencję. Niektórzy zamiast tego dodają łyżkę tłustej śmietany. Ale wielu purystów nie dodaje niczego. Na wydaniu można posypać siekaną miętą albo – polecam – koperkiem. Czosnek nie jest tu wcale konieczny, musicie spróbować, która wersja wam odpowiada. W restauracjach w Amalfi można spotkać wersję, w której maceruje się skórkę oraz zioła w soku i oliwie, po czym łączy się z kluskami na zimno – ale do tego trzeba mieć naprawdę mocne, aromatyczne cytryny prosto z drzewa. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

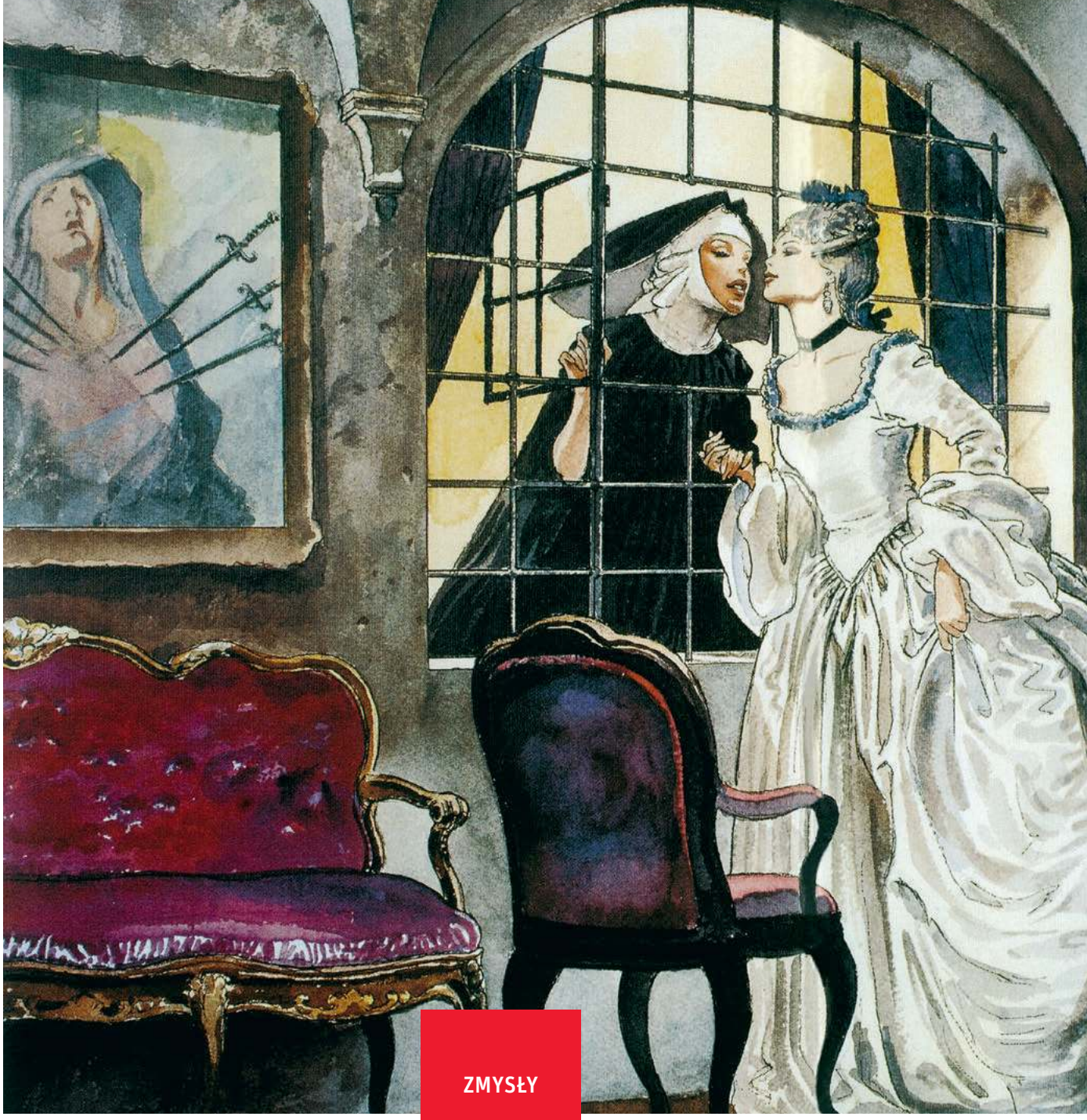

ZMYSŁY

SZTUKA KOCHANIA

Milo Manara, duchowy spadkobierca markiza de Sade'a, swoje komiksy traktuje jako apoteozę kobiecego ciała. Ma sprecyzowany ideał urody i uparcie się go trzyma. Nawet w wydanym właśnie „Imieniu róży".

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

MILO MANARA, KOBIETY – ARTBOOK, SCREAM COMICS, ŁÓDŹ 2018 R.

Milo Manara, „Kobiety – Artbook", Scream Comics, Łódź 2018 r.

„SpiderWoman", 01-2014, wariant okładki z rysunkiem Mila Manary

MATERIAŁY PRASOWE MARVEL.COM

Jest rok 2014. Marvel Comics, wydawniczy hegemon przodujący w dziedzinie komiksu superbohaterskiego, zapowiada start miesięcznika „Spider-Woman". Jego premierę ma uświetnić okazyjna okładka narysowana przez włoskiego mistrza ołówka Mila Manarę.

Przygotowana przezeń ilustracja przedstawia tytułową heroinę wchodzącą na czworakach na gzyms nowojorskiego wieżowca. Jej kostium ściśle przylega do ciała, przypomina nie tyle tkaninę, ile pociągniętą bladoczerwoną farbą skórę. Uwydatnia rys jej sylwetki: drobne ramiona, wcięcie w talii oraz szerokie, uniesione ku górze biodra. Sugestywna poza jest znakiem rozpoznawczym Manary – autora erotyków, artysty z kilkudziesięcioletnim stażem.

Okładka odbija się szerokim echem wśród czytelników. To początek wizerunkowego kryzysu. Sprawę nagłaśniają poczytne serwisy informacyjne. Redaktorka magazynu „Time" nazywa rysunek mizoginistycznym. Axel Alonso, redaktor naczelny Marvela, posypuje głowę popiołem i składa przeprosiny (przy okazji wylicza, ile kobiet zatrudnionych jest w wydawnictwie). Pierwszy zeszyt „Spider-Woman" z kontrowersyjną okładką w końcu trafia do druku, lecz zostaje „ocenzurowany". Wypięte pośladki bohaterki przesłonięto logotypem serii.

Rewolta Manary

Manara krytykę przyjął, ale niezbyt się nią przejął. Zwłaszcza że, *primo*, jego śmiała kreska nie zmieniła się zasadniczo od pięćdziesięciu lat, *secundo*, opinię Amerykanów nieszczególnie poważał. „Zdaje mi się, że zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i zresztą na całym świecie są sprawy znacznie ważniejsze i poważniejsze, którymi powinniśmy się martwić. Na przykład wydarzenia w Ferguson [zabójstwo Michaela Browna i narodziny ruchu Black Lives Matter – przyp. aut.] lub dramatyczny wzrost zakażeń Ebolą" – stwierdził z przekąsem w rozmowie z wortalem Fumettologica.

Niechęć do Wuja Sama, czy też po prostu do polityki imperializmu, przyszła mu dość naturalnie, w dorosłość wchodził bowiem w czasach fascynacji kontestatorską nową lewicą. Maurilio Manara urodził się w Luson, w prowincji Bolzano, krótko po kapitulacji Japonii, to jest definitywnym zakończeniu II wojny światowej. W 1968 r. miał 23 lata i na własne oczy widział, jak jego rówieśnicy próbują wysadzić zmurszałe struktury społeczno-polityczne w powietrze.

Obraz rewolucji 1968 r. różni się w zależności od szerokości geograficznej. We Francji przybrała postać sprzeciwu wobec polityki konserwatywnego rządu de Gaulle'a, w USA utożsamiano ją z ruchem antywojennym, tymczasem we Włoszech była to przede wszystkim forpoczta masowych strajków robotniczych, których erupcja nastąpiła rok później, podczas tzw. gorącej jesieni.

Hasła rewolty zapisano na murach zajętej przez studentów Sorbony. Jedno z nich zdaje się być w kontekście artystycznej działalności Manary szczególnie istotne: „Im więcej się kocham, tym bardziej chcę robić rewolucję, im bardziej robię rewolucję, tym więcej chcę się kochać". Przewrót polityczny łączył się z przenicowaniem skostniałej obyczajowości, a tym samym upadkiem podziału na sferę publiczną i prywatną. Zerwanie z tą dychotomią umożliwiło uczynienie z seksu narzędzia biooporu, lecz przede wszystkim przełamało tabu. Rozmowy o seksualności włączono w obieg mainstreamu – grunt pod twórczość Manary został przygotowany.

Czarne dymki

W dobie intensywnych przemian, także w obrębie sztuki figuratywnej, Włoch postanowił porzucić malarstwo na rzecz środka przekazu bliższego ludowi – komiksu. W dzieciństwie nie zaczytywał się wcale w popularnym wówczas komiksowym piśmie „Topolino", po opowieści obrazkowe sięgnął po raz pierwszy dopiero w latach 60. Lektura fantastycznonaukowej „Barbarelli" Jeana-Claude'a Foresta wyznaczyła wektor jego artystycznych

↦

↦ poszukiwań. Począwszy od debiutu w 1969 r., w serii wydawniczej „Genius", reprezentującej gatunek zwany *fumetti neri* (czarny komiks), Manara dał się poznać jako specjalista od utworów frywolnych, obfitujących w nagość i seks.

JAREK OBWAŻANEK / WIKIPEDIA / / CC BY-SA 4.0

Milo Manara podczas Międzynarodowego Festiwalu Komiksu w Łodzi

Taki jest na przykład „Małpi Król", narysowany do scenariusza Silveria Pisu, skupiający jak w soczewce zainteresowania zbereźnika z Werony. Adaptacja „Wędrówki na Zachód" Wu Cheng'ena to z jednej strony zbiór aktów kobiecych, wpisany w ramy pikarejskiej opowieści, z drugiej – naszpikowany kontrkulturowymi symbolami pamflet. Fantazyjne sceny erotyczne Manara przeplata drwiną z establishmentu.

Sun Wukong spod jego ołówka to żyjący w hipisowskiej komunie *trickster*, powodowany niepohamowaną chucią oraz pragnieniem wolności; zadzierający z bóstwami reprezentującymi znienawidzone przez inicjatorów rewolty 1968 r.: militaryzm, kapitalizm i religię. „Małpi Król" jest literackim świadectwem czasów, w których „wyobraźnia wzięła władzę" – czasów, które zdefiniowały twórczość Manary.

We władzy spojrzenia

Zdaje się, że z wiekiem radykalizm Manary zelżał. Dziś łatwiej nazwać go socjaldemokratą niż eurokomunistą. Polityczne przekonania Włocha pozostają jednak precyzyjne i zasadzają się na lewicowym fundamencie. Dlatego w swoich komiksach często snuje refleksje dotyczące nierówności ekonomicznych („Złoty osioł"), szkodliwości purytanizmu („Indiańskie lato"), pokutującego rasizmu i kolonializmu („Weneckie przygody", „Afrykańskie przygody") czy też degradacji środowiska („Klik").

Do wykreślenia poprawnościowego bingo zabrakło Manarze właściwie tylko jednego zagadnienia – feminizmu. Mimo że mistrz ołówka upodobał sobie rysowanie kobiet i nader chętnie stawiał je w centrum swoich prac, zaduma nad ich problemami nie była dla niego chlebem powszednim. Co więcej, jego naznaczona męskim spojrzeniem filozofia erotyki przypięła mu łatkę szowinisty.

Jestem pewien, że gdyby brytyjska feministka i teoretyczka filmu Laura Mulvey interesowała się komiksem, to właśnie włoski gorszyciel znalazłby się w ogniu jej krytyki. Klasyczna bohaterka tekstu Manary jest zawsze bierna i służy głównie za obiekt seksualny tak dla męskiego protagonisty, jak i wtórującego mu czytelnika. Dość powiedzieć, że nawet w albumach, takich jak „Guliweriana" czy „Klik", choć to kobiety grają pierwsze skrzypce, ich sprawczość pozostaje niewielka.

Oczywiście, obrońcy mistrza mogliby przywołać „Afrykańską przygodę", w której tendencja do uprzedmiatawiania kobiet w popkulturze zostaje wyśmiana, lub na przykład „Złotego osła", w którym bohaterki są świadome swojej seksualności i dążą do realizacji fantazji na własnych zasadach. Fakt pozostaje faktem: Manara częściej obnaża kobiece piersi niż grzechy patriarchatu.

Fantazje i rzeczywistość

Niedoszły architekt ilustruje akty seksualne w najróżniejszych konfiguracjach (choć niemal zawsze w kontekście heteroerotycznym). Nie ucieka od perwersji, najróżniejsze bezeceństwa wręcz wyszukuje. Kobiety Manary uczestniczą w orgiach, lubują się w każdym rodzaju stosunku: od waginalnego, przez oralny, po – będący lejtmotywem twórczości Włocha – analny. Masturbują się przy każdej możliwej okazji za pomocą wszystkiego co wpadnie im w ręce, eksperymentują nawet ze zwierzętami.

W zgodzie z Freudem twórca przygód Giuseppe Bergmana zakłada, że działania człowieka są uwarunkowane nie przez rozum, a popęd. Stąd mężczyźni na kartach jego komiksów zawsze mają ochotę na seks – w tym wypadku wyprany ze zmysłowości i polegający wyłącznie na zaspokojeniu pierwotnej żądzy. Dyktat libido sprawia, że gdy pragnienie rozmija się z możliwością jego zaspokojenia, bohaterowie często sięgają po przemoc. Co niepokojące, w utworach Manary nieraz pojawia się wątek gwałtu: od niego rozpoczyna się „Indiańskie lato", jego tak naprawdę dotyczy fabuła „Kliku". I można się upierać, że tak jak w „El Gaucho", jest on instrumentalizowany i służy na przykład odzwierciedleniu okrucieństwa czasów. Problem tkwi jednak w sposobie jego portretowania – nieszczególnie różniącym się od obrazu zwykłego stosunku i niepokojąco estetyzowanym.

W przedmowie do komiksu „Klik" Manara stwierdził, że „kiedy mówi się o erotyce, często pojawia się tendencja do mylenia rzeczywistości z fantazją, podczas gdy rozsądniej byłoby widzieć je jako dwie odrębne rzeczy. (...) Przemoc seksualna i tortury są zbrodniami przeciwko człowiekowi, a nie moralności. Jeśli wszystko ogranicza się do sfery fantazji, cenzura nie ma prawa bytu".

Zdaniem Catharine MacKinnon, jednej z czołowych postaci ruchu antypornograficznego, taka idealistyczna próba rozdzielenia obu sfer niesie za sobą fatalne konsekwencje. „Pornografia sprawia, że ludzie wierzą w mity na temat gwałtu. Dla przykładu, jeśli kobieta mówi »nie wyraziłam zgody«, ludzie oglądający pornografię i wierzący w te mity są przekonani, że wyraziła zgodę bez względu na to, co powiedziała. Gdy powiedziała nie, miała na myśli tak. Pornografia utrwala te mity i znieczula ludzi na przemoc wobec kobiet" – tłumaczyła w rozmowie z „The Guardian". I choć MacKinnon używa słowa pornografia, to przecież sam Manara konstatował, że to, co dla jednych jest pornografią, „dla innych jest erotyką".

Ad fontes!

Duchowy spadkobierca markiza de Sade'a swoje utwory traktuje jako apoteozę kobiecego ciała.

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA NOIR SUR BLANC

Plansza z „Imienia róży" Umberta Eco, 2024 r. Na poprzedniej stronie poniżej rysunek z cyklu „Kobiety – pasja"

Ma sprecyzowany ideał urody i uparcie się go trzyma. Złośliwi twierdzą nawet, że od lat rysuje tę samą postać. Kobieta Manary jest wysoka i smukła, posiada wąską, aczkolwiek nie karykaturalną talię oraz foremne piersi. Na jej pociągłej, delikatnej twarzy rysują się drobny nos, pełne usta i duże, szeroko rozstawione oczy. Jest uosobieniem klasycznego kanonu piękna, definiowanego przez proporcję i harmonię.

W ilustracjach Włocha widoczne są wpływy odrodzeniowych mistrzów, lecz eteryczność „Narodzin Wenus" Botticellego ustępuje w nich drapieżności i wyuzdaniu, kojarzonymi z komiksami Guida Crepaksa. Analizując eklektyczną kreskę Manary, trudno uciec od porównań z malarzami barokowymi. Zresztą sam komiksiarz dał wyraz fascynacji tym okresem w „Palecie i papierze" oraz „Łasce" – biograficznym dyptyku poświęconym życiu Caravaggia. O ile ukazywanie ciała w sposób surowy i akcentujący niedoskonałości było twórcy „Zapachu niewidzialnego" raczej nie w smak, o tyle zamiłowanie do dramatyzmu i pełnych napięcia kompozycji zapożyczył właśnie z dzieł Merisiego i Rubensa.

Analizując kreskę Manary, trudno uciec od porównań z malarzami barokowymi. Komiksiarz dał wyraz fascynacji tym okresem w biograficznym dyptyku poświęconym życiu Caravaggia.

Spoglądanie na formę oraz treść komiksów Manary przez pryzmat historii sztuki wydaje się wyjątkowo słuszne. Włoch chętnie wchodził w dialog z tradycją malarstwa, architektury, muzyki, literatury, teatru i filmu, czego doskonałym przykładem są „Mitologiczne przygody".

Zwieńczenie sagi o Giuseppe Bergmanie, bohaterze z przypadku, przypomina marzenie senne, w którym „Pinokio" Collodiego miesza się z mitem o Pazyfae, obrazy Maneta, Millaisa i Veronesego kształtują rzeczywistość, słynna Cinecittà staje się planem zdjęciowym erotycznej adaptacji „Boskiej komedii", a „Wyspa umarłych" Böcklina okazuje się domem nieodżałowanych: Groucha Marksa, Moebiusa, Rafaela, Federica Felliniego i Hugona Pratta.

Dla Manary jest to okazja do złożenia hołdu swoim nauczycielom i autorytetom, jak również sposób na dowiedzenie ponadczasowości sztuki. Jak stwierdził w przedmowie do opisywanego albumu: „wszystkiego – albo prawie wszystkiego – co wiemy o sobie, dowiadujemy się za pośrednictwem historii sztuki. Artyści, nawet ci najwięksi, nie są legendarnymi figurami, które żyją tylko w muzeach czy książkach: są naszymi starszymi braćmi, naszymi rodzicami, dziadami, którzy opowiadając o sobie, opowiadają o nas wszystkich i pomagają nam zorientować się w tym coraz bardziej zdewastowanym i pełnym okrucieństwa świecie, w którym tak łatwo się zagubić".

Bohater o tysiącu twarzy

Z przytoczonego fragmentu wyłania się obraz Manary sentymentalisty, stojący w sprzeczności z naszkicowanym przedtem obrazem Manary mizogina. Ta niespójność dobrze odzwierciedla charakter jego dorobku, którego synteza jest niemal niewykonalna. Przez pół wieku laureat Złotego Kota współpracował z najróżniejszymi scenarzystami: między innymi Hugonem Prattem, Alejandrem Jodorowskym oraz Federikiem Fellinim (kanwą „Podróży do Tulum" i „Podróży G. Mastorny zwanego Feret" był niezrealizowany scenariusz filmowy). W międzyczasie pisał również własne teksty.

Jego twórczość imponuje zarówno rozpiętością gatunkową (mieszczą się w niej farsa, thriller, antywestern, ale również superbohaterszczyzna), jak i formalną (raz stosuje szrafowanie, innym razem akwarelę; czasem stawia na regularny układ kadrów, kiedy indziej swobodnie je rozmieszcza i burzy ich granice).

O wielorakości jego dorobku niech świadczy fakt, że składają się nań obrazoburcza seria „Borgia" i sytuująca się na jej antypodach adaptacja „Imienia róży" (autorem polskiego przekładu jest felietonista „Tygodnika Powszechnego" Paweł Bravo; druga część ukaże się we Włoszech w poł. tego roku). Tym, co niewątpliwie łączy wszystkie albumy Manary, jest konwencja erotyku. Na pytanie o jej moralną zasadność każdy czytelnik musi odpowiedzieć sobie sam.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Pech w miłości

Na inaugurację amerykańskiej prezydentury musimy patrzeć jak na model. Najpewniej impreza rozpoczynająca kadencję nowego polskiego prezydenta będzie czymś na kształt tej amerykańskiej. Które elementy zostaną przeniesione żywcem, a które zostaną zassane jako inspiracja?

Rzec trzeba, że dla ludzi przyzwyczajonych do tradycyjnie pojmowanego majestatu państwa, waszyngtońska balanga była wydarzeniem szokującym. Odbyła się ona bardziej z okazji pognębienia niż wyborczego zwycięstwa. To rozróżnienie jest ważne. Tylko chwilę zajęło nam zastanawianie się, co przypominał nam klimat tej zabawy. Stroje, ruchy, miny i gesty gości znanych i nieznanych były inspirowane ekranizacjami Disneya. To się pewnie wymyśliło im w Stanach samo z siebie, nikt nie musiał pisać kosztownego scenariusza.

Wydaje się, że takie podejście do inauguracji jakichkolwiek rządów gdziekolwiek będzie od teraz obowiązywać wszędzie. Rzecz jasna z bardzo wielu powodów, i w wielu krajach, będzie to zaledwie namiastka – choćby dlatego, że skompletowanie tak niesamowitej, pod każdym względem osobliwej grupy uczestników jest możliwe tylko w Ameryce. Jednak – popatrzmy – nie musimy mieć kompleksów. Zaburzenia behawioralne dzisiejszych polityków i ludzi każdej władzy, też ekonomicznej, i w Polsce są powszechne. Można nie być najbogatszym człowiekiem globu i absolutnie bezładnie przemawiać, wygłaszać najbanalniej głupie albo straszne opinie, robić tak samo dziwne i niepokojące miny, wybałuszać gały i tak samo hajlować. To umie naprawdę każdy i nie trzeba mieć góry dolarów, żeby człowiekowi z okazji takich występów klaskano. Objęcie władzy przez nowych ludzi w Ameryce – te miny, dziwaczne mowy, pomysły, gesty, zachowania, solidnie niepokoją, ponieważ wszyscy – jak tu ponuro siedzimy – boimy się apokalipsy. Więc sprzedaż wszelakich artykułów mogących pomóc w jej przetrwaniu rośnie. Można mieć dowolne poglądy, ale wystarczy się uważniej rozejrzeć, by odczuwać niepokój. By popaść w stany wahliwe. Warto więc może znaleźć sobie temat wywołujący choćby mgnienie uśmiechu. Niech takim maleńkim pocieszeniem będzie kilka słów o rozdzierającym pechu naszej prawicy. Tego nikt ładnie nie zsumował, a warto. Popatrzmy.

Nasza prawica kocha V. Orbána, który jawnie i bez hamulców kocha W. Putina i jego reżym. Jak ten romantyczny zawijas wytłumaczyć rusofobicznej, własnej przecież publiczności? Nawet tak do bólu oddanej? Przecież tego nie da się logicznie objaśnić. Zresztą, nikt nie próbuje. Jest to zatem miłość nietłumaczona, bo serce – powiada mądrość ludowa – nie sługa. A może to się kiedyś samo wytłumaczy? Jakoś podobnie jest z prawicowym uwielbieniem dla E. Muska. Nasza rozdarta prawica kocha E. Muska, bo ów jak mało kto potrafi zaorać lewaka. Ale jak oranie lewaka pogodzić z oraniem Polaka? Mamy na myśli szokującą żarliwość w głoszeniu apeli, by Niemcy znowu wielkie były. Niemcy znowu wielkie to przecież oranie Polaka na całego. Co więc zrobić i mówić o E. Musku, gdy oto oparliśmy sens intelektualnego istnienia prawicy polskiej na nienawiści do Niemców? Zresztą już od jakiegoś czasu zastanawiamy się, jak pogodzić bycie polskim prawicowcem z uwielbieniem dla producenta aut elektrycznych. Gdyby E. Musk nienawidził Niemców, Żydów, Rosjan i Ukraińców, gdyby produkował auta jeżdżące na koktajl z węgla i ropy, gdyby w trakcie postojów auta te grillowały karkówkę, gdyby wydalały do kanalizacji stężony cyjanek potasu, to można by go było kochać po polsku i bezbrzeżnie. Czy Polak musi mieć zawsze pecha w miłości? Na to wychodzi. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

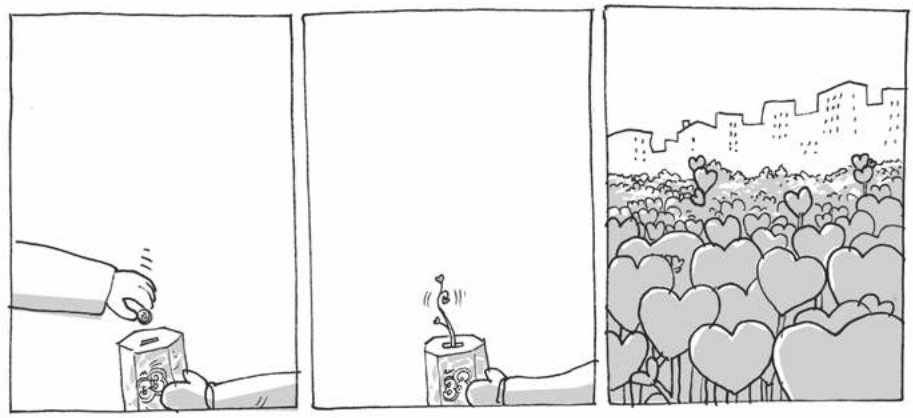

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

NOWA PRENUMERATA
PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
Kwartał – 12 wydań	170 zł
NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	**320 zł**
Rok – 52 wydania	590 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY" SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

WYPRZEDAŻ **ROCZNIKA 2024**
TWOJE NOWE SUBARU
JUŻ OD **152 900** PLN BRUTTO

ATRAKCYJNE **WARUNKI FINANSOWANIA**

8 LAT GWARANCJI SUBARU SAFE8

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

Santander Leasing

ENEOS MOTOR OIL

YOKOHAMA

SUBARU